

ROK CZYTELNIKA

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 8 (225) • ROK XIX • SIERPIEŃ 2014



— **ADAM REGIEWICZ** – Częstochowa do kryminału

— **WIESŁAW KOSTERSKI** – „Ja jestem tu boss”

— **HENRYK SZCZEPAŃSKI** – Cystersi na Śląsku

— Śladami rycerzy i legionistów

— Proza i poezja: **MARTA FOX, KAROLINA OPARA**



Tydzień Kultury Beskidzkiej – największe święto folkloru

Ponad 70 grup folklorystycznych z Polski, zwłaszcza z terenu Beskidu Śląskiego, Żywieckiego, Nowosądeckiego, Podhala, ale także z Wielkopolski i Kaszub oraz 20 zespołów zagranicznych wystąpiło podczas tegorocznego, 51. Tygodnia Kultury Beskidzkiej. Można je było oglądać w dniach 26 lipca – 3 sierpnia na estradach Wisły, Żywca, Ustronia, Szczyrku, Oświęcimia, Istebnej, Ujsoła, Bielska-Białej, Makowa Podhalańskiego i Jabłonkowa. W ramach TKB po raz 45. odbywał się Festiwal Folkloru Górali Polskich, a ponadto Gorolskie Święto w Jabłonkowie, Festyn Istebniański i Wawrzyńcowe Hudy. Po raz 25. zaprezentowały się niezwykle barwne Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne w Żywcu z udziałem zespołów i kapel m.in. z Armenii, Węgier, Chorwacji, z hiszpańskiego Kraju Basków,



Ukrainy, Turcji, Bułgarii, Czech, Włoch a także z Meksyku.

Tradycyjnie, od ponad 50 lat, Tydzień Kultury Beskidzkiej otwiera korowód w Wiśle, którego uczestnikami są zespoły występujące podczas tego największego w kraju i na świecie święta folkloru.

Wszystkie występy gromadzą liczną publiczność, która często na kilka godzin przez rozpoczęciem koncertów zajmuje miejsca na widowni amfiteatrów. W tym roku w Żywcu, na miłośników folkloru czekał nowoczesny amfiteatr z zadaszoną sceną i widownią.

Jak co roku, w parkach i na deptakach można było zaopatrzyć się w wyroby sztuki ludowej i rzemiosła artystycznego, a także spróbować różnorodnych potraw regionalnych. (wk)



Zdjęcia: Arkadiusz Ławrywianiec

Nasz partner

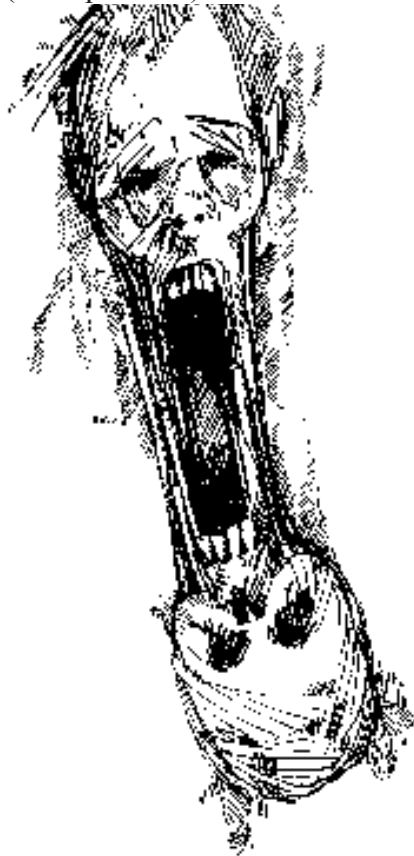


Rybnik. Miasto z ikrą.

KAROLINA OPARA

Miłość

za dużo liter
w tym litrze
(dwie połówki)



Rys. Wojtek Luka

Karolina Opara – młoda poetka z Piekar Śląskich, absolwentka polonistyki w Uniwersytecie Śląskim, jest laureatką kilku konkursów poetyckich. Swoje wiersze drukowała w almanachu grupy literackiej „Obok sceny” i w prasie, między innymi w naszym miesięczniku. Utwory, które prezentujemy w numerze, pochodzą z przygotowywanego do druku debiutanckiego tomiku (*Dwie połówki*).

Drodzy Czytelnicy

trwają prace nad uruchomieniem naszej nowej witryny internetowej. Jej inaugurację zaplanowaliśmy na początek września. Liczę, że poprawi to nasz kontakt z Państwem, uczyni go bardziej dynamicznym oraz interaktywnym, a także zachęci do lektury miesięcznika na różnorodnych nośnikach.

W sierpniu nie mogliśmy zapomnieć o ogłoszonym i trwającym obecnie Roku Czytelnika. Zapraszam do lektury dwóch rozmów przeprowadzonych przed red. Marię Sztukę. Pierwsza – z prof. Teresą Wilkoń, kierownikiem Zakładu Czytelnictwa w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, która przypomina, że rocznicowe obchody odbywają się w 650. rocznicę pojawienia się w dokumencie ustanawiającym Akademię Krakowską pojęcia „stacjonariusza” – księgarza, wydawcy i bibliotekarza. Przywoływane wyniki badań społecznych przeprowadzanych przez Instytut Książki i Czytelnictwa są zatrważające: ciągle rośnie liczba osób, które w ogóle nie czytają (w większości są to osoby starsze, rolnicy, emeryci i renciści, bezrobotni, osoby z wykształceniem podstawowym i zawodowym). Wzrasta też niestety ciągle grupa tych, którzy mało czytają (od jednej do sześciu książek rocznie). Prof. T. Wilkoń jako przyczyny spadku zainteresowania czytelnictwem i książką widzi zwłaszcza w konsumpcyjnym stylu życia, braku wzorców lekturowych wyniesionych z rodzinnego domu, a także ciągłym reformowaniu systemu oświaty. Autorzy reform coraz częściej proponują bowiem jedynie fragmentaryczną lekturę dzieł literackich, pozbawioną kontekstu tradycji literackiej i głębszej analizy kodów kulturowych. W tym miejscu zaledwie zasygnalizuję – zachęcając do lektury wrześniowego numeru „Śląska” – że podejmiemy w nim dyskusję na temat współczesnej oświaty.

W drugiej rozmowie prof. Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej, zwraca uwagę, że wszelkie statystyki czytelnictwa są dość względne i wymagają często szerszego kontekstu, przywołuje na przykład szeroką medialną akcję wspierania czytelnictwa czy duży sukces Sosnowieckich Dni Literatury, których jubileuszową dziesiątą edycję omawialiśmy w lipcu piórem Magdaleny Boczkowskiej. Może warto pomyśleć o reaktywowaniu Katowickich Dni Literatury. Bardzo mi ich brakuje w pejzażu kulturalnym miasta...

Są też – na szczęście – dane bardziej optymistyczne: wzrasta liczba osób, które czytają teksty o objętości powyżej trzech stron, a także zwiększa się liczba wypożyczeń w bibliotekach publicznych, choć oczywiście nie brakuje paradoksów – tłumy na spotkaniach literackich w Bibliotece Śląskiej, ale i nikłe zainteresowanie Targami Książki w Katowicach.

Na łamach miesięcznika „Śląsk” w stałym dziale „Z życia bibliotek” prezentujemy regularnie niezwykle cenne działania bibliotek w regionie na rzecz kształtowania kultury czytelniczej oraz upowszechniania czytelnictwa (w tym miesiącu jest to Gminna Biblioteka Publiczna w Janowie).

Odnotować wypada ponadto obiecujący debiut poetki Karoliny Opary, fragmenty nowej prozy autorstwa Marty Fox, pokłosie trzeciej edycji konkursu literackiego „Śląski Shakespeare”, a także tekst prof. Adama Regiewicz, który podejmuje kwestie kreowania przestrzeni Częstochowy w powieściach kryminalnych autorów związanych z tym miastem. To ciekawe odkrycie literackie, dotąd bowiem popularny wśród polskich czytelników nurt kryminałów miejskich kojarzyliśmy raczej z Wrocławiem, Warszawą czy Lublinem.

Zapraszam więc do lektury naszego miesięcznika, który możemy publikować m.in. dzięki dotacji w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa realizowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

■ **GDYBY** Cybulski przeżył... Początek czerwca przyniósł premierę nowej sztuki w Teatrze Śląskim kierowanym przez dynamicznego Roberta Talarczyka. Premiera to niezwykła – bo co by było gdyby... Zbyszek Cybulski, charyzmatyczny polski aktor, teraz zginął nieszczęśliwie pod kołami pociągu na wrocławskim dworcu? To właśnie wyobraził sobie Waldemar Patelewicz reżyserując sztukę „W popielnicze diament” autorstwa Jakuba Roszkowskiego. W roli Cybulskiego, trochę się już starzejącego gwiazdora, oczywiście Robert Talarczyk.

■ **RZECZNIK** Praw Obywatelski uważa, że Kompania Węglowa bezprawnie odebrała na początku 2014 roku należną emerytom

górnicy część z corocznego deputatu węglowego – dokładnie chodzi o tonę. Rzecznik wy stosował w tej sprawie list do wicepremiera Janusza Piechocińskiego.

■ **WYPADEK** lotniczy w Bielsku-Białej, gdzie z okazji Dnia Dziecka zaplanowano zrobienie z samolotu zdjęć boiska Szkoły Integracyjnej nr 6. Podczas zdjęć awionetka runęła na prywatną posesję obok boiska pełnego dzieci. Dwaj piloci zginęli na miejscu. Przyczyną tragedii był prawdopodobnie błąd pilota.

■ **PROTEST** pracowników służby zdrowia przeszedł 2 czerwca ulicami Katowic. Protestowano przeciw planom połączenia czterech szpitali wojewódzkich z placówkami Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. Pracownicy boją się pogorszenia oferty leczenia i zwolnień.

■ **TYSKIE** centra przesiadkowe zostaną oddane do użytku jeszcze w tym roku. Dokładnie chodzi o dwa czteropoziomowe parkingi każdy na 350 samochodów. Przy dworcu głównym budowany jest parking naziemny, a przy stacji Tychy Lodowisko – podziemny. Obydwa będą bezpłatne jedynie dla osób, które przesiądą się do pociągów. Pozostali kierowcy za parkowanie zapłacą.

■ **SILESIA** Press – w tym corocznym, renomowanym i regionalnym konkursie dziennikarskim wyróżniono w tym roku: pierwszą nagrodą Marcina Zasadę z „Dziennika Zachodniego” za wywiad z Krzysztofem Kłosińskim, drugą przyznano Violetcie Rotter-Kozerze i Zdzisławowi Sowińskiemu z TVP Katowice za reportaż o Wojciechu Kilarze, Marcinowi Pietraszewskiemu i Marcinowi Kowalskiemu z „Gazety Wyborczej” za tekst „Król chwilówek: umysł wyłączam” oraz Michałowi Fui z TVN za reportaż „Składy węgla.pl”. Trzecie miejsce w konkursie zajęła Monika Krężel z DZ za tekst „Zapiski w słójkach – od PRL do wolności”, Ewa Niewiadomska z Radia Katowice za wywiad ze Szczepanem Twardochem, a także Dariusz

Kmieciak z TVN-u za materiał „Broad Peak. Zdobywcy historii”.

■ **BEZMYŚLNY**, niepotrzebny wypadek na Jurze. W jaskini Studnisko koło Olszty na zginęła 16-latką ze Świekatowa z woj. kujawsko-pomorskiego przygnieciona głazem. Sześcioro pozostałych uczestników niefortunnej wyprawy trafiło do szpitala. Siedmioro uczniów w towarzystwie trzech instruktorów wybrało się już pierwszego dnia wycieczki do najgłębszej (ma ponad 70 metrów głębokości) i najniebezpieczniejszej jaskini na Jurze. Głupota instruktorów jest porażająca – nie dość, że prowadzili młodzież wieczorem i w niepogodę (padał deszcz), to jeszcze zlekceważyli zakaz wejścia do jaskini, w której znajduje się kolonia rozrodcza niepoterzy.

■ **DARY** dla poszkodowanych w wyniku powodzi na Bałkanach wyruszyły z Czeladzi, spod Konsulatu Honorowego Republiki Serbii. Najbardziej potrzebne były ubrania, konserwy, środki czystości, a także materace, pościel, pieluchy, skarpetki, baterie, woda, środki higieniczne, gumowce, leki. Bałkany odwiedziła największa od 120 lat klęska powodzi.

■ **CZOŁG** polsko-koreański wyjedzie z Gliwic. Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Urzędów Mechanicznych w Gliwicach rozpoczął współpracę z koreańskim Hyundaiem. Obie firmy podpisały dokumenty o wzajemnej pomocy. Współpraca będzie dotyczyć rozwoju technologii w zakresie budowy czołgów, symulatorów i sprzętu treningowego. Gliwicki ośrodek pracuje obecnie nad lekkim czołgiem najnowszej generacji, który ma być gotowy do służby w ciągu kilku lat.

■ **KLUB** sportowy Wisła Ustronianska powrócił do swojej pierwotnej, historycznej nazwy – Klub Sportowy Wisła z Wisły. I szuka sponsorów. Wychowankiem klubu jest m.in. Adam Małyś. Aktualnie w klubie trenuje 60 skoczków i skoczkiń, następców Małyśa.

■ **ZOFIA** Książek-Bregułowa, aktorka, poetka, która wzrok straciła w powstaniu warszawskim zmarła w wieku 94 lat. Pochowana została 6 czerwca na cmentarzu przy ul. Francuskiej. „Wszystko ma kolor smoły” – mawiała, choć zdawała się postrzegać świat zewnętrzny oczami duszy. Serdeczna, otwarta i wrażliwa osoba. Taka pozostanie w pamięci wielu osób.

■ **GOTOWY** jest ostatni odcinek Drogowej Trasy Średnicowej w Zabrze, trwają jego odbiory techniczne. Pierwszy, o długości 4,7 km, od granicy z Rudą Śląską do centrum Zabrze, został oddany do użytku w 2011. Obecny liczy 2,9 km, jego budowa trwała od 2012 roku, a na jego trasie znalazły się m.in. wiadukty nad torami kolejowymi i samą DTŚ, czy 140-metrowa estakada nad rondem de Gaulla’a. W budowie są jeszcze dwa gliwickie odcinki średnicówki – pierwszy, G1, biegnie przez Sośnicę do centrum – ma być gotowy w sierpniu, drugi to śródmiejski – tu zakończenie budowy przewiduje się na 2015 rok. Ich realizacja z powodów finansowych się jednak opóźnia.

■ **CZARNE** skrzynki mają się pojawić w kopalniach Staszic, Sośnica, Śląsk i Zofiówka. Są to urządzenia monitorujące bezpieczeństwo pod ziemią, niezależne od urządzeń i systemów bezpieczeństwa funkcjonujących na kopalniach. Pomysłodawcą projektu jest Wyższy Urząd Górniczy. To także odpowiedź na katastrofy, jakie wydarzyły się w Halembie, Wujku-Śląsk, które wykazały, że nie można bezgranicznie ufać osobom odpowie-

dzialnym w kopalniach za bezpieczeństwo. Niestety.

■ **BYLI** prezesi Kolei Śląskich i górnośląskich wodociągów oraz ich byli zastępcy zostali zatrzymani przez CBS. Akcja miała związek z podejrzanymi zakupami pociągów przez KŚ, a także operacjami finansowymi, w które zaangażowały się m.in. GPW.

■ **EKOLODZY** protestują przeciw budowie elektrowni węglowej „Czczott” w Woli koło Pszczyny, którą to inwestycję Kompania Węglowa zamierza przeprowadzić razem z japońską firmą. Apel poparło 17 organizacji pozarządowych m.in. z Niemiec, Ukrainy, Bośni i Hercegowiny, a także Japonii. Inwestycja jest wyciekająca przez mieszkańców i władzę gminy Miedzna, bo przecież może przynieść korzyści finansowe dla budżetu i pracę. A zanieczyszczenie powietrza powodowane jest przede wszystkim przez tzw. niską emisję. Zakłady przemysłowe muszą spełniać wyśrubowane, europejskie normy.

■ **KOMPANIA** Węglowa generuje ogromne straty, a ryzyko ogłoszenia upadłości tej największej w Unii Europejskiej spółki węglowej jest realne. Zdaniem jej nowego prezesa, Mirosława Tarasa, przyczynił się do tej sytuacji spadek cen węgla na światowych rynkach ze 121 dolarów w 2011 roku do ok. 70-71 dolarów za tonę obecnie. W Spółce spadła wydajność – w 2011 roku wynosiła ona 654,7 tony na rok na osobę, rok temu już tylko 604,9 tony. W pięciu kopalniach zwały węgla są pełne, część ścian w pozostałych stoi, na innych wydobycie ograniczone jest do 1-2 zmian. Ze spółki ma w najbliższych latach odejść kilkanaście tysięcy osób. – Niedługo nie będzie ani jednej kopalni, która przynosi zysk – stwierdził M. Taras dodając, że podobnie jest i w Katowickim Holdingu Węglowym, jak i w Jastrzębskiej Spółce Węglowej. – To jest dramat całego polskiego górnictwa – podkreślił.

■ **INDUSTRIADA** wystartowała już po raz ósmy 14 czerwca. W ciągu jednego dnia można było zobaczyć 43 zabytki techniki w 24 miejscowościach i spodziewać się 300 atrakcji: specjalne konkursy, koncerty, happeningi, wystawy, warsztaty. Kursowały także specjalne autobusy dowożące za darmo chętnych.

■ **PODSUMOWANO** odbywający się maju w Katowicach Europejski Kongres Gospodarczy: 100 sesji i debat, 700 panelistów, 6100 gości, 500 dziennikarzy, blisko 5500 publikacji – to efekt tej imprezy. Jej budżet wyniósł ok. 6 mln zł, natomiast „ekwiwalent reklamowy”, czyli korzyści – jak się szacuje – pięciokrotnie przewyższyły poniesione nakłady.

■ **NAJNOWSZY** film Lecha Majewskiego „Psie pole”, realizowany i rozgrywający się częściowo w Katowicach miał już swoją premierę we Włoszech (pod tytułem „Onirica”) i wzbudził zachwyt. Włosi dociekali, co to za piękne miasto uwiecznił maestro Majewski na ekranie? Oczywiście, Katowice. Polska premiera w październiku.

■ **WNIOSEK** o zarząd komisaryczny dla Koniecpola złożyła do wojewody Regionalna Izba Obrachunkowa. Miasto przekroczyło dopuszczalny 60-procentowy poziom zadłużenia i nie uchwalilo budżetu. Zdaniem władz miasta, to przedwczesne, bo realizowany jest program naprawczy. A przyczyną zadłużenia są inwestycje m.in. w kanalizację i nową kołtównię, w wysokości 6,5 mln zł przy 23 milionowym budżecie.

– Rok 2014 został ogłoszony Rokiem Czytelnika. Honorowy patronat nad obchodami objął prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Bronisław Komorowski. Dlaczego rok czytelnika, a nie rok wydawcy, księgarza czy bibliotekarza, skoro datę 12 maja 1364 roku (wprowadzenie zawodu stacionariusza) współczesne środowisko uznaje za początek dzisiejszych zawodów?

– W dokumencie z 12 maja 1364 roku król Kazimierz Wielki ustanowił Studium Generale, późniejszą Akademię Krakowską. Pojawił się w nim termin „stacionariusz”, oznaczający osobę pełniącą funkcję wydawcy, księgarza i bibliotekarza, organizującą wytwarzanie, udostępnianie i rozprowadzanie książek, wówczas jeszcze rękopiśmiennych. 650 lat później, 12 maja 2014 roku Komitet Porozumiewawczy Bibliotekarzy, Księgarzy i Wydawców ogłosił początek uroczystych obchodów tej ważnej dla nauki i kultury polskiej rocznicy uznając, że nazwanie jej „Rokiem Czytelnika” będzie najwłaściwszym sposobem zwrócenia uwagi na konieczność wzmocnienia i zintegrowania działań na rzecz poprawy stanu czytelnictwa i świadomości kulturowej, poszerzenia wiedzy społecznej o książkę i towarzyszącym jej zjawiskom. Książka i jej zasoby istnieją dopóty, dopóki istnieje czytelnik a więc teraz najważniejsze jest rozpoznanie jego potrzeb, niezależnie od tego, czy będzie to czytelnik książek drukowanych, czy odbiorca wychowany w rzeczywistości zdominowanej przez nowe technologie. Spodziewam się – tak jak wszyscy – że w konsekwencji ogłoszenia roku 2014 rokiem czytelnika zostaną uruchomione między innymi kolejne programy promocyjno-finansowe, bez których satysfakcjonujący nas stan czytelnictwa w Polsce będzie niemożliwy.

– **Tak więc Polacy, którzy nie czytają świadomie nie uczestniczą w kulturze?**

– Uważam, że cechy określające czytelnika – jego postawę i zachowania czytelnicze, funkcje lektury w jego życiu, składają się na pojęcie kultury czytelniczej. Oznacza to, że nie można uczestniczyć w kulturze bez przekonania o wartości uprawiania lektur, potrzeby czytania, posiadania kompetencji czytelniczych w sensie wyboru, utrwalania treści lektury, odpowiedniej aktywności czytelniczej, kształtującej preferencje lekturowe oraz postrzegania funkcji, jakie spełnia lektura w rozwoju osobowości. Ta bardzo jasna i wyraźna wykładnia świadomości kulturowej mówi o tym, jak ważne w naszym życiu są książki.

– **Jakie treści zawiera postulat budowania świadomości kulturowej i jaki ma on związek z czytaniem książek?**

– Świadomość kulturowa to inaczej świadome uczestnictwo w kulturze. Określa jej pewien model, którego najważniejsze elementy dotyczą postrzegania zjawisk kultury, ich rozumienia i przeżywania. Do tego niezbędne są kompetencje, żeby móc bez trudu odczytać znakowy i komunikacyjny charakter „tekstów kultury”, rozpoznawać treści wytworów kultury (dzieł), relacje nadawczo-odbiorcze, funkcje, wzajemne związki. To jednak nie wystarczy



Fot. Agnieszka Sikora

O przyczynach absencji czytelniczej
w rozmowie z prof. TERESĄ WILKOŃ,
kierownikiem Zakładu Czytelnictwa
w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informatyki
Uniwersytetu Śląskiego

Czytanie kultury

do pełnej świadomości kulturowej – ważne jest, aby dzięki przeżytym i zrozumianym faktom kulturowym umieć porozumieć się z drugim człowiekiem, nauczyć się empatii, postawy asertywnej a także czerpania z lektury osobistej satysfakcji. Najprościej ujmując, świadome uczestnictwo w kulturze to umiejętność „czytania kultury”, któ-

ra oprócz tego, że jest narzędziem poznania świata i samych siebie, wpływa na jakość życia i określa jego sens. Jest jeszcze jeden nieodzowny element modelu świadomego uczestnictwa w kulturze: umiejętność dokonywania wyborów, gdyż to właśnie wytwory kultury (przeżyte, zrozumiane i „przeżyte” książki) pozwalają na wypro-

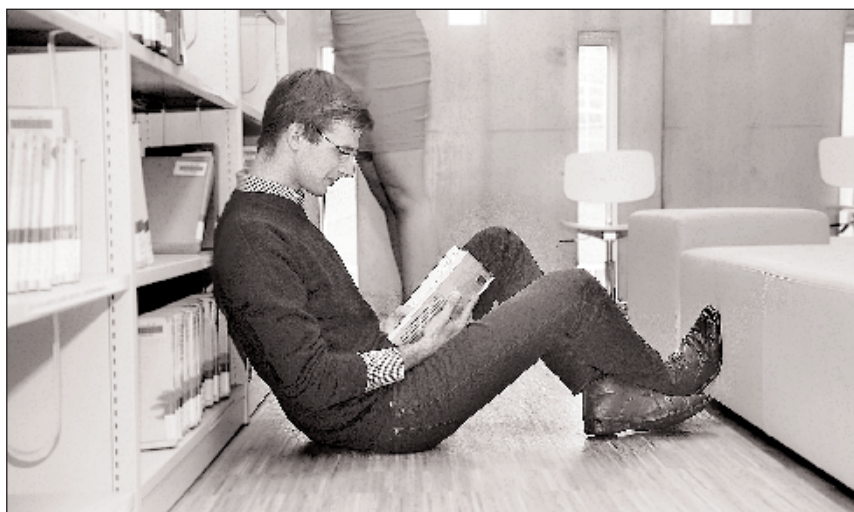
wadzenie wniosków dotyczących zachowań, wartości oraz tego, co tzw. dobra kultury, w tym dzieła literackie, wnoszą w życie ich odbiorców.

– Czy rzeczywiście Polacy mniej czytają?

– Dane statystyczne są bezwzględne, choć daleka jestem od tak pesymistycznej oceny. Zaraz powiem dlaczego? Instytut Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej w marcu 2013 roku podał najnowsze wyniki badań społecznego zasięgu książki w Polsce w 2012 roku, które – niestety – potwierdzają tezę, że Polacy czytają mało lub nie czytają w ogóle. Badanie stanu polskiego czytelnictwa odbywa się regularnie co dwa lata i choć nie mamy jeszcze wyników z 2013 roku, wiemy, że liczba osób nieczytających ciągle rośnie. W 2002 roku obejmowała ona 44,4 procent, a w 2012 roku wynosiła już 60,8. Niepokojące są też liczby wskazujące na niski procent ludzi czytających tylko od jednej do sześciu książek rocznie. W 2002 roku do tej grupy należało 32,1 procent Polaków i ten poziom utrzymywał się mniej więcej do 2012 roku, kiedy odnotowano zaledwie 26,5 procent. O połowę natomiast zmniejszyła się liczba Polaków czytających powyżej siedmiu książek rocznie. W 2012 roku wynosiła ona około 11 procent. Stan ilościowy czytelnictwa w Polsce trzeba uznać za alarmujący, skoro według Instytutu Książki i Czytelnictwa z 2010 roku ani jednej książki w ciągu roku nie przeczytało aż 25 procent osób z wyższym wykształceniem. Gdzie jest zatem mój optymizm? Wynika on z faktu, że jednak systematycznie powiększa się grupa ludzi czytających teksty (prasa, teksty dostępne w Sieci) powyżej trzech stron, a także odnotowuje się coraz większą liczbę wypożyczeń w bibliotekach publicznych. Należy przy tym zwrócić uwagę na fakt, że od lat 80. ubiegłego wieku wyraźne transformacje społeczne i kulturowe dotyczą także książki i problemów czytelnictwa. Nie ominęły też bibliotek, które stanęły przed wyzwaniem sprostania społecznemu zapotrzebowaniu. Dało to nowe szanse bibliotekarzom, by poprzez zmianę swojego wizerunku zdobyć zaufanie czytelników i uczyć dostrzegania znaczenia książki i biblioteki w życiu człowieka.

– Na podstawie prowadzonych badań możemy odpowiedzieć na pytanie – kto nie czyta?

– Nie czytają osoby z wykształceniem podstawowym i zawodowym, mieszkańcy wsi, osoby starsze (powyżej 60 lat), rolnicy, bezrobotni i co najbardziej zadziwia – emeryci i renciści. Jeżeli to będzie dla nas pocieszeniem, to powiem, że również w Ameryce najrzadziej zaglądają do książek osoby starsze, powyżej 65 roku życia, najczęściej zaś czytelnikami w Stanach są uczniowie szkół średnich oraz ludzie młodzi, w wieku około 30 lat. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że ma to związek ze znajomością i umiejętnością



Fot. Agnieszka Sikora

obsługi mediów elektronicznych. Najnowsze badania opublikowane w USA wykazały, że Amerykanie o wiele częściej sięgają jednak po książki drukowane, niż po e-booki (72 procent Amerykanów przeczytało w 2012 roku przynajmniej jedną tradycyjną książkę). Podobnie jest u naszych sąsiadów – 79 procent Czechów przeczytało co najmniej jedną książkę w ciągu ostatniego roku. Jednak i tu też widzimy nieznaczną tendencję spadkową stanu czytelnictwa, ponieważ w 2007 roku wskaźnik ten był nieco większy (83 %).

– Czy dane statystyczne są bezwzględnie wiarygodne?

– Coraz częściej pojawiają się głosy podważające wiarygodność upublicznianych danych, jednak badanie Instytutu Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej przeprowadzone w współpracy z TNS Polska (dawny Ośrodek Badania Opinii Publicznej) nie pozostawia żadnych wątpliwości. Przypominam, że wyniki badań społecznego zasięgu w Polsce w 2012 roku mówią o 60,8 procentach nieczytających Polaków. Wynik jest tak porażający, że aż niewiarygodny, zwiększono zatem próbę reprezentatywną z 2000 do 3000 obywateli Polski w wieku piętnastu i więcej lat. Niestety, maksymalny błąd statystyczny dla tej próby wynosi tylko 1,8 procent.

– Jakie są przyczyny tendencji spadkowej stanu czytelnictwa w Polsce i jakie działania są podejmowane, aby ten stan zmienić?

– Trudno jest o jednoznaczną odpowiedź. Jedno jest pewne: mobilizują one do wspól-

nych działań badaczy oraz pracowników instytucji zajmujących się zagadnieniami związanymi z książką i jej użytkownikami. Temu służą tegoroczne obchody Jubileuszu, który odbywa się pod hasłem „650 lat w służbie książki”. W wyniku prac powołanego przez Ministerstwo Kultury i DN Zespołu ds. promocji i upowszechniania czytelnictwa powstał „Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa na lata 2014 – 2020”. Realizacją tego programu zainteresowane są nie tylko narodowe instytucje kultury, ale także ośrodki naukowe i badawcze, środowiska edukacyjne oraz wszystkie inne instytucje współpracujące z oświatą, nauką, kulturą (ze środkami masowego przekazu włącznie).

– Znane są także działania na rzecz rozwoju czytelnictwa pracowników Zakładu Czytelnictwa w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informatyki Naukowej Śląskiej Alma Mater.

– Niedawno mówiła o tym prof. Anna Tokarska – dyrektor Instytutu w wywiadzie dla Gazety Uniwersyteckiej, zwracając uwagę na liczne publikacje naszych pracowników z zakresu czytelnictwa w kontekście zagadnień kulturowych i społecznych naszego regionu. Pod jej redakcją ukazała się synteza naukowa z zakresu bibliotekarstwa, w której omówione zostały zagadnienia związane z czytelnictwem, pedagogiką biblioteczną oraz edukacją czytelnictwa i medialną. Zresztą starania wszystkich pracowników IBiIN idą w tym samym kierunku: w obliczu nasilających się negatywnych tendencji i niekorzystnych faktów, dotyczących stanu czytelnictwa, ważną jest mobilizacja na rzecz obrony książki, bibliotek i dobrego imienia ich użytkowników. Mówi o tym najlepiej zakres wyznaczonych przez naszych pracowników pól badawczych, dotyczących problemów m.in. metodyki pracy z czytelnikiem i użytkownikiem informacji systemów informacji edukacyjnej, źródeł informacji o publikacjach adresowanych do młodego odbiorcy, działalności różnych typów bibliotek, a także współczesnego rynku książek.



Fot. Agnieszka Sikora

Ponadto podejmowane są różnego rodzaju inicjatywy, mające na celu konsolidację środowisk szkolnych, bibliotecznych i naukowych w naszym regionie, takie jak warsztaty biblioterapeutyczne, współdziałal w imprezach z udziałem dzieci i młodzieży pod hasłem „Festiwal ekspresji dziecięcej i młodzieżowej” (pod patronatem J. M. Rektora US), spotkania z pisarzami oraz wystąpienia z referatami na ogólnopolskich konferencjach i sympozjach poświęconych problemom związanym z kulturą książki.

– **Powróćmy jednak do pytania o powody spadku czytelnictwa.**

– Jedną z przyczyn dostrzegam w dysfunkcji szkoły i to na każdym etapie nauczania, a także brak konieczności ciągłego poszerzania wiedzy i właściwego wykorzystania jej w pracy zawodowej. Nie mniej ważną przyczynę spadku zainteresowania książką, zwłaszcza po 1989 roku, upatrywałabym w konsumpcyjnym stylu życia, będącym konsekwencją przemian gospodarczych i społecznych oraz szkodliwych stereotypach myślenia o kulturze czytelnictwa, mającej spełniać funkcje rozrywkowe, a nie edukacyjne. Także nieustanna reforma systemu oświaty z redukcją lektury spójnej, systematycznej i całościowej (w tej chwili jest ona fragmentaryczna, często proponuje kanony lekturowe minionych pokoleń) nastawiona raczej na zdobywanie konkretnych, pojedynczych informacji, niż na rozwijanie wyobraźni i uczenie umiejętności rozumienia świata. Do najważniejszych jednak przyczyn absencji czytelnictwa należy brak określonych wzorów zachowań wyniesionych z rodzinnego domu, uczących od najmłodszych lat obcowania z książką.

– **To pytanie musi paść – czy książka – jako utrwalona myśl ludzka – może zginąć? Czy nadchodzi zmierzch książki tradycyjnej?**

– Odpowiem optymistycznie: tak długo, jak długo z pokolenia na pokolenie przekazywana będzie potrzeba czytania oraz utrwalania wiedzy, dorobku myśli i kultury społeczeństwa – książka przetrwa. Być może nie tylko za sprawą tradycji i przyzwyczajzeń, lecz także dlatego, że istnieje wysoka korelacja dodatnia pomiędzy czytaniem książek, a użytkowaniem tak powszechnego obecnie Internetu. Trafnie to ujął Miha Kovač z Uniwersytetu w Ljubljanie: „druk jest formą między komunikacją zamkniętą, a internetową otwartością i to zróżnicowanie stanowi wartość samą w sobie”. Nieuniknione są natomiast zmiany w zakresie formy i treści książki, prawa autorskiego oraz bibliotek i rynku wydawniczego. W wyniku nowych zjawisk kulturowych zmieniają się też oczekiwania wobec książki. Zamiast (lub raczej obok) książki tradycyjnej – pojawia się książka p o w s z e c h n i e dostępna w formie elektronicznej, co dobrze powinno służyć ochronie dorobku kulturowego społeczeństwa, ułatwi dostęp do treści i poszerzy, miejmy nadzieję, krąg odbiorców.

Kłeska a może renesans?



Fot. Agnieszka Sikora

O niezbędnych zmianach
w rozmowie z prof. JANEM MALICKIM
dyrektorem Biblioteki Śląskiej

– **Kiedyś czytała wyłącznie elita, dzisiaj także można by tak powiedzieć, ponieważ dane statystyczne Instytutu Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej stwierdzają, że książki czytają... 39, 8 proc. społeczeństwa.**

– Zawsze mówię, że wszelkiego typu zestawienia statystyczne są niezwykle migotliwe i względne. Przykładowo patrząc wyłącznie na liczbę osób zapisanych do bibliotek publicznych różnego szczebla – od gminnych począwszy a skończywszy na Bibliotece Narodowej może się wydawać, że z kondycją w tej dziedzinie nie jest najlepiej a rzeczywistość temu przeczy. Trzeba pamiętać o rozległym systemie, który tę liczbę znacznie wzbogaca poprzez między innymi sieć bibliotek szkolnych, każda przecież jednostka edukacyjna posiada własną bibliotekę czy biblioteki akademickie, które istnieją

na wszystkich uczelniach zarówno państwowych jak i niepaństwowych i korzystają z nich zarówno kadra ucząca jak i studenci – system ten stanowi wielokrotność liczby bibliotek gminnych. Dochodzą również inne mechanizmy, które umykają statystycznym zestawieniom. Bardzo często zdarza się i mamy na to dowody, że książka wypożyczona w bibliotece wędruje wśród rodziny, sąsiadów, znajomych. Ten element zupełnie nie funkcjonuje w owych zestawieniach statystycznych. Badania z ostatniego roku odnotowują niewielki, bo zaledwie jednonprocetowy – ale jednak – wzrost czytelnictwa. Coś więc drgnęło.

– **Na przestrzeni ostatnich kilku lat znacznie wzrosła liczba wydawanych tytułów.**

– To jest bardzo istotny sygnał i nie należy go bagatelizować. Wydawnictwa nie

tylko nie padają, ale wciąż ich przybywa, dziś możemy już mówić o ogromnym książkowym biznesie. I nie ważne czy mówimy o wielkich wydawnictwach, czy też o wydawnictwach, które określa-
liśmy kiedyś terminem – garażowe.

– **O czym to świadczy?**

– Jeżeli tytułów przybywa, jeżeli znajdują się ich odbiorcy to znaczy, że książka wciąż jest atrakcyjna.

– **W Katowicach zlikwidowano wiele „obrosłych” legendą księgarń...**

– Bardzo nad tym ubolewam, ale to nie jest trend ogólnopolski. Przeciwnie, w wielu miastach znakomicie funkcjonuje cały system księgarń i nie na peryferiach, ale w atrakcyjnej centralnej przestrzeni miejskiej. Nie mam tu na myśli wielkich sieci, ale księgarnie, które specjalizują się w poszczególnych typach literatury. Fakt, że stale znajdują klientów, świadczy niezbicie o tym, że książka nie straciła na atrakcyjności i nadal jest popularna.

– **W 2002 r. osób nieczytających w ogóle było 44, 4 proc., w 2012 liczba ta urosła do 60, 8 procent. Co przyczyniło się do tak znacznego spadku czytelnictwa?**

– Przyczyn wielkiej klęski książki w latach 90. było wiele, jedną z nich, dla mnie bardzo istotną, a może i najistotniejszą, był rodzaj społecznego potępienia wszystkiego, co wiązało się z książką. Wstydem wręcz było pokazywanie się na tle biblioteki. Ilu było znanych ludzi, którzy stawali na tle własnych księgozbiorów? Nie bez winy pozostają media. Ówczesna telewizja, radio, prasa zdawały się nie dostrzegać nie atrakcyjnego w książce. Wręcz przeciwnie, wiele z nich uznano za szkodliwe i bezwartościowe, na topie znalazły się towary o wiele bardziej – zdaniem mediów – godne zainteresowania. Książka i wszystko, co z nią się wiązało zostały potępione w czambuł. A ja mam stałe przed oczami obraz prezydentów Stanów Zjednoczonych, którzy nie tylko fundowali zbiory biblioteczne, ale wielu z nich po zakończonej kadencji pozostawiało tam własne zbiory – dzisiaj Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych jest największą biblioteką świata.

– **Może trochę późno, ale promocja książek, wydawnictw i wszelkiego typu akcji wspierających czytelnictwo załatwiła niemal wszystkimi mediami.**

– To prawda. Telewizja, radio, prasa codzienna, tygodniki, miesięczniki... wszędzie można usłyszeć, zobaczyć przeczytać o konkursach literackich, akcjach promocyjnych, prestiżowych nagrodach. Wreszcie ta atmosfera przypomina sytuację, której zazdroścę nie Francji, czy Wielkiej Brytanii, ale naszym sąsiadom Czechom.

– **To najwyższa półka, przodują w Europie, 80 proc. Czechów czyta co najmniej jedną książkę, każdy z nich kupuje średnio 14 książek rocznie... Daleko nam do tej ich miłości.**

– Mimo wszystko przestrzegam przed zbyt dosłownym traktowaniem



Biblioteka Śląska

liczb. Polacy coraz częściej i chętniej, szczególnie młodzi, sięgają do elektronicznych nośników. To jest nowa sfera czytelnictwa, które opanowało wprawdzie tylko pewną grupę społeczną, ale nie należy tego zjawiska pomijać. Zmiany muszą następować i tak się właśnie dzieje. Z jednej strony głębokie przywiązanie do książki klasycznej, papierowej starszego pokolenia, a z drugiej coraz silniejsze zainteresowanie młodych ludzi e-bookami świadczy nie tylko o zmianie kultury książki, ale jednocześnie potwierdza moją tezę, że wszyscy czytają. Nie wyobrażam sobie człowieka, który począwszy od szkoły podstawowej, gimnazjum, czy szkoły średniej nie ma kontaktu ze słowem pisanym.

– **Czy również ważne jest pytanie – co czytamy?**

– Tu już wkraczamy w obszar segmentacji zainteresowań. Każda książka i jej różnorodny typ adresowany jest do określonego czytelnika, podobnie jak rozmaite tytuły prasowe skierowane są do konkretnego targetu. Nie ma w tym nic zaskakującego. Trudno oczekiwać, że nagle potężne korporacje wydawnicze rzucą się na wielkie arcydzieła. Książkę, która trafia do sprzedaży, poprzedza skrupulatnie i szczegółowo zaprojektowana promocja, która odpowiednio przygotowuje rynek potencjalnych nabywców. Wydawnictwa skupiają wokół siebie wybranych twórców i to ich książki głównie są wydawane i one też są nagradzane. To sprawia, że system wydawania książek jest moim zdaniem za-betonowany. Akcje promocyjne są dzisiaj podstawową siłą napędową sprzedaży. To nie jest przypadek, że pochlebne recenzje – na przykład – jakiegoś tłumaczenia, które powiedzmy szczerze nie jest najwyższych lotów, ukazują się jednocześnie w kilku czasopiśmie, w telewizji, w rad-diu. Trudno uwierzyć, że nagle kilkunastu dziennikarzy z różnych stron kraju sięga po tę samą pozycję, podobnie ją ocenia i posługuje się identycznymi sformułowa-niami. Czego brakuje? Spontaniczności. Tak jednak działa system i jest to zjawisko naturalne.

– **Wielu twórców narzeka na brak mecenatu. Stypendiów marszałkowskich jest niewiele, młodzi poeci garną**

się do Instytutu Mikołowskiego im. Rafała Wojaczka, ale i tam możliwości są ograniczone.

– To wbrew pozorom bardzo trudny problem. Poprzedni system stworzył coś w rodzaju klosza, pod którym znaleźli się wybrańcy, powiedzmy sobie jednak szczerze, nie zawsze byli to wielcy pisarze. Mit twórcy tworzyła wówczas sieć różnorodnych udogodnień, nobilitacji, pobyt w domu pracy twórczej itp. Wystarczyło wydać dwa tomiki wierszy, aby wstąpić do elitarnego Związku Literatów i znaleźć się pod owym kloszem, który torował dalszą drogę. Dziś twórcę kreuje misternie skonstruowana promocja, która jest w stanie ogłosić geniuszem dobrze, ale nie doskonale piszącego autora. Ilez mamy przykładów poetów, którzy wydali pięć, sześć tomików wierszy, czują się w pełni zasłużonymi twórcami, szkoda tylko że ocena ich dorobku tego nie potwierdza. Dlatego powtarzam, że to bardzo skomplikowane zagadnienie. Wyjątkowy talent, niezwykła osobowość twórcza zapewne potrzebuje mecenasa, promotora, który czasem wystarczy, aby wskazał właściwą drogę. Trudno mi jednak uwierzyć, że na zamówienie można zostać wielkim twórcą.

– **Trzeba jednak przyznać, że droga do sławy jest dziś wyjątkowo wyboista.**

– To zależy jakie sobie ktoś stawia cele. Bywa że dla jednych jest to wydanie jego dzieła, bywa jednak, że celem staje się tylko „wyrobienie” nazwiska poprzez spotkania, występy w telewizji, wywiady w prasie a co za tym idzie zdobycie sławy i oczywiście pieniędzy. Nie należy do rzadkości, że to „zabłyśnięcie” w świecie twórców jest pretekstem do startu w zupełnie innej dziedzinie.

– **Wróćmy może jednak do bardziej optymistycznej rzeczywistości. Powiedział pan profesor, że w kwestii czytelnictwa coś drgnęło i możemy spodziewać się, że teraz będzie już tylko lepiej, skąd ten optymizm?**

– Z dużym uznaniem myślę na przykład o tym, co dzieje się w bibliotece w Sosnowcu. Dziesiąta edycja Sosnowieckich Dni Literatury to nie tylko triumf książki, to już wielkie święto kultury w mieście. A takich imprez, spotkań,

akcji nie brakuje nam w województwie. Nie wystarczy sam pomysł, najważniejsze jest znalezienie kręgu jego odbiorców. Co decyduje o sukcesie przedsięwzięcia? Myślę, że w dużej mierze niekonwencjonalność koncepcji, znajomość środowiska i jego upodobań. Nie ma recepty na powodzenie. Sosnowiec, Jastrzębie-Zdrój, Cieszyn... to są przykłady znakomicie trafionych projektów, ale zaraz pojawia się pytanie, skoro tam się udaje, dlaczego w Katowicach – nie. To bardzo mnie martwi, ponieważ dotyczy wszystkich imprez w całym spektrum kultury. Czym wytłumaczyć, że w cztero i pół milionowej aglomeracji Targi Książki nie cieszą się zainteresowaniem?

– **Może zabrakło większej liczby znanych twórców, za mało było imprez towarzyszących, albo środki finansowe były zbyt małe w porównaniu z Krakowem, gdzie zjechały tłumy.**

– Z dobrych wzorców trzeba czerpać naukę.

– **Dlaczego w rocznicę wprowadzenie wspomnianego już zawodu stacjonariusza ogłoszono rok nie np. bibliotekarza, ale... czytelnika?**

– To bardzo trafna decyzja. Każda instytucja jest tylko pośrednikiem, a efektem jej działania jest dotarcie do tych, którzy czytają, potrafią mówić, dyskutować o literaturze i wciąż chcą poznawać coś więcej niż świat codzienności. Zawse w centrum uwagi pozostaje czytelnik. A co do zawodu bibliotekarza, to warto przypomnieć, że już w X stuleciu, kiedy to księgozbiory mieściły się w klasztorach, obok opata i osoby zarządzającej opactwem, bibliotekarz był trzecią, co do ważności osobą w zakonie. To świadczyło przede wszystkim o randze książki. Na przestrzeni wieków wiele się zmieniło, ale warto o tej randze pamiętać. Książka pozostaje jedynie segmentem wielkiego systemu, który stale ewoluje a wszelkie modyfikacje są naturalną koleją rozwoju cywilizacji. Podobnie dzieje się w każdej dziedzinie. Jestem przekonany, że opera, która здаwać by się mogło jest nieśmiertelna, czy operetka w swej baśniowo-muzycznej formie także muszą szukać nowych środków, które nie niszczą ich korzeni po-

winny znaleźć drogę dotarcia do nowych pokoleń, ich upodobań i oczekiwań. To jest walka o odbiorców, których krąg coraz bardziej się kurczy. Biblioteki także stają przed tym wyzwaniem.

– **Pan profesor jest w komfortowej sytuacji, nie przypominam sobie spotkania w Bibliotece Śląskiej, na którym sala nie byłaby pełna.**

– To na pewno cieszy, ale nie zwalnia z myślenia o dalszej perspektywie. Nie można poprzestać na samozadowoleniu i upajaniu się tym co jest dziś, bądź rozpamiętywaniu świetlanej przeszłości, to początek końca instytucji. Muszę więc przewidywać co będzie za dziesięć, piętnaście lat, pracować i przygotowywać warunki do pozyskiwania kolejnego pokolenia. To dotyczy każdej instytucji kulturalnej, trzeba spróbować wyprzedzić epokę, a przynajmniej wskazać kierunek dokąd należy zmierzać. Całym sercem jestem za tym, aby spotkania i imprezy zainicjowane z okazji Roku Czytelnika były kontynuowane, ponieważ najważniejsze jest to, co będzie po nas. Kultura czytania przetrwa na pewno, ale musimy zdawać sobie sprawę ze zmian, które są nieuchronne. Pokolenie audiobooków musi znaleźć odpowiednią dla siebie ofertę.

– **Nie przeraża pana profesora informacja, że 35 proc. ludzi kończących studia rozstaje się z książką?**

– Jestem optymistą. Młody człowiek z dyplomem ukończenia uczelni ma na głowie poszukiwanie pracy, a kiedy już ją znajdzie musi walczyć o jej utrzymanie, potem przychodzi czas zakładania rodziny i tak dalej. Tempo ich życia nie pozwala na odrywanie się od rzeczywistości, ale jestem spokojny, w dojrzałym wieku nie tylko wracają do książek, ale chcą także o nich rozmawiać. Odczuwam ogromną satysfakcję słuchając na spotkaniach z jaką żarliwością i kompetencją, godną nieraz krytyka literackiego, bronią swoich wyborów i ocen.

– **Swoistym fenomenem jest Uniwersytet Trzeciego Wieku, w Bibliotece Śląskiej szczególnie można to zaobserwować.**

– Z ogromnym szacunkiem myślę o pokoleniu, dla którego kultura książki stanowiła wartość nadrzędną. Oni byli niejako

włoczeni w świat krążący między filharmonią, teatrem, galerią. Ci ludzie po odejściu na emerytury poczuli się nie tylko pokrzywdzeni, ale przede wszystkim niepotrzebni. UTW przywrócił wielu z nich radość życia, a bycie w grupie pozwoliło na odnowienie chęci działania. Zawsze przywołuję przykład Społecznej Pracowni Digitalizacji, która skupia osoby wyjątkowe, specjalistki, głównie słuchaczki Uniwersytetu Trzeciego Wieku, które – jak często powtarzam – niejednokrotnie w dziedzinie digitalizacji, są lepsze od swoich wnuków. W naszym województwie bardzo dużo bibliotek organizuje UTW, przykładem może być Rybnik, Mysłowice, Czeladź.

– **Wiele bibliotek przeszło gruntowne remonty, wzbogacają się nie tylko księgozbiory, ale i wnętrza zachęcają do korzystania z tych instytucji.**

– Nowoczesne budynki, estetycznie zaaranżowane wnętrza, wydzielone pomieszczenia, w których odbywają się spotkania i inne imprezy – to dzisiaj już standard. Jestem gorącym orędownikiem przebudowywania starych czy zaniedbanych obiektów. Pobyt w bibliotece musi kojarzyć się z komfortem, to wpływa na atmosferę spotkań, ale jest także wyrazem szacunku dla odwiedzających ją gości.

– **Dużo mówi się o zaszczepianiu w dzieciach miłości do książki, sprzyja temu wiele akcji, wspominając choćby sztandarową: „Cała Polska czyta dzieciom”. Głośne czytanie wpływa pozytywnie na rozwój językowy, psychiczny i umysłowy dziecka, to także pierwszy krok do zaprzyjaźnienia się z książką. Nieco starsi sami dokonują wyboru – co czytać. Czy możliwa jest droga od Harry Pottera do Gombrowicza?**

– Nie tylko możliwa, ale prosta i naturalna. Na tej drodze jednak musi pojawić się, moim zdaniem, najważniejszy element – rozmowa z dziećmi o tym, co czytają. Słowo pisane oddziałujące na wyobraźnię wywołuje naturalną potrzebę zwerbalizowania uczuć, podzielenia się emocjami, snucia domysłów na temat dalszych losów bohaterów itp. Nic nie zastąpi takich rozmów, ponieważ to właśnie one są niezbędnym dopełnieniem przeczytanej lektury. Ci młodzi czytelnicy za kilka, czy kilkanaście lat staną przed koniecznością tworzenia otaczającej ich rzeczywistości, umiejętnie więc otwieranie ich wyobraźni to nic innego jak przygotowanie do tego zadania. A przy okazji testuje ich spostrzegawczość, wyrabia umiejętność formułowania własnych wyobrażeń, które bywa, że poddawane są krytyce rówieśników. Harry Potter rozbudził chęć czytania, trzeba tak znakomicie przygotowany grunt umiejętnie wykorzystać. Jestem miłośnikiem i zwolennikiem aktywnego czytania i komentowania przeczytanego tekstu, pod warunkiem, że uczestnicząc w takiej debacie dorosły pozostaje wyłącznie w roli przewodnika, nigdy natomiast w roli dyktatora.

Rozmawiała MARIA SZTUKA





Tadeusz Kosman, nadleśniczy w Suchej, pokazuje secesyjną willę – budynek suskiego nadleśnictwa

Tekst i zdjęcia
WIESŁAW
KOSTERSKI

Po królewskie do lasu

Beskid Śląski, Żywiecki, Mały, Makowski. Dawnych właścicieli wygnał z lasów po wojnie dekret PKWN z 12 grudnia 1944 roku. Odeszli. Lasy przejęło państwo. Po zmianie ustroju ich potomkowie i spadkobiercy upominają się o byłe majątki. Chcą wrócić.

– Bardzo długo skarżyli nas mieszkający w Austrii spadkobiercy Habsburgów – opowiada Bogdan Gieburowski, zastępca dyrektora do spraw gospodarki leśnej Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Katowicach. – Wynajęli renomowaną kancelarię prawną z Krakowa. Domagali się zwrotu lasów na Żywiecczyźnie, które przed wojną były ich własnością. Przegrali. Potem zażądali leśniczówek. Z takim samym skutkiem.

– Ich prawnicy zachowali się w porządku, przyszli i powiedzieli: – My już dłużej nie będziemy sprawy ciągnąć, bo jak nie ma ustawy reprivatyzacyjnej, to nic z tego nie będzie. Musimy wprost powiedzieć spadkobiercom, że nie wygramy, a nie futrować się ich pieniędzmi.

Potomkowie Habsburgów solidnie wzięli na widelec Skarb Państwa. Wnieśli też bowiem o zwrot pałacu w Żyw-

cu (była to najpoważniejsza i najgłośniejsza sprawa) i browaru książęcego. Mieli pretensje, że *żywiec* został sprywatyzowany.

Sucha Beskidzka. Położony obok suskiego zamku budynek nadleśnictwa pochodzi z 1875 roku. Odnowiony, przebudowany, elegancki, z szykowną elewacją i stolarką okienną z 2004 roku. Choć nie znajduje się w rejestrze zabytków, prace modernizacyjne przeprowadzono pod nadzorem konserwatora. Po to, by z pieczołowitością zachować jego charakter – willi secesyjnej.

Przed wojną mieścił siedzibę zarządcy dóbr leśnych, który miał tutaj swoje kancelarie i mieszkanie służbowe. Nieruchomość związana więc była bezpośrednio z gospodarką leśną i dekret PKWN pozwalał na jej przejęcie. Spadkobiercy Tarnowskich twierdzą jednak, że skoro działka znajduje się w mieście, to nie jest ona lasem. I domagają się jej zwrotu. Skarżą też Lasy Państwowe (LP) o bezumowne użytkowanie budynku od 1945 roku. Apetyt mieli na dużo więcej.

– W 1997 roku kancelaria adwokacka z Krakowa wystąpiła w imieniu

mieszkających w Szwajcarii i we Francji spadkobierców Tarnowskich z żądaniem zwrotu ich dawnego majątku leśnego – relacjonuje Tadeusz Kosman, nadleśniczy w Suchej. – Zamierzali odzyskać około 600 ha. Sprawa trafiła nawet do Sądu Najwyższego. Przegrali kasację i mamy spokój, jeśli chodzi o las.

Cisza jednak nie zapadła. W 2005 roku wniesiono kolejny pozew, właśnie o zwrot budynku nadleśnictwa, którym LP zarządzają od 1946 roku, mając w ręce oryginalne protokoły przejęcia nieruchomości. Spór o willę trwa w najlepszym i biegnie teraz dwoma torami: administracyjnym i sądowym. Sąd cywilny zawiesił postępowanie do czasu rozstrzygnięcia konfliktu przez organa administracji państwowej. Pierwszym był wojewoda małopolski, który stanął po stronie Tarnowskich.

– W mojej ocenie popełnił błąd, bo zamiast oddalić sprawę uznając, że budynek nadleśnictwa związany jest z lasem, w związku z czym urząd wojewody nie ma kompetencji do rozpatrywania tego typu spraw, to wydał decyzję, że nie został on przejęty zgodnie z dekretem o reformie rolnej – mówi T. Kosman. – Idąc tym

tokiem rozumowania można rzec, że stało się to nielegalnie i wobec tego musimy budynki zwrócić.

Leśnicy zaskarżyli niekorzystne orzeczenie wojewody argumentując, że zostało wydane błędnie w oparciu o dekret o reformie rolnej, zamiast o przepisy dekretu o upaństwowieniu lasów. Sprawa przeniosła się do wyższej instancji – resortu rolnictwa. Tam ugrzęzła przed czterema laty. Ministerstwo odpowiada, że jest skomplikowana, więc musi potrwać.

Spadkobiercy Tarnowskich patrzą też pożądlivym wzrokiem na miasto. Po części dopięli swego. Odzyskali budynki dawnej ochronki dla sierot. Połączani sukcesem liczą na kolejne zwycięstwa. A gra toczy się niemal o pół miasta – o renesansowy zamek, tereny wzdłuż szosy biegnącej do Żywca, dawny tartak, była elektrownia, niedysyjszą odlewnię żeliwa. To wszystko należało do nich przed 1939 rokiem. Czas pokaże, czy i co odzyskają.

Przeszłość, i to ta bardzo odległa, skutecznie dogoniła Nadleśnictwo w Suchej. Płatanina historycznych zależności sprawiła, że suscy leśnicy mają pod swoim nadzorem 10,5 tys. ha lasów państwowych i aż 13 tys. ha lasów prywatnych. Jedne położone obok drugich, granica przy granicy. Gąszcz działek i ich posiadaczy – wspólnot leśnych i osób prywatnych. W sumie około 17 tys. właścicieli.

I rzecz osobliwa – serwituty, uprawnienia nadane chłopom do korzystania z królewskich i dworskich lasów (także łąk i pastwisk), wywodzące się jeszcze z czasów średniowiecza. Najstarsze, datowane na rok 1357, pochodzą z okresu rządów Kazimierza Wielkiego. Jak las przetrwały dumnie wszystkie epoki: Polskę szlachecką, zabory, międzywojnie, Hitlera, Stalina, komunę.

Feudalny przywilej poboru opału przysługuje wyłącznie mieszkańcom gminy Zawoja. Dlaczego akurat tutaj zachował się do dzisiaj?

– Trudno ustalić – odpowiada Tadeusz Jurzak, zastępca nadleśniczego w Nadleśnictwie Sucha. – Mamy szczątki dokumentów. Wiemy, że w 1958 roku podjęto nieudaną próbę uregulowania serwitutów. W operatach leśnych są jednozdaniowe wzmianki na ten temat. Chciałem wrócić do sprawy, ale natrafiłem na szereg przeszkód formalnych. Przede wszystkim nie ma źródeł historycznych, które pozwoliłyby odpowiedzieć na pytanie, jak rozumieć zapisy pochodzące z 1862 roku.

Urzędująca wówczas Krakowska ck. Komisja Krajowa do odkupu i regulacji ciężarów gruntowych uporządkowała instytucję serwitutów, wprowadziła stosowne ograniczenia i regulacje, potwierdzając tym samym urzędowo istnienie uprawnienia nadanego za Kazimierza Wielkiego. Zapisala, że przywilej przysługuje tym osadom, które faktycznie istnieją. Dzisiaj lista obejmuje 714 domów.

W życie weszła zasada, że zobowiązanie jest warunkowe – dotyczy komina, czyli konkretnego domu, którego mieszkańcy mają prawo gromadzić drewno na opał. Nie ma domu, nie ma serwitutu. Spisano starannie adresy i nazwiska gospodarzy, zaznaczając przy tym, że *prawo to (czyli serwitut – przyp. red.) ma być na przyszłość uregulowane*.

Nie sposób dzisiaj dociec, co mieli na myśli i czym kierowali się członkowie ck. komisji, dokonując tak mało precyzyjnego zapisu. Jego enigmatyczność stała się w każdym razie fundamentem trwałości prawnej królewskiego przywileju opałowego.

W najlepsze funkcjonuje w Zawoi, bo – w przeciwieństwie do okolicznych wsi, gdzie już dawno o całej historii serwitutowej zapomniano – nie zniósła go tam ck. komisja. I tak zostało. A obciążone są nim – niezależnie od formy własności – lasy państwowe, prywatne, a nawet teren parku narodowego.

Ile brano kiedyś chrustu – kubik, dwa kubiki? Tyle, ile ktoś potrzebował do celów opałowych. Różnie zapisano to uprawnienie. Dawniej obowiązywała zasada, że *uzbierane drewno może być wywiezione na wozach lub saniach z zaprzęgiem lub bez albo wynoszone na plecach*. I takie sformułowanie zawiera też dzisiaj asygnata serwitutowa.

Kolejne dwa warunki również pozostają niezmiennie: drewno wolno zbierać tylko takie, które da się przelamać o kolano, bez użycia siekier, pił i innego sprzętu, i wyłącznie do własnych celów opałowych. Jego sprzedaż lub odstąpienie, podobnie jak asygnaty, zagrożone jest utratą uprawnienia.

Asygnaty (ważność zachowują do końca danego roku kalendarzowego) wydaje Nadleśnictwo Sucha w oparciu o listę domów potwierdzoną notarialnie za zgodność z oryginałem, czyli spisem załączonym do dokumentu regulacyjnego ck. komisji z 1862 roku. Miejsce zbiórki wyznacza leśniczy. Są takie gospodarstwa, które co roku zwożą drewno.

Dość oryginalnie, jak na ducha i standardy dzisiejszych dokumentów urzędowych, brzmi zwłaszcza wstęp asygnaty: *Na podstawie rozporządzenia Krakowskiej ck. Komisji Krajowej do odkupu i regulacji ciężarów gruntowych z dnia 12 listopada 1862 r z. L. 7360 i Protokołu Komisji Lokalnej w Wadowicach z 1866 roku ustalających prawo do poboru opału dla mieszkańców gminy Zawoja, zezwala się na terenie lasów własności Skarbu Państwa w zarządzie PGL LP Nadleśnictwo Sucha Pani/Panu (...) na zebranie drewna na opał na poniższych zasadach*: tu punkty od 1 do 9 określające, co, kiedy i w jaki sposób można w lesie zbierać.

Niektórym serwituty przesyły obok nosa. Zgodnie z kodeksem cywilnym, który reguluje służebności rzeczowe, tego rodzaju uprawnienie powinno być wykonywane w ciągu 10 lat. Jeśli nie jest, w jedenastym roku wygasa. I kilku gospodarzy nie dostało asygnaty, bo po zbyt długiej przerwie przypomnieli sobie o przysługującym im przywileju.

– Gdyby LP chciały gromadzić leżaninę – zebrać ją, załadować, zwieźć na dół i sprzedać – koszty takiego przedsięwzięcia przewyższyłyby wielokrotnie wartość tego opału – dodaje T. Kosman. – Ci ludzie robią dobrą robotę. Sprzątają las. Czasem aż za bardzo, bo zubażają środowisko z rozkładającego się drewna, które jest siedliskiem małych organizmów. Ale skala tego zjawiska nie jest na szczęście duża.

Oprócz Zawoi serwituty na terenie katowickiej RDLP przetrwały jeszcze w rejonie Kłobucka m.in. we wsi Borowe. Ludzie chodzą tam więc nadal do lasu po swoje, czyli królewskie.

Góra Jasień, 521 m. n.p.m. Kaplica Konfederatów Barskich, wzniesiona, jak głosi tablica, w 1773 roku dla upamiętnienia potyczki, jaką stoczyły w 1771 roku oddziały konfederatów z wojskami gen. Suworowa. Podobno tutaj do niewoli rosyjskiej dostał się ranny w bitwie hr. Maurycy August Beniowski. Zabytek utrzymuje suskie



Spadkobiercy Tarnowskich chcą odzyskać renesansowy zamek w Suchej Beskidzkiej



Hubert Kobarski, nadleśniczy w Bielsku

nadleśnictwo, podobnie jak ścieżkę przyrodniczą prowadzącą na szczyt Jasiona.

Za czasów Tarnowskich południowy stok tej góry zamieniono w teren leśno-parkowy. Powstały ścieżki, mostki, a nawet drogi, po których jeżdżono bryczkami. Aleje obsadzano sprowadzonymi przed wojną z Ameryki Północnej, nieznanymi tu wcześniej, gatunkami drzew – sosną wejmutką, dębem burgundzkim i czerwonym. Dzisiaj są przyrodniczą ciekawostką.

Centrum Bielska, Zamek Książąt Sułkowskich. Wyremontowany, zadbane, dostojny. Teraz siedziba Muzeum Historycznego. Rezydencja znajdowała się we władaniu rodu Sułkowskich do 1945 roku. Potem upaństwowiono ją i oddano LP, by pod koniec lat 40. przekazać resortowi kultury. Spadkobiercy poszli do sądu. Na rozprawie przywołano wszystkich kolejnych właścicieli.

– Jesteśmy w sądzie w Bielsku, podchodzi adwokat drugiej strony i mówi: – Może panowie się poznać, jest tutaj książę, potomek Sułkowskich z Austrii – wspomina B. Gieburowski. – I podszedł wskazany mężczyzna, przywitał się i pyta, jak będziemy stawić sprawę? Mówię: – Zamek stanowi własność Skarbu Państwa i jest teraz w gestii ministra kultury. I ministerstwo nie oddało go. Gdyby to zależało od nas, też nigdy byśmy nie poszli na ugodę sądową.

Innym torem potoczyły się losy Zespołu Klasztoro-Pałacowego w Rudach Raciborskich, dawnej siedziby Opactwa Cystersów. Zniszczony wojną i podupadły zabytek otrzymali najpierw leśnicy, którzy jakiś czas temu przekazali go staroście gliwickiemu, a ten nowo powstałej diecezji gliwickiej. Kuria nie marnowała czasu, załatwiła dotację, podniosła pałac do ruin, starannie wyremontowała, urządziła w jego wnętrzu funkcjonalne centrum edukacyjne i muzeum.

W równie interesujące wątki obfituje historia z lasem wokół klasztoru oo. Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej. To miejsce wielkanocnych inscenizacji Misterium Męki Pańskiej, z rozrzuconymi w terenie stacjami drogi krzyżowej. Kiedyś zarządzało nim Nadleśnictwo Andrychów, mając wynikający z tego faktu niemały kłopot.

Co roku bowiem oo. Bernardyni wysyłali do nadleśnictwa monity informujące o zbliżającym się czasie procesji i zagrożeniu, jakie stwarzały suche gałęzie, które – w ich mniemaniu – w każdej chwili mogły oderwać się od drzew i spaść uczestnikom drogi krzyżowej na głowę. Groziło to zranieniem, a nawet śmiercią – alarmowali.

– Wynajmowaliśmy ludzi, którzy jak alpinści wspinali się na linach na drzewa i wycinali suche gałęzie – wspomina B. Gieburowski. – Potem jak tylko oo. Bernardyni wystąpili z wnioskiem, żeby ten las przekazać im poprzez kościelną komisję majątkową, od razy zgodziliśmy się na to. I teraz oni odpowiadają za bezpieczeństwo pańników.

Beskid Śląski. Błatnia, Klimczok, Równica, Czantoria. Najbardziej popięta szlakami turystycznymi, zabudowana schroniskami i penetrowana przez turystów część polskich gór. Las trzeba ludziom udostępnić, stworzyć warunki do wypoczynku. Stąd nowe drogi, parkingi, szlaki. Inwestują LP. Zarabiają schroniska, hotele, knajpy, ośrodki wypoczynkowe, właściciele kwater.

Kłęsk jest tutaj sporo – tych żywiołowych: powodzi i pożarów, i tych cywilizacyjnych: zdeptania, niszczenia, zaśmiecania. Najgorsze są powodzie, trudno im zaradzić i walczyć z nimi w górzystym, niedostępnym często, terenie. Pożary zdarzają się, ale nie są już tak groźne, jak kiedyś.

– To między innymi dzięki rozbudowie sieci dróg leśnych – powiada Hubert Kobarski, nadleśniczy w Bielsku. – Do czerwca tego roku mieliśmy trzy przypadki – w leśnictwie w Lipni-

ku i Straconce. Ewidentne podpalenia. Sprawców nie złapano. Straty niewielkie – poszło poszycie i 20 arów upraw i młodników. Ludzie szybko zauważyli ognie i zadzwonili gdzie trzeba.

Jeszcze bardziej wymowny jest przykład Łysej Góry. W 1979 roku wybuchł tam pożar w pobliżu ośrodka leczniczego Stalownik. Spaliło się dużo – 9 ha. Ogień podłożyło dwóch chłopców, których złapano. Potem wybudowano drogi. Po około 10 latach kolejny pożar w tym samym miejscu, prawdopodobnie sprawka pacjentów Stalownika. Żywiol zniszczył 2 ha. Za trzecim razem spłonęło już tylko 60 arów.

Skuteczną reakcją strażaków umożliwiła odpowiednio zbudowana droga, co w konsekwencji przełożyło się na zminimalizowanie strat. Ciężki wóz bojowy wprawdzie nie dojedzie do każdego kawałka lasu ogarniętego ogniem z różnych powodów, choćby ukształtowania terenu, ale dotrze dość blisko. I jest dobrze, jeśli pożar ma w zasięgu kilkuset metrów, bo pozwala strażakom na prowadzenie szybkiej akcji.

Charakterystyczne, że na to, czym zarządza RDLP w Katowicach, ogromny – by nie powiedzieć decydujący – wpływ mają historyczne zaszczości. Obszary leśne w rejonie Katowic, Bielska-Białej, Częstochowy i Opola znajdowały się kiedyś pod jurysdykcją trzech zaborców, potem w części (Opolszczyzna) III Rzeszy. Z tego faktu wynikają określone konsekwencje.

Takie, że dzisiaj sporo prywatnych lasów znajduje się w pasie między Częstochową a Sosnowcem, co jest spadkiem po zaborze rosyjskim, gdzie władze carskie honorowały prywatną własność gruntu i uprawnienia serwitutowe. Podobnie rzecz się ma w Beskidzie Śląskim, Żywieckim i Makowskim, które obejmował zabór austriacki. Prywatnych lasów nie znajduje się natomiast na Opolszczyźnie, ponieważ tereny upaństwowiono bowiem w całości, niezależnie od powierzchni jaką zajmowały.

Cień zaborów w połączeniu z literą dekretu PKWN stworzył arcyciekawą sytuację w LP, chociażby w Nadleśnictwie Katowice, które ma teraz w zarządzie około 14 tys. ha lasów państwowych, podczas gdy przed wojną było ich na tym terenie niewiele ponad 200 ha. Większość znajdowała się wówczas w rękach prywatnych, w tym m.in. słynne lasy pszczyńskie i tereny leśne spółki Gische.

Niektórzy dawni właściciele wygrywają sprawy sądowe i odzyskują leśne majątki. Dzieje się tak wtedy, kiedy operację upaństwowienia przeprowadzono wbrew przepisom, nacjonalizując las zajmujący powierzchnię poniżej 25 ha. Kto miał więcej, zgodnie z postanowieniami dekretu PKWN, tracił grunt na rzecz Skarbu Państwa. I teraz nie ma podstaw prawnych, by się o niego upominać.

• **Lojalność i zaufanie**

Lojalność wobec siebie, innego człowieka czy instytucji jest obecna w życiu społecznym od zawsze. Cnota lojalności silnie powiązana jest między innymi z zaufaniem. Jeśli komuś ufamy a ten ktoś nie zawiedzie naszego zaufania, to staramy się być wobec niego lojalni. Zaufanie wiąże się więc z niepewnością wobec przyszłości – oddajemy w wyborach głos na przedstawicieli konkretnej partii, ponieważ ufamy, że dokonają zmian na które czekamy. Tak więc zaufanie to szczególny pomost do nieznanego przyszłego świata, w którym centralną rolę odgrywają ludzie którzy są potrzebni. Są to ludzie, co do których mamy nadzieję, że dzięki nim osiągniemy zamierzone cele. Ufam im a więc jestem lojalny i oddaję na nich swój głos, np. w wyborach. We współczesnym świecie polskiej polityki zależność ta jest mało obecna. Polacy nie obdarzają polityków zaufaniem, a więc i nie pozostają wobec nich lojalni w kolejnych wyborach. Stąd po raz pierwszy od początku polskiej transformacji w październiku 2011 roku Polacy wykazali lojalność wobec dotychczasowej władzy i ponownie powierzyli jej mandat rządzenia Polską. Wcześniejsze wybory za każdym razem przynosiły zmianę ekipy rządzącej, co można odczytać jako zawiedzione zaufanie i brak lojalności Polaków wobec sprawujących władzę. Dzisiaj największym zaufaniem Polaków cieszy się prezydent RP Bronisław Komorowski (69% zaufania), co, według wszelkich prognoz, przełoży się na lojalność Polaków wobec obecnego Prezydenta w wyborach w roku 2015. Dużo mniejszym zaufaniem cieszy się premier Donald Tusk (31%), którego realny wpływ na jakość życia Polaków jest wysoki. To niskie zaufanie przekłada się na niski poziom deklaracji wyborczych – lojalność – Polaków w kontekście wyborów parlamentarnych 2015 roku. W omawianym aspekcie nie powinien więc dziwić wysoki poziom zaufania Polaków wobec rodziny, który przekłada się na bezwarunkową lojalność jej członków wobec siebie.

• **Lojalność a uczciwość**

Tak jak ważna i znacząca jest zależność między zaufaniem a lojalnością, tak też ważna jest relacja między uczciwością a lojalnością. Nie wiemy, czy łatwo jest być Bogiem, lecz świadczę, że bardzo trudno jest być człowiekiem, zwierzał się król Dawid, bohater tomu Carlo Cocciolięgo. Istotnie, niezwykle opornie przychodzi dochowanie standardów ludzkiej przyzwoitości, i to zarówno w życiu codziennym, jak i odświętnym. Uczciwość jest bowiem stanem ducha i umysłu, wzmacnianym indywidualnym poczuciem smaku i honoru. Nie ma uczciwości powszechnej czy planetarnej. Nawet zapisy dekalogu u wielu ludów świata nie znajdują respektu i posłuchu. Czasami naruszają ich poczucie godności i burzą utrwalone historycznie tradycje kulturowe. Na przykład dekalogowy nakaz: *nie kradnij* odrzucają liczne plemiona Afryki Czarnej. Młody Masaj może założyć rodzinę wtedy, gdy sprytnie i bezkarnie okradnie sąsiada. To szczególnie znak jego dojrzałości i gwarancja dobrostanu dopiero co zawartego małżeństwa. Śląski złodziej węgla bywa rozgrzeszany przez lokalną społeczność biedą, niedostatkami czy wreszcie upadkiem kopalni. Jego codzienny łup sta-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Cnota lojalności (II)

je się dowodem życiowej zaradności, przewrotnego sprytu i umiejętności dostosowawczych. Co gorsza, bezwzględna uczciwość może być źródłem cierpienia i poważnie je pomnażać. Do takich należy prostomyślna informacja o śmiertelnej chorobie najbliższej nam osoby, oczekującej na zgoła inny typ doniesień, nawet z gruntu fałszywych. Wówczas sięgamy do biblijnego usprawiedliwienia i przypominamy, że *sprawiedliwe wargi podobają się królowi, kocha on tego, kto mówi szczerze*.

• **Powszechna historia niktzemności**

Jednak sokratejska cnota uczciwości, prawości i lojalności warta jest najwyższej pochwały czy wręcz pieśni. Nawet, jeśli przyszło nam żyć w otoczeniu dwuznacznym moralnie, skorumpowanym czy wręcz zdemoralizowanym. Ryba nie tylko psuje się od głowy, jak głosi znane przysłowie, ale i od ogona również. I my sami w tym procesie uczestniczymy, często go przyspieszając. *Powszechnej niktzemności*, używając terminu Jorge Luis Borgesa, nie powiększają przecież jedynie osoby bezwyznaniowe, ale mają w niej udział deklarujący bogobojność katolicy, protestanci czy Żydzi. Warto zatem zacząć od uderzenia się we własne, a nie cudze, piersi, od naszej przyzwoitości, która powinna być oparta na przejrzystych zasadach moralnych. Trzeba zrobić to także w językach prywatnych ulokowanych na przykład na Górnym Śląsku, regionie przez dziesięciolecie czy wręcz stulecie opatrywanym, pewnie na wyrost, etykietami uczciwości, solid-

ności i wreszcie pracowitości. Dzisiaj i tutaj deficyt tych wartości jest nader oczywisty i w żadnym przypadku nie zmienią tego ogłędu zakłęcia sentymentalnych regionalistów. Poruszające spektakle nieuczciwości, erozji prawości, godności i honoru znaleźć można w wielu śląskich miastach, a głównymi w nich aktorami bywają i *gorole*, i *hanysy*. Region nie jest wyizolowaną, a przy tym zdrową enklawą w chorym państwie Starego Kontynentu. W poszukiwaniu uczciwości przestańmy być źródłem niepotrzebnych cierpień innych, w tym i bliskiego nam, i dalszego otoczenia społecznego. Niektórzy już to uderzyli się we własne piersi lub usiłują to robić, budując życiorys wart naśladowania. *To wcale nie wymagało wielkiego charakteru – pisał cytowany już Zbigniew Herbert, sam przecież niedoskonały – mieliśmy odrobinę niezbuźnej odwagi / lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku / Tak smaku / który każe wyjść skrzywić się wycedzić szyderstwo / choćby za to miał spaść bezcenny kapitel ciała / głowa*.

• **Lojalność kapitałowa i kodeksowa**

Zarówno zaufanie, uczciwość, jak i lojalność są ważnymi elementami kapitałów ludzkiego, społecznego czy kulturowego. Kapitał ludzki (*human capital*) to wszelkie umiejętności pojedynczych ludzi, ich skumulowana wiedza, zdolność do podejmowania pracy czy stan zdrowia i poziom higieny. Wśród tych wartości, w które wyposażony jest człowiek, ważną rolę odgrywa lojalność, która pozwala harmonijnie i dobrze współżyć z innymi ludźmi, ale i instytucjami. Przykładem jest praca, której podjęcie zawiera w sobie element lojalności wobec firmy i pracodawcy. Ale równocześnie lojalność ta nie powinna być kojarzona z wiernopoddąctwem, ślepych posłuszeństwem, bezrefleksyjnym wykonywaniem poleceń, których skutki dla firmy mogą być negatywne. Wśród najważniejszych cech lojalności zespołu można wyróżnić m.in. współpracę wewnętrzną, zaangażowanie w wykonywanie swoich zadań, wspólne wyciąganie wniosków z sukcesów i porażek, wzajemne zaufanie do przełożonego i siebie nawzajem pracowników, przestrzeganie norm i zasad pracy, a także wysoki poziom zdyscyplinowania. Ważnym jest również poczucie dumy z pracy i przynależności do firmy, jak i dostrzymywanie tajemnic zawodowych i dyskrecja. Zgodnie z art. 10 Kodeksu pracy mówiącym o zasadzie wolności pracy w Polsce podejmowana jest dyskusja o lojalności nade wszystko menedżerów wobec pracodawcy. Posiadający wysokie kwalifikacje menedżer może starać się o pracę w konkurencyjnej firmie. W takiej sytuacji uaktywnia się problem lojalności pracownika wobec firmy i możliwości jej weryfikacji przez pracodawcę. Legalną formą działania w takich okolicznościach jest wyłącznie swoisty rachunek sumienia i rachunek możliwości, co można zrobić, aby zatrzymać pracownika. Sprawdzanie lojalności przez dostępem wystawianie go na różne próby jest działaniem bezprawnym i w rzeczywistości nie przynoszącym żadnych pozytywnych rezultatów.

Felieton powstał we współpracy
z prof. UO dr hab. Anną Słiz



Podnóże Góry Birów

Śladami rycerzy i legionistów

MARIA
SZTUKA

Francuzi szczerą się zamkami w malowniczej Dolinie Loary, Brytyjczycy wabią widokami w Parku Narodowym Peak District, Włosi kuszą oszałamiającą urodą tokańskiego krajobrazu. Nie mamy się czego wstydzić a tym bardziej narzekać – miejsc, do których można zapalać miłością od pierwszego wejrzenia w kraju nad Wisłą nie brakuje. Wszystkich niedowiarków zachęcam do spędzenia choćby kilkunastu godzin w jednym z najbardziej magicznych zakątków Polski, w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, krainie o urzekającej roślinności (o każdej porze roku), gdzie natura z historią żyją w niebywałej zgodzie, chroniąc się wzajemnie. Dwa bajeczne szlaki turystyczne: Warowni Jurajskich i Orlich Gniazd nie zawiodą nikogo, od lat fascynują każdego, kto się tu pojawi. Zachwycony malowniczymi zakątkami Stanisław Leszczycki w 1927 r. na łamach Dwutygodnika Krajoznawczego Ilustrowanego „Ziemia” zaproponował wytyczenie trasy przebiegającej z Krakowa poprzez Płaskowyż Ojcowski i Garb

Tenczyński. Szlak w kolorze czerwonym wprawdzie został oznakowany, lecz zaniedbany przez konserwatorów, uległ zniszczeniu. Upomniął się o niego dopiero w 1948 r. na łamach tego samego czasopisma Kazimierz Sosnowski, profesor Akademii Handlowej w Krakowie, wielce zasłużony dla rozwoju polskiej turystyki krajoznawca, autor pierwszego przewodnika turystycznego.

Nazwa „Orle Gniazda” pochodzi od usytuowania warowni i zamków w miejscach, które miały być niedostępne, niczym gniazda orłów. Szlak ochrzcił jednak znacznie wcześniej, goszczący na zaproszenie Zygmunta Krasieńskiego w Złotym Potoku w 1857 roku, jakże tragicznym dla twórcy Nie-Boskiej Komedii (jesienią zmarła jego najmłodsza córka, 4-letnia Elżbietka, jej prochy spoczywają w kościele w Złotym Potoku) – Wiktoryn Zieliński, poeta i późniejszy powstaniec. W zainspirowanym urokami doliny Warty i Wiercicy poemacie „Dwie ojczyzny” z rozbrajającą szczerością przyznawał:

*Krasna ziemia zadnieprzańska
nocną porą pośród gwiazd
Lecz piękniejsza nadwarciańska
ze swym szlakiem orlich gniazd...*

Niezwykła przyroda, romantyczne wapienne ostańce, posępne ruiny warowni, potężne zamczyska, tajemnicze jaskinie i niezdojone skalne czeluści pobudzały wyobraźnię, budziły sentymenty, wzniecały namiętności nie tylko romantyków... Do dziś są natchnieniem dla poetów, malarzy, muzyków.

Zapraszam na krótką przejażdżkę jurajskim szlakiem, krótką – inaczej wszak nie można – ponieważ według historyków samych tylko warowni i zamków na szlaku jest blisko czterdzieści, pomników przyrody chyba nikt nie liczył, podobnie jak bajecznych ostańców czy tajemniczych jaskiń. Nie sposób także wskazać wszystkich niezwykle ukształtowanych skał wapiennych, grzebienic, iglic, bram, dziurawców, czy pamiątek wczesnośredniowiecznych grodzisk skalnych...

Na początek jednak nieco historii. Wiele napotkanych po drodze strażnic, warowni i zamków nigdy by nie powstało, gdyby nie zapobiegliwość króla Kazimierza III Wielkiego. Po utracie w 1356 r. Śląska, Jura stała się terenem nadgranicznym, którego obrona była głównym elementem strategii ówczesnego państwa. Obmyślony przez monarchę system zabezpieczał nie tylko granice ale także ważne szlaki handlowe wiodące ze Lwowa do Wrocławia. Za panowania króla Kazimierza ufortyfikowano 53 zamki i umocniono 27 murowanych fortyfikacji miejskich. Historycy różnie oceniają polityczne poczynania syna Władysława I Łokietka, niepod-

ważalnym pozostaje jednak fakt, że krocie wydane wówczas ze skarbu państwa nie poszły na marne. Do XVII wieku linia zamków jurajskich była nie do zdobycia. Okrutnego zniszczenia dokonali dopiero Szwedzi. Wiele warowni i zamków nigdy już nie podniosło się z tej pożogi.

Ruiny gotyckiego zamku w Smoleniu

Zamek wznosi się ponad niewielką wsią Smoleń, leżącą na trasie pomiędzy Pilicą a Wolbromiem, wieś nazwę swą zawdzięcza sięgającej XIV wieku tradycji wyrabiania tu smoły. O miejscu na niedużym parkingu, graniczącym z polem biwakowym nie musimy się martwić, wielkich tłumów nigdy tu nie ma. Na zbudowane z wapieni jurajskich wzgórze zamkowe wiedzie malownicza ścieżka, u podnóża której falujące, rozłożyste modrzewie chronią przed słońcem, próżno go już szukać w wyższych partiach, gdzie królują wielowiekowe graby i potężne, strzeliste buki. Wiele z nich uległo nawałnicom i piorunom zastygając w wysokich na kilka metrów fantastycznie wyrzeźbionych przez naturę kikutach. Do podzameczka wkraczamy znakomicie zachowaną gotycką bramą, noszącą ślady mechanizmu opuszczającego kraty, dalej drogą wodocą wzdłuż resztek murów dwumetrowej grubości wkraczamy na rozległy dziedziniec. Nad głowami na skale wznosi się szesnastometrowej wysokości okrągła wieża z kamienia łamanego, gdzieś tam widnieją w niej otwory. Chwilę zasłużonego odpoczynku zapewniają pozostałości po ściętych potężnych bukach, to znakomity punkt obserwacyjny.

Zamek jest najprawdopodobniej dziełem Ottona z Pilicy herbu Topór, który wznosił go na wzgórzu w połowie XIV wieku. Dwieście lat później kolejni właściciele Padniewscy opuścili Smoleń przenosząc się do znacznie okazalszej siedziby w Pilicy a opustoszały zamek w 1655 r. bez trudu zdobyli i zniszczyli Szwedzi. W połowie XIX w. Smoleń trafił w ręce amatora historyka i archeologa Romana Hubickiego, który uruchomił na terenie zamku fabrykę śrutu.

Siedząc na dziedzińcu nie sposób nie zauważyć głębokiego otworu w ziemi, szczelnie pokrytego solidną kratą. To studnia, którą według nie potwierdzonych źródeł wykuli w skale jeńcy tatarscy, jej legendarna głębokość sięgać miała dwustu metrów. Według przekazywanych z pokolenia na pokolenie podań, Tatarzy drążąc ową studnię dotarli do podziemnych korytarzy, które wiodły do jaskini (w okolicy jest ich ok. 50.) Biśnik koło Grodziska a w jednym z zaułków, wyłobionych przez wodę ukryli cenne kosztowności. Nic więc dziwnego, że cześć wzbudzała zainteresowanie poszukiwaczy skarbów. Aby zakończyć więc niebezpieczne eskapady, zasypano znaczą część studni, pozostawiając zaledwie 26 metrów a wejście zabezpieczono żeliwną konstrukcją.

W latach 70. XX wieku przypominano sobie o zamku w Smoleniu i za sprawą



Dziedziniec zamku w Smoleniu

PTTK w Olkuszku przeprowadzono w ruinach prace remontowe i zabezpieczające, rozpoczęto także badania archeologiczne. Konserwacja wytrzymała jednak tylko do zimy 2010 r. – kiedy to powalone drzewa poważnie uszkodziły mury zamku. Obecnie obowiązuje zakaz zwiedzania ruin, można jednak podziwiać je nadal, spacerując ścieżkami okalającymi budowlę. Prace zabezpieczające trwają tam nadal, w maju udostępniono wieżę, z której można podziwiać niezwykle widoki. Zabytek wciąż czeka na lepsze czasy i... sponsorów.

Osobliwości Bydlina

Warto, jadąc z Pilicy do Wolbromia wpaść do niewielkiej miejscowości Bydlin. To jedno z najrzadziej odwiedzanych miejsc na Szlaku Orlich Gniazd. Historia wsi sięga XII wieku, rozstawił ją jednak dopiero w XIV w. dziedzic okolicznych terenów rycerz Niemierza herbu Strzała, wznosząc na tutejszym skali-

stym wzgórzu zamek obronny. Wieś przez półtora wieku (1388–1540) szczyła się nawet posiadaniem praw miejskich. Dziwne były losy zamku, często zmieniali się nie tylko właściciele, ale i jego przeznaczenie. Na początku XVI wieku Firlejowie przebudowali zamek i przenieśli go w kościół katolicki, niewiele później, w 1570 r. Jan Firlej oddał go w ręce zbroń arińskiego. Trwało to jednak zaledwie 24 lata, ponieważ kolejny potomek Firlejów – Mikołaj przywrócił świątynię katolicką, od której wezwania – Świętego Krzyża – wzgórze nosi do dziś nazwę. Nie oszczędzili kościoła zmierzający do Częstochowy Szwedzi, pozostawiając na skale zgliszcza. Wprawdzie po kilkudziesięciu latach rodzina Męcnińskich odbudowała zamek, ale kolejni jego właściciele nie byli zainteresowani stałym użytkowaniem i od końca XVIII wieku budowla popadała w coraz większą ruinę.

Zanim jednak udamy się do zachowanych resztek świątyni, warto odwiedzić cmentarz znajdujący się u podnóża wznies-



Grób Legionistów w Bydlinie

sienia. W centralnym miejscu nekropolii, nad zbiorową mogiłą legionistów Józefa Piłsudskiego, poległych 17–18 listopada 1914 r. w bitwie pod Krzywopłotami (oddalonymi od Bydłina o 3 km) wznosi się 7-metrowy krzyż z kamienia ciosanego. 17 listopada 1914 r. legionieści pod dowództwem komendanta Mieczysława Rys-Trojanowskiego zajęli pozycje wokół wzgórza zamkowego, następnie ruszyli na stojące w Załężu wojska rosyjskie, rozpoczynając bitwę. Tu przebiegała linia obrony armii austrowęgierskiej, biegnącej od Skąły przez Jangrot, Bydlin do Kromolowa. Rosyjskie ataki powstrzymywały: 4 i 6 batalion 1 Pułku Piechoty Legionów. W trakcie walk zginęło 46 legionistów, poległ tu także brat przyrodni Ignacego Paderewskiego – Stanisław – dowódca 3 kompanii 6 batalionu. Sześć lat później (1920 r.) marszałek Piłsudski ufundował krzyż na bydlińskim cmentarzu, oddając cześć bohaterskim żołnierzom i chroniąc od zapomnienia miejsce bitwy, którą nazwał „Krzywopłockimi legionowymi Termopiami”.

Droga na wzgórze zamkowe urzeka szczególnie jesienią, usłana jest wówczas dywanem liści potężnego lasu, który okala wznoszące się na szczycie fragmenty murów zamkowej kamienicy, resztki fundamentów i rowy po fosie. Zawalenie się w 2009 r. południowej ściany budowli zmobilizowało władarzy gminy do przeprowadzenia podstawowego remontu. Umocniono obluźwane kamienie, uzupełniono spoiny, usunięto wrośnięte w mury drzewa i krzewy. Dziś do ruin prowadzi wyremontowane schody. Niemy świadek ponad 600-letniej historii będzie zapewne w listopadzie miejscem szczególnym podczas obchodów 100-lecia bitwy pod Krzywopłotami.

Śladami Powstania Styczniowego

Na koniec propozycja dla wielbicieli wędrówek śladami historycznych zrywów narodowościowych. Osadzone na wysokich skałach zamki i warownie stanowiły znakomitą lokalizację dla przemierzających się oddziałów powstańczych. Najkrótsza, ale pełna wymownych pamiątek po Powstaniu Styczniowym lekcja historii wiedzie z Ojcowa, gdzie stacjonował oddział Apolinarego Kurowskiego, który w lutym 1863 roku wyruszył w kierunku Zagłębia Dąbrowskiego, po bitwie pod Małogoszczem zatrzymał się tu również, zmierzając do granicy austriackiej oddział Mariana Langiewicza. Zaskoczony w nocy 4 marca przez Rosjan, zdołał wydostać się z zastawionej zasadzki. Dwóch poległych w bitwie pod Pieskową Skądą powstańców spoczywa w mogile pod zamkowym wzgórzem. Dzień później oddział pod dowództwem M. Langiewicza i A. Jeziorańskiego stoczył bój pod Skądą, wyparcie Rosjan do Miechowa kosztowało życie kilkudziesięciu powstańców. W 1953 r. przenie-



Pieskowa Skala, początek jurajskiego szlaku Powstania Styczniowego

siono ich prochy do wspólnej mogiły, która znajduje się u podnóża zamku. 15 sierpnia 1863 r. Zamek w Pieskowej Skale był również świadkiem przejścia oddziałów hr. Aleksandra Krukowieckiego, które zmierzały w kierunku Imbramowic.

Kolejnym miejscem, którego ominąć nie sposób jest mała wieś na drodze do Olkusza, Krzykawka, która 5 maja 1863 r. stała się polem krwawej bitwy. Korpus dowodzony przez generała Józefa Miniewskiego połączony z włoskim legionem garibaldczyków nie zdołał pokonać rosyjskiego natarcia. W bitwie zginęło wielu powstańców, poległ tu także włoski generał Francesco Nullo, którego grób znajduje się na cmentarzu w Olkuszu.

Szlak Orlich Gniazd liczy blisko 164 km. Miejsc naznaczonych heroizmem polskich patriotów nie sposób policzyć. Pamięć o powstańcach, uczestnikach I wojny światowej czy partyzantach AK, AL i BCH przechowują przydrożne kapliczki,

kamienne i drewniane krzyże, obeliski, pomniki i tablice wykute w skałach i groby na miejscowych cmentarzach.

LOS średniowiecznych budowli był tak różny, jak różnie toczyły się dzieje ich kolejnych właścicieli. Po wielu rycerskich zamkach czy warowniach pozostały kamienne ślady i zapiski w dokumentach (np. Mstów, Łutowice, Przewodziszowice, Ostrężnik), inne oparły się wojnom, najazdom, pożarom i krwawym oblężeniom a nawet hordom szabrujących je grabieżców i przetrwały do XXI wieku w postaci mniej (np. Bydlin, Smoleń, Mirów, Ojców) lub bardziej okazałych ruin (np. Ogrodzieniec, Olsztyn). Niektórym los bardziej sprzyjał i gruntownie remontowane (np. Pieskowa Skala, Będzin), odrestaurowane lub zrekonstruowane (np. Korzkiew, Bobolice, Siewierz) przeżywają swój renesans i przyciągają tłumy turystów.

Pozostawić ruiny biegowi dziejów, czy zrekonstruować (nawet, jeśli nie zawsze są to wierne kopie pierwowzorów) – to problem, z którym zmagają się konserwatorzy zabytków. Władarze gmin z zadowoleniem obserwują stale rosnące zainteresowanie jurajskimi szlakami. Przybywa kuszących atrakcji – turnieje rycerskie, nocne pokazy sztucznych ogni, przeglądy filmowe, koncerty, rekonstrukcje bitew... oryginalnych pomysłów nie brakuje. Zapewne toczące się spory nigdy się nie zakończą, ale skoro magiczna Jura przyciąga równie silnie miłośników przyrody, wielbicieli ruin co entuzjastów rekonstrukcji – Szlak Orlich Gniazd pozostaje niezmiennie najciekawszą lekcją historii. W dobie niszczenia wszystkiego, co było, jakże to cenna i chwalebna misja.



Jurajska perła – Ogrodzieniec

– Gdy kilka lat temu na festiwalu Camerimage zorganizowano z tobą spotkanie przyszedł na nie tylko cztery osoby, w tym ja. Byleś wtedy w Polsce właściwie nieznany, po *Idzie* uległo to jednak zmianie. Czy spodziewałeś się, że wszyscy zakochają się w tym filmie?

– Po raz pierwszy zaiskrzyło chyba po *Lecie miłości*, ten film został w Polsce bardzo dobrze przyjęty. Prawda jest taka, że jeśli często nie robisz filmów, to przepadasz w mediach. W przypadku *Idy* najbardziej zaskoczyło mnie to, że na film poszły takie masy! No w Polsce może były to średnie masy, ale we Francji film obejrzało ponad pół miliona widzów. W Stanach też nieźle sobie radzi.

– *Ida* poradziła sobie za granicą lepiej niż nominowane do Oscara dzieła Agnieszki Holland czy Andrzeja Wajdy.

– Jeśli chodzi o Francję to jest to chyba największy sukces polskiego kina w historii, może oprócz *Ostatniego etapu* Wandy Jakubowskiej (*Śmiech*). *Ida* mi się podoba, miałem więc nadzieję, że spodoba się też innym, ale spodziewałem się jednocześnie, że swoją formą odstręczy dużą część widzów. Pierwsze reakcje okazały się jednak pozytywne. Ludzie bardzo ten film przeżywają. Pomimo tego, że wydaje się taki formalny i europejski, na festiwalu w Telluride wychodzili z kina strasznie wstrząśnięci, a mowa tu o Amerykanach. Chyba wtedy po raz pierwszy zauważyłem, że *Ida* ma w sobie siłę. Wbrew obowiązującej dziś gramatyce filmu udowadnia, że emocje można przekazać także za pośrednictwem szerokich kadrów i nieruchomej kamery, a nie tylko w zbliżeniu lub „z ręki”. Nie chodziło mi o to, żeby film był ładny, ładne kadry od razu trafiły do kosza. Chodziło o to, żeby poruszył w widzach jakieś struny.

– **Chyba się udało.**

– Zawsze znajdują się jacyś krytycy. Najgorsi są tacy półinteligenci, którzy zamiast przeżyć film od razu coś sobie wymyślają. Sam kiedyś taki byłem, jako student pisałem recenzje i gdyby ktoś chciał mnie torturować, to by mi je teraz przeczytał. Byłem wtedy mądrzejszy od samych braci Taviani (*Śmiech*). Większość krytyków taka po prostu jest, recenzja o wiele więcej mówi o samym krytyku niż o filmie. Czasem też w dobrym tego słowa znaczeniu – ostatnio ktoś wysłał mi fajną recenzję Davida Thompsona. Nie chodzi nawet o to, że była pozytywna, ale zaskoczyła mnie i nagle znalazłem się twarzą w twarz z ciekawym facetem, który zobaczył w filmie coś, czego nie zauważyłem nawet ja sam. Takie spotkanie z krytykiem, który nie jest belfrem, inkwizytorem czy zakompleksionym mądrąłą może być fajne.

– **Zapytam brzydko: po co ci był ten powrót do Polski? Zdecydowałeś się na to po tylu latach.**

Z PAWŁEM PAWLIKOWSKIM o jego wczesnych dokumentach, które nie były dokumentami, fenomenie *Idy* i ponownym wynalezieniu koła rozmawia MARTA BAŁAGA



Fot. Robin Holland

Zeszły rok upłynął w Polsce pod znakiem *Grawitacji*, *Życia Adeli* i... *Idy* – skromnego czarno-białego filmu, który nieoczekiwanie zgarnął nagrody na międzynarodowych festiwalach od Toronto po Londyn i pomimo tego, że jego reżyser większą część życia spędził w Wielkiej Brytanii, okazał się największym sukcesem polskiego kina od lat. A może właśnie dlatego?

„Lubię w filmach wielowarstwowość” – mówi Paweł Pawlikowski i trudno temu zaprzeczyć – urodzony w Warszawie filmowiec przez całą swoją karierę wymyka się klasyfikacjom. Próba pośpiesznego scharakteryzowania jego twórczości mija się z celem – oprócz *Idy* na swoim koncie ma dokumenty, które puryści odrzucali jako fabularyzowane, filmy fabularne uchodzące za „dokumentalizujące”, zmysłową opowieść o erotycznej fascynacji dwóch dziewcząt i thriller psychologiczny z Joanną Kulig deklamującą Norwidą. Pawlikowski słynie z niechęci do wywiadów, ale gdy spotykamy się w Laponii na Midnight Sun Film Festival okazuje się zabawnym, zdystansowanym do siebie rozmówcą. Podczas naszej rozmowy nerwowość okaże tylko raz – gdy do stolika podejdzie Aki Kaurismäki i spróbuje zmusić go do zagrania z nim w piłkę nożną.

Jestem amatorem

– Nie mam na to jakiegś logicznej odpowiedzi. Zawsze robię filmy o tym, co chodzi mi po głowie, tak samo było z *Idą*. Nagle nadszedł taki moment w moim życiu, że zacząłem spoglądać za siebie. Strasznie długo odkładałem powrót do Polski, teraz jedną nogą jestem jeszcze w Anglii, ale mieszkam już na Mokotowie. Ten świat wczesnych

lat 60. od dawna chodził mi po głowie, te piosenki, te klimaty, ten jazz. *Ida* jest listem miłosnym do pewnego rodzaju Polski, chociaż oskarżono mnie przecież o antypolskość.

– **Przynajmniej nie musiałeś się chować jak Pasikowski po *Pokłosiu*.**

– Może jeszcze będę się chował, zobaczymy jak to się dalej potoczy. W Pol-

sce nie wiedzieli za bardzo co o tym filmie myśleć, ale wygraliśmy Orły, a to w końcu nagroda środowiskowa. Cała ta debata wokół *Idy* jest dla mnie niezrozumiała i cieszy mnie to, że wielu ludzi mówi, że jest to film o historii, ale bez nadęcia i bez dydaktyki.

– **Właśnie ta lekkość wszystkich zaskoczyła najbardziej. Nie jest to kolejny *Wałęsa*.**

– Sam nie wierzyłem, że mi się to uda. A *Wałęsa* akurat mnie wzruszył (*śmiech*). Zawsze unikałem historii, bo wydawało mi się, że jak już poruszę ten temat, to przegram. Zwłaszcza pod względem artystycznym, bo trzeba wtedy strasznie dużo tłumaczyć. Philip Kaufman zrobił kiedyś adaptację *Nieznosnej lekkości bytu* i wyszedł z tego słaby film, między innymi dlatego, że musiał tłumaczyć w nim nawet to, kim są komuniści. Filmy historyczne robi się zazwyczaj z jakąś teorią na temat historii i potem się tę teorię albo ilustruje, albo przełamuje. *Ida* była trochę takim moim *Don Kichotem*, bo próbowałem w niej zbadać, czy można opowiedzieć o historii nie robiąc jednocześnie historycznego filmu. Chodziło mi o to, żeby zrobić film, który jest medytacją, a nie „opowiadactwem”. Pewne rzeczy trzeba sobie samemu dopowiedzieć.

– **W twojej karierze można wprowadzić znaleźć wątki, które się powtarzają, ale każdy kolejny film bardzo różni się od poprzednich.**

– Nie robię filmów często i nie jestem jakimś artystą rzemieślnikiem, który ma swoje pole i sobie na nim draży. Zawsze byłem kulturowo nie do końca zdefiniowany. Emocjonalnie czułem się zawsze związany z Polską, ale potem pojawiały się różne fascynacje – uwielbiałem niemiecką poezję, francuskie powieści Stendhala, potem długo mieszkalem w Anglii. Dla mnie życie było tak samo ważne jak robienie filmów. Źle to zabrzmiało, ale byłem amatorem, który musi trochę pożyć żeby potem robić filmy (*śmiech*). Nie jestem Kenem Loachem, który ma swoje socjalistyczne teorie i potem je ilustruje



Kadr z filmu „Lato miłości”

za pomocą filmów, ja jestem amatorem – nie mówię, że tak jest lepiej, ale tak mi się jakoś życie ułożyło. Nigdy nie miałem konkretnego pomysłu na karierę, w latach 80. byłem zafascynowany rzeczami, które były mi bliskie, ale nie do końca zrozumiałe i zacząłem robić o nich dokumenty.

– **I robieś je po swojemu. Z Moskwy do Pietuszek z Wieniediktem Jerofiejewem, Serbian Epics, Dostoevsky’s Travels, Tripping with Zirinovsky – gdy ogląda się je po raz pierwszy, czasem nie wiadomo, co się właściwie dzieje.**

– No tak, momenty były (*śmiech*). Te moje pierwsze filmy były strasznie nierówne, ale ja je lubię, bo było w nich coś oryginalnego. Nigdy nie chodziłem do szkoły filmowej i zacząłem kręcić nie bardzo wiedząc, jak to się robi. Trochę na wariata. Jedynym kryterium było dla mnie to, że musiało mnie coś strasznie zafascynować, musiałem wyczuć w tym jakąś emocję i wielowymiarowość. To było najważniejsze, drugą rzeczą było to, że wiedziałem czego nie lubię i czego wolę unikać. Jak robiłem *Z Moskwy do Pietuszek z Wieniediktem Jerofiejewem* to nie wiedziałem nawet, co to *cinéma-vérité*.

– **Dowiedziałeś się wtedy, gdy wszyscy obejrżeli film i zaczęli się bulwersować.**

– Nikt nie wiedział, czy ten film to dokument, czy może raczej jakiś esej. Ma swoją własną formę, wprawdzie nierówną, bo nie jest to jakiś wielki film, ale on mi się jakoś tak wyklął i robiłem go ucząc się na własnych przygodach i błędach. Tak samo było, gdy robiłem *Serbian Epics*. To był taki film, że albo mógł być o niczym, albo o wszystkim. Nie chciałem opierać się na wywiadach, więc wymyślałem ten dokument od początku tak, jakbym próbował od nowa wynaleźć koło. Potem podobnie było z moją pierwszą fabułą, która też była dość dziwna.

– **Twockers o drobnych złodziejaskach. Prawie brytyjski realizm społeczny, którego podobno nie lubisz.**

– W *Twockers* nie było takiego weryzmu, jak w typowych brytyjskich filmach o klasie robotniczej. Owszem, w filmie grali wynalezieni przez nas amatorzy mówiący w swoim własnym slangu, ale ja w tym, co oni mówią przez cały czas szukałem jakiejś literackości. Film był też kompletnie nieangielski jeśli chodzi o kadrowanie, w *Twockers* trzeba się było wczuć i wszystkiego samodzielnie dopatrzyć. Anglicy i krytycy często funkcjonują na autopilocie i jak w filmie pojawia się klasa robotnicza to od razu myślą, że stanowi on komentarz społeczny. W ogóle nie zauważyli, że w *Twockers* chodziło o coś bardziej egzystencjalnego.

– **O miłość.**

– Tak, o miłość. A że akurat w takich realiach... W tych realiach strasznie mało jest miłości, to fakt, nigdy nie chciałem jednak robić filmu o socjologii, to mnie zupełnie nie interesuje. Podobnie było w przypadku *Ostatniego wyjścia*. Owszem, ciekawiły mnie miejscowości, w których żyli uchodźcy, bo był to dziwny, opuszczony świat, ale w filmie tak naprawdę chodziło o bliską mnie samemu historię matki-wariatki i bardziej dojrzałego, cynicznego syna, nie o jakiś tam protest. A i tak znowu mnie zaszukawali uznając, że jeśli w filmie pojawiają się ujęcia „z ręki”, to musi być on zaangażowany (*śmiech*). Mnie zaangażowane filmy odstręczają



Kadr z filmu „Ida”

już od czasu dzieciństwa w socrealistycznej Polsce, jak ktoś próbuje mnie czegoś uczyć to od razu wieję, nogi w troki.

– Teraz zrobiłeś elegancki, czarno-biały film o zakonnicy i też usłyszałeś, że jest zaangażowany.

– Ale przynajmniej nie wiadomo po czyjej stronie się opowiadam (*śmiech*). W Stanach jacyś dziennikarze nie mogli uwierzyć, że Ida nie wraca do „swojego narodu”, uznali go więc za antysemicki, z kolei w Polsce – za antypolski. No i też antykołobiecy, za to z kolei zaatakowali mnie we Francji. Wszyscy tworzą wokół filmów swój własny sens, ale niektórzy robią to kolektywnie. Często słyszałem opinie, że moje pierwsze fabuły były utrzymane w estetyce dokumentu, bo byłem dokumentalistą. A przecież moje dokumenty wcale nie były klasycznymi dokumentami i wtedy wszyscy mi mówili, że powinienem robić filmy fabularne! Niedawno ktoś zapytał mnie jak publiczność żydowska powinna odebrać ten film. Schowałem się wtedy za cytatem z Czechowa, który powiedział, że zadaniem artysty jest stawianie problemu, nie jego rozwiązywanie (*śmiech*). Mnie naprawdę nie interesuje to, jaka jest lekcja wyniesiona z filmu. Na szczęście nie licząc tego typu ludzi i jakiś tam „patriotów” większość widzów o dziwo reaguje dość dobrze.

– Nigdy nie mówi się o tobie jako o twórcy obdarzonym poczuciem hu-

moru, a twoje dokumenty były przecież bardzo zabawne. Szkoda, że zapomina się o tym pogodniejszym obliczu. Może dlatego że twój poprzedni film, *Kobieta z piątej dzielnicy*, był takim...

– ... harakiri (*śmiech*).

– Tak (*śmiech*). A teraz *Ida*, która opowiada o Żydach, więc wiadomo, że nie wypada się śmiać.

– Nie robię komedii, ale jak się da gdzieś jakiś absurd wstawić... W *Idzie* też jest parę dość absurdalnych momentów. No i Wanda (postać grana przez Agatę Kuleszę – *przypis autorki*) ma wisielcze poczucie humoru. Do stała je po moim ojcu, on też nie tolerował patosu i sentymentalizmu. *Kobietę z piątej dzielnicy* zrobiłem we Francji po dłuższej przerwie, musiałem wtedy zająć się trochę rodziną. Nie zdobył rozgłosu, ale wszyscy błędnie uznali, że stanowi on z mojej strony krok w kierunku komercyjnego kina. Trudno powiedzieć, czy był on dobry, czy nie, bo to taki dziwoląg, ale na pewno jest to mój najodważniejszy film. Był taki solipsystyczny i chyba trochę za bardzo łamał reguły gry, nie był ani thrillerem, bo wyrzuciłem prawie wszystkie wątki związane ze śledztwem, ani czymś na uboczu w stylu Davida Lyncha. Może więc stanowi dowód na to, że trzeba ustalić z widzem reguły gry i się ich trzymać (*śmiech*). Sam nie wiem. Ale na pewno opowiadał dokładnie o tym, co mi wtedy chodziło po glo-

wie – o sztuce, życiu, ambicjach artystycznych, rodzinie, dzieciach, schizofrenii, samobójstwie. Potem nawet mieszkałem w Paryżu.

– Masz teraz na oku jakieś nowe projekty? Czy wciąż jest szansa na to, że powstanie film o przyjacielu Stalina?

– Jak to ja, zawsze mam jakieś trzy projekty naraz, ale jeszcze nie do końca wypracowane. Nie wiem jeszcze, który z nich zrealizuję jako pierwszy. Stalin miał takiego kumpla wariata – zabójcę, brzmi to fajnie i łatwo to było wszystkim sprzedać. Po każdym filmie człowiek trochę się zmienia i kiedy po *Idzie* wróciłem do tego dawnego projektu, zacząłem go ponownie czytać i poczułem, że coś jest nie tak. Za duża sprawa na duży pomysł. Na chwilę obecną nie wiem, po co taki film miałby powstać.

– Jeśli zrobisz teraz coś o Stalinie, nawet nie o nim samym, to nie dadzą ci już spokoju.

– Jeszcze zostanie takim starzejącym się *enfant terrible*. Choć na bycie *enfant terrible* można sobie chyba pozwolić tylko wtedy, gdy jest się w tak stabilnej sytuacji jak Lars Von Trier. Nie lubię jego filmów, ale lubię samą ideę Larsa Von Triera i w takim kraju jak Dania jest chyba potrzebny, wiadomo, że i tak go stamtąd nie wyrzucą. Ja nie mam takiego poczucia bezpieczeństwa. Ja lawiruję.

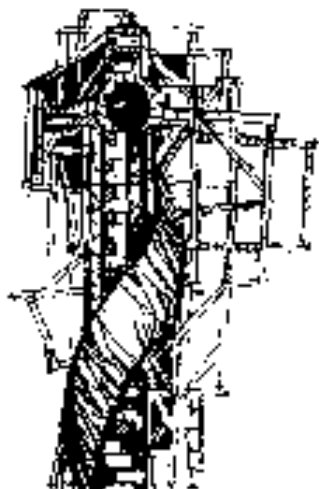
Fot. Santeri Happonen



Paweł Pawlikowski walczy z komarami

Kochanek z Ornety

(fragmenty)



Marta od Smoków

„Czy wiesz, Marto, że Kościół czci ponad dziewięć świętych o imieniu Marta?”

Najbardziej znana święta to Marta z Betanii, miasteczka położonego na wschodnim zboczu Góry Oliwnej, w pobliżu wioski Betfage, odległego od Jerozolimy około 3 kilometrów. Była starszą siostrą św. Łazarza, wskrzeszonego z martwych przez Pana Jezusa (J 11, 1-44) oraz św. Marii z Betanii. Cała trójka rodzeństwa była uczniami oraz przyjaciółmi Jezusa Pana. Spotykamy ją dwa razy w Ewangelii.

W rozdziale 10 Ewangelii św. Łukasza widzimy ją podczas odwiedzin Jezusa w jej domu. Maria siedzi u jego stóp, jest skupiona i zasłuchana. Marta jest pochłonięta pracą, chce podjąć wspianego Gościa jak najlepiej. Być może przygotowuje specjalne dania, podawane tylko w świąteczne dni. Też chciałaby posłuchać, ale ktoś musi pracować, skoro Maria słucha. Tłumi irytację, może złość. W końcu wybucha: „Panie, czy Ci to obojętne, że moja siostra zostawiła mnie samą przy usługiwaniu? Powiedz jej, żeby mi pomogła”.

Zagubiona i wściekła Marta zachowuje się jak pracoholiczka, która boi się, że nie zrealizuje swoich planów.

„Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba mało albo tylko jednego. Maria obrała najlepszą część, której nie będzie pozbawiona” (Łk 10, 42) – odpowiada Pan. Dwukrotne wezwanie imienia pojawia się w Biblii, gdy Bóg wzywa do czegoś ważnego, wymagającego. Bóg zna troski Marty, widzi jej przemęczenie. „Potrzeba tylko jednego”? Czy bardziej potrzeba słuchania Boga niż siebie?

Św. Łukasz pokazuje dwie reakcje: posługę i milczenie.

Marta służy, Maria słucha.

Marta działa, Maria oczekuje na słowo.

Marta dopomina się pomocy, Maria siedzi nieruchomo.

Marta wzywa siostrę do pracy, powołując się na autorytet Mistrza.

Odpowiedź nie spełnia jej oczekiwań, ale to nie znaczy, że to, co robi Marta, nie ma znaczenia. Marta została skarcona, choć chciała dobrze. Wprawdzie Maria wybrała „najlepszą część”, ale przecież w życiu jedno potrzebuje drugiego, ktoś nie śpi, by spać mógł ktoś.

W życiu jest miejsce na słuchanie i milczenie, także na pracę. Trzeba zachować proporcje. Może Marta i Maria prezentują dwa rodzaje aktywności, które można, a nawet trzeba pogodzić. Może scena w domu sióstr nie oznacza, że ważniejsza jest postawa kontemplacji od aktywności? Jezus słowa „Marto, Marto” wypowiada życzliwie, z troską, łagodnie. Może każdy czyn powinien poprzedzić namysł, zastanowienie? Módl się i pracuj. Czy to tylko sprawa kolejności?

Marta jest ważną osobą w domu. Przewodzi dzięki swojej gościnie i posługom. W Ewangelii św. Jana napisane jest, że „Jezus miłował Martę, jej siostrę i brata (J, 11, 5). Marta jest na pierwszym miejscu, siostra i brat pojawiają się na drugim, ze względu na relację z Martą.

Marta pojawia się raz jeszcze u św. Jana, w scenie wskrzeszenia Łazarza. Z pretensją i bólem mówi do Jezusa: „Panie, gdybyś tu był, mój brat by nie umarł”. Bezradność i ból mieszają się z jej wiarą. Marta jest energiczna i pragmatyczna. Powie: „Panie, już cuchnie. Leży bowiem od czterech dni w grobie”. Ale też powie: „Ja mocno wierzę, żeś ty jest Mesjasz, Syn Boży”.

Maria po wskrzeszeniu Łazarza namaściła Pana olejkami i swoimi włosami otarła Jego nogi.

Legenda prowansalska głosi, że po Wniebowstąpieniu Jezusa Żydzi wprowadzili Łazarza, Marię i Martę na statek bez steru i puścili ich na Morze Śródziemne. Dzięki Opatrzności wszyscy ocalili, dopływając do wybrzeży Francji, koło Marsylii. Łazarz miał zostać pierwszym biskupem tego miasta, Marta założyła w pobliżu żeński klasztor, a Maria pokutowała w pustelni.

W ikonografii Marta przedstawiana jest w miejscowości Tarascon w dolinie Rodanu, ze smokiem uwiązany na obroży. Św. Marta miała ludożerczego smoka oswoić dzięki wierze w moc wody święconej. Na obrazach widzimy Martę w skromnej sukni, z pękiem kluczy za pasem, drewnianą łyżką, symbolami gospodarstwa domowego, różańcem, księgą. Czasami w bogatej sukni z koroną na głowie.

Marta jest imieniem pochodzenia aramejskiego, oznacza panią domu, gospodynię. W Polsce imię pojawiło się już w XIII wieku. Liczba tego imienia wynosi trzy. Trójka w numerologii oznacza ludzi zaradnych i przedsiębiorczych, wierzących w swoje siły. Nawet jeżeli mają talent artystyczny, wolą postawić na bardziej praktyczne umiejętności.

Astrologzy przypisują Martom rozsądek, realizowanie planów krok po kroku, często przez długie lata. Typowa Marta potrafi sobie narzucić dyscyplinę, wsta-

wać o świecie, nie używać cukru, systematycznie się gimnastykować, mimo że nie przepada za aktywnością fizyczną. Marty potrafią skutecznie walczyć ze słabościami, analizować swoje zachowania i dziwić się, gdy inni nie rozdzielają włosa na czworo i nie pracują nad charakterem. Marta nie rozczuła się nad sobą. Niechętnie pokazuje zasmuconą twarz, jakby chciała powiedzieć słowami poety: „Dla obcych ludzi mam twarz jednakową, ciszę błękitu”.

Jest empatyczna, potrafi wysłuchać i zrozumieć, podnieść na duchu. W miłości Marty są wierne, tego samego wymagają od swojego mężczyzny. Marta pasuje do znaku Koziorożca, Panny i Wodnika. Święta Marta z Betanii jest patronką życia domowego, kucharek, gospodyń domowych, hotelarzy, sprzątaczek, rzeźbiarzy, malarzy, a także umiających. Wzywana jest w wypadku krwotoku.

Jej wspomnienie liturgiczne przypada 29 lipca.

Tytuł „*Hospita Christi*” – tej która gościła Chrystusa – był głównym zaszczytem jej chwały. Legenda przypisuje jej założenie klasztoru w Tarascon (lata 1187-97), a także uzdrowienie chłopca, który utonął i kobiety cierpiącej na krwotok. Na rok przed śmiercią Pan objawił jej czas zgonu. Długo cierpiała, trawiona gorączką, aż wreszcie usłyszała głos Chrystusa: Pójdź, miła gosposiu, i pozostaj ze mną w moim królestwie. Ty podejmowałaś mnie w swoim domu, ja przyjmę cię do mego nieba.

W Tarascon, wedle legendy, została pochowana. U grobu św. Marty zdarzały się liczne cuda. Na przykład król Franków, Klodwig, który przyjął chrzest z rąk św. Remigiusza, uleczonej został przy grobie Marty z bólu nerek i nogi. Odwdzińczył się, nadając klasztorowi na własność ziemię i wsie okoliczne i uwalniając posiadłość od daniny.

O św. Marcie pisał Jan z Mailly, francuski dominikanin (przełom XII i XIII wieku), także w dziele *Legenda aurea* (1260-1270) pisał Jakub de Voragine, średniowieczny włoski hagiograf, arcybiskup Genui.

Zebrałem te wiadomości dla Ciebie, Marto.
I dla siebie.

Czy Ty też osławiasz smoki i inne potwory, Marto droga?

Czy odwiedziłaś miejsca pomiędzy Arles i Awinionem, gdzie wedle legendy ten smok żył? Ni to zwierzę, ni ryba, grubszy od wołu, dłuższy od konia. Miał ostre zęby jak miecze, rogi, leżał w rzece i zabijał wszystkich, którzy chcieli się przez nią przeprawić.

Czy takie smoki osławiasz, Marto?

Marto, Marto, czy podziwiałaś wcielenia Świętej na obrazach:

Diego Rodrígueza de Silva y Velázqueza *Chrystus w domu Marii i Marty*, olej na płótnie, 1618–1620, National Gallery w Londynie?

Johannesa Vermeera van Delft *Jezus w domu Marii i Marty*, olej na płótnie, 1654–1655, National Gallery of Scotland w Edynburgu?

Joachima Beuckelaera *Jezus w domu Marty i Marii*, olej na desce, 1568, Muzeum Prado w Madrycie?

Marto, Marto, czy wiesz, co w życiu jest naprawdę ważne?

Czy duchowość schodzi w Twoim życiu na daleki plan?

Czy troszczysz się najpierw o sprawy materialne?

Czy praca wypełnia całe Twoje dni?

A może też Twoje myśli wypełnia?

Marto, Marto, czy troszczysz się o zbyt wiele?

Czy budujesz przestrzeń dla myśli i ciszy?

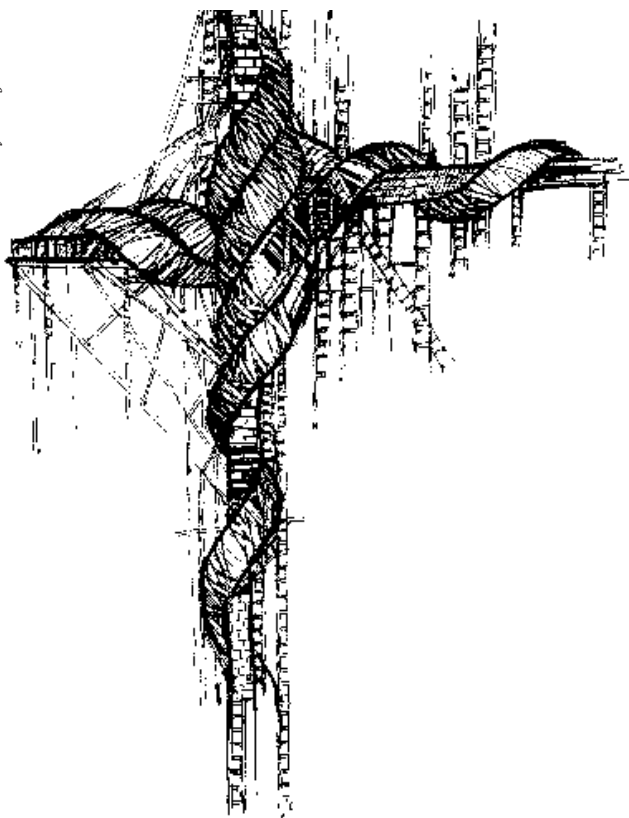
Czy wyłączasz telefon, Marto?

Przytulasz brzozy?

Czy wiesz, że masz miasto w Kolumbii, Francji, a także planetoidę z pasa głównego asteroid, okrążającą Słońce w ciągu 4 lat i 230 dni, odkrytą w 1879 roku?

Marto, Marto, Marto od Smoków, jak dobrze, że mi się przyśniłaś w kwiecistej sukience i odnalazłem Cię po latach.

Rys. Wojtek Łuka



Niedługo dzień Twoich imienin.
Pamiętasz, jak go świętowaliśmy w Ormecie?
W bramie?”

Marta przeczytała list dwa razy, jakby chciała podwójnie uwierzyć, że Damian aż tyle czasu jej przeznaczył. Tylko po co? Jaki w tym ma cel? Zaczęła węszyć sobie znanym sposobem, co nieraz Janusz jej wytykał, mówiąc, że zamiast tracić czas na snucie podejrzeń, wystarczyłoby zobaczyć dobrą wolę i bezinteresowność. Marta jednak wolała obserwować, przyglądać się z boku, z dystansem, jakby z góry zakładała, że w ludziach więcej manipulacji i interesowności niż dobroci. Zdarzało się potem, że z satysfakcją powtarzała: A nie mówiłam! Nie mówiłam!

Marna to jednak była satysfakcja, bo odbierała jej radość z sytuacji, kiedy nie czuła się zawiedziona, a raczej miło rozczarowana.

– Niczym nie różnisz się od tych, których podejrzewasz o podstęp – mówił Janusz. – Tak samo jak oni masz oczekiwania, chciałabyś widzieć wokół siebie nieskazitelne anioły. Jeśli ci coś nie pasuje, odmawiaj, mów krótkie „nie” i sprawa załatwiona. A ty wolisz przyjać, uśmiechnąć się, choć czujesz, że coś tu nie tak, a potem masz żal, że ktoś cię wykorzystał. Sama siebie wykorzystywałaś, kochana.

Złościła się na Janusza, ale w duchu przyznawała mu rację. Nie wyczytywał wskazówek z książek, a jednak miał swoją prostą filozofię. Potrafił cieszyć się tym, co ma i nie zabiegać o nadmiar. Aż niemożliwe, by taki człowiek naprawdę istniał, by trzymał się swego, a jednocześnie innym nie sprawiał tym kłopotu.

Ale taki właśnie był Janusz, co często Marta sobie uzmysłowiała i to dodawało jej siłę i pomnażało miłość.

– Jak to robisz? – pytała, choć znała odpowiedź.

– Uwierzyłem w siłę wyższą – odpowiadał mąż.

Siła wyższa niekoniecznie oznaczała biblijnego Boga. Janusz bywał religijny okazjonalnie, na co dzień był raczej uduchowiony, choć nie wskazywała tego ani jego twarz, ani postura, ani twarde ręce budowlanca, cóż z tego, że inżyniera, prowadzącego firmę wodno-kanalizacyjną. Czasami widziała w jego oczach blask, który jej podpowiadał, że i ona powinna bardziej się przekonać do wyższej siły, czymkolwiek jest.

Nie wspomniała mężowi o liście, a właściwie listach, które otrzymała. Damian ciągle nie zaakceptował zaproszenia do znajomych, które wysłała po otrzymaniu pierwszej wiadomości. Dlaczego? O co mu chodzi? Znow zadała sobie pytania, na które oczywiście nie miała odpowiedzi.

Drugi list wzbudził w niej jeszcze większy niepokój. Wieczorem nie zaglądała do komputera, a dzisiaj to zrobiła, jakby oczekiwała odpowiedzi na swoje „Tak, to ja”. Nie odpisała. Lepiej się przespać z tym drugim listem, pomyślała.

Wieczorem kultywowali zwyczaj starego, dobrego małżeństwa. Kładli się do łóżka dosyć wcześnie, ale nie od razu gasili światło. Nie zawsze kończyli dzień seksem, ale nie szczydli sobie czułości. Wyławiali z dnia, co dobre, płatali nogi, czytali lub słuchali muzyki klasycznej, która automatycznie włączała się z zaprogramowanej płyty. O zmianę repertuaru dbał Janusz.

Marta od kilku lat dbała o inny rytuał. Wziąwszy sobie do serca przesłanie Norwida, wedle którego „z rzeczy święta tego zostaną tylko dwie, dwie tylko, poezja i dobroć”, przed snem odczytywała na głos wiersz, jak modlitwę.

Tym razem zapomniała.

– Wiersza na dobranoc nie będzie? – zapytał Janusz, kiedy ułożyła się na jego ramieniu, gotowa do snu.

Drgnęła, spieszyła się, jakby Janusz odkrył, że leżąc u jego boku, rozmyśla o bramie w Orniecie, w której przytulał ją Damian.

„Nie trzeba być Komnatą – aby w nas straszło –

Lub nawiedzonym Domem –

Nie ma Wnętrz straszniejszych niż Mózgu

Korytarze kryjome – (...)”

– wyrecytowała z pamięci.

(Emily Dickinson, 670, tłum. Stanisław Barańczak)

– Dlaczego ten? – zapytał Janusz.

– Nie wiem – odpowiedziała – po prostu, tak mi się przypominało.

– Czy to znaczy, że wszystko dzieje się w naszej głowie?

– Śpijmy, jutro porozmawiamy, przeczytam ci cały wiersz, dzisiaj tyle się wydarzyło, jestem zmęczona.

Janusz przygarnął żonę mocniej, więc umościła się wygodnie. Tyle się wydarzyło, powtórzył w myślach. Ciekawe, ile mogło się wydarzyć w słoneczny dzień, w domu z ogródkiem, w kuchni, na tarasie. Chyba że Marta uruchomiła wyobraźnię i wcieliła się w Elżbietę Batory, o której czytała, co podglądała skrycie, bo lubił wiedzieć, gdzie błądzą żonine myśli.

Brama drożdżowego ciasta

Św. Jana 10.

Znała tę bramę.

Tuż obok, po prawej, było wejście do Teatru Lalki i Aktora Ateneum, gdzie przed laty często chodziła z synem. Raz tylko zdarzyło jej się zajrzeć na podwórkę, kiedy poszukiwała biura organizacji widowni. Z Patrykiem wchodziła wprost do teatru, bo oglądanie podwórek nie należało do atrakcji. Nikomu wtedy nie przychodziło do głowy, by wykorzystywać każdy centymetr miejskiej przestrzeni.

Podchodziła do bramy powoli, niepewnie.

Właściwie skradała się na palcach.

Poczuła w niej kilka zapachów.

Najpierw świeżość, jaka przyfruwa w kilka minut po ulewnym deszczu, wiosną, gdy drzewa są już zielone i czekają na więcej słońca.

Potem odrobinę stęchlizny, wyłazającej z brudnych zakamarków, wymieszanej z kocią uryną.

Kiedy weszła w głąb, poczuła drożdżowe ciasto.

Dolatywał z okna na patio, które przypominałoby prawdziwe patio, gdyby je wyszorować, zazielenić, a kontenery na śmieci umieścić w odpowiednio zaaranżowanym miejscu. Można uratować nawet najbrzydsze podwórkę. Podglą-

dała podwórka we Francji, Niemczech, Danii, bo jednak trochę zobaczyła Europy, także od strony zakamarków nie tylko muzeów, choć Patryk, syn, upierał się, że to za mało i jak tak dalej pójdzie, to u siebie w domu doczeka się tylko starości.

Zapach przypominał Ornetę, ale tę z czasów dzieciństwa, kiedy wakacyjna beztroska polegała także na nieśpiesznym rytmie dnia, snującego się pomiędzy wspólnie przygotowanymi posiłkami. Babcia rozpieszczała wnuczki, pozwalając im na pomoc w wyrabianiu ciasta drożdżowego, z którego uplatowała chałkę, dużą na całą blachę. Do wnuczek należała kosmetyka, czyli malowanie chały kurzym białkiem, by po upieczczeniu zachowała błysk.

Marta siedziała z siostrą przy piecu i wpatrywały się w piekarnik, jak potem ich dzieci w telewizyjne dobranocki o wilku i zającu lub kreciku. Czekwały na zapach, który wydobędzie się z piekarnika. Czym stawał się intensywniejszy, tym częściej dopytywały: Babciu, już? Już? Kiedy wreszcie babcia Ludwika wyjmowała chałkę z pieca i wynosiła ją na stół pod gruszą, wykonywały taniec radości, podśpiewując kompozycje własne, improwizowane na oczekaniu. Znow się niecierpliwiły i dopytywały, kiedy babcia zacznie kroić grube pajdy i układać na drewnianej tacy.

– Chałka musi przestygnąć – tłumaczyła babcia, machając lniąną ściereczką – nie można jeść gorącego drożdżowego ciasta, bo was brzuchy będą boleć.

– Ja chcę już – upierała się Dorotka, czepiając się babcinej zapaski.

Babcia wręczała jej ścierkę i kazała machać, aby było więcej wiatru, który schłodzi bułę. Drugą ścierkę dawała Marcie, a sama w tym czasie schodziła do piwnicy, wykopanej w ziemi, zamykanej na solidną kłódkę i przynosiła glinianą czarę z masłem, zanurzonym w wodzie zimnej jak lód.

Wreszcie odwracała chałę, stukała drewnianym trzonkiem noża w spód, uśmiechała się, co znaczyło, że jest dobrze wypieczona. Na wypukłej, powierzchni, tej plecionej, robiła znak krzyża i dopiero wtedy pozwalała dziewczynkom ucałować wypiek, jednej z jednego końca, drugiej z drugiego.

Kroiła grube kromy i smarowała masłem. Dziewczynki zajadały, popijając mlekiem „od krowy”, nie ze sklepu.

Marta poczuła, że drży.

Nagle ogarnęła ją słabość.

Oparła się o zimny mur.

Dlaczego wplątałam się w tę grę? – zadała sobie pytanie po raz kolejny i po raz kolejny nie zatrzymała się nad nim dłużej, jakby z obawy, że odpowiedź wygna ją z bramy, każe natychmiast wrócić do domu i przerwać znajomość z Damianem.

Z szyi zwiisał jej aparat fotograficzny, Canon 550D, ze standardowym obiektywem 18-55 mm oraz gripem, dodatkowym uchwytem, przymocowanym do spodniej części aparatu, ułatwiającym stabilne trzymanie go w pionie, posiadającym też zestaw najważniejszych przycisków sterujących. Pozwalał również zamontować dodatkowe baterie.

Niedawno Janusz kupił jej zakładane na plecy, specjalne szelki, do których mogła przymocować dodatkowy obiektyw tele 55-250 mm. Całość ekwipunku ważyła ponad półtora kilograma, więc szelki praktycznie odciążały szyję.

– Fotografowanie ma być dla ciebie przyjemnością – powiedział – więc powinnaś mieć profesjonalne chomątę, które równomiernie rozłoży obciążenie dookoła karku.

Rozczulił ją porównaniem szelek do chomąta.

Znała to słowo z dzieciństwa, z Ornety. Jeździła na targ z dziadkiem Staszkiem i obserwowała konie z wyścielanymi chomątami, dopasowanymi do nasady szyi, aby zapobiec kaleczeniu skóry. Rozebrała się przekornie, bo nagle poczuła się jak klacz, o którą się dba, by wykorzystać jej siłę i szybkość, zwiększając jednocześnie wydajność.

– Masz rację, Januszu – powiedziała – pasja nie powinna zapierać tchu, ani zaokrąglać pleców, dobra uprząż to po-

łowa sukcesu. Przeciążenie mogłoby wpłynąć źle na moje szczupłe pęciny, które zawsze podziwiałeś.

Miała na sobie zwiewną, długą sukienkę na ramiączkach. Sandaalki na płaskim obcasie zapewniały jej stabilność. Poczwała miły chłód na plecach. Po chwili przyłożyła do muru czoło. Kiedy podniosła oczy, zobaczyła strzałkę, wyraźnie zarysowaną białą kredą. Serce jej załomotało. To był znak dla niej. Śmieszne i prawie niemożliwe, ale na pewno dla niej. Znalazła następną, skręcającą w prawo. Dotknęła wskazującym palcem, kreda była świeża, pozostawiła sproszkowany ślad. Pod kolejną strzałką, tym razem wskazującą w dół, znalazła dołek wyżłobiony czasem, ale też i pogłębiony ostrym narzędziem. W nim tkwiła zrulowana karteczka. Wydłubiała ją, wyprostowała.

„Brawo, byłaś harcerką, dasz sobie radę. Niebieski kontener z napisem makulatura. Pod spodem przesyłka. Odbierz. Posłuchaj”.

Pojemnik na makulaturę stał w prawym rogu podwórka, pod zadaszaniem. Obok niego dwa inne z napisami „szkło” i „plastik”. Nie podeszła od razu. Najpierw spojrzała w obiektyw i przybliżyła sobie niebieski pojemnik. Nie dostrzegła nic, co by wystawało z dołu. Nie pozostawało jej nic innego, jak podejść, nachylić się, dotknąć ręką dna i wyjąć to, co zostało pod nim zamocowane.

Była sama. Nikt nie wyglądał z okien. Z lewej części podwórka ciągle pachniało drożdżowym ciastem, z prawej dochodziły dźwięki reklamy radiowej. Wyglądała na turystkę, która upodobała sobie stare podwórka. Z małej torebki, przewieszanej na ukoś, wyciągnęła chusteczkę higieniczną. Podeszła szybkim krokiem do śmietnika. Schyliła się i trzymając chusteczkę w dłoni, dotknęła dna. Wymacała prostokątny przedmiot, przymocowany klejącą taśmą. Musiała zrezygnować z chusteczki i wymacać go gołymi palcami.

Oderwała bez trudu. Było to malutkie urządzenie MP3 ze słuchawkami. Lewą ręką przytrzymała aparat, w prawej trzymała odtwarzacz. Chusteczka leżała na ziemi. Podniosła ją i wrzuciła do właściwego śmietnika, przy okazji rozglądając się, czy ktoś ją obserwuje. Nadal była sama – albo tak jej się wydawało. Wróciła na dawne miejsce, przy murze ze strzałkami. Włożyła słuchawki do uszu, uruchomiła odtwarzacz.

„Dziękuję, że przyszedłeś, Marto” – usłyszała ciepły, brązowy głos.

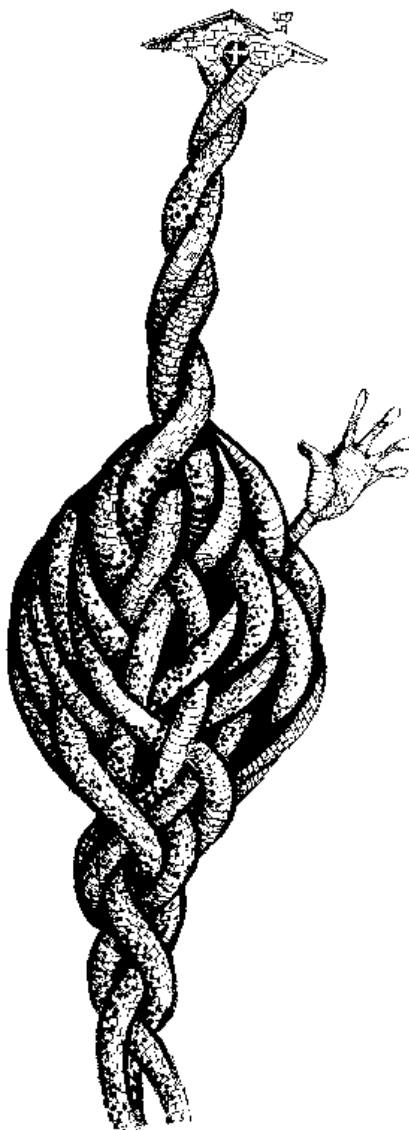
Nie przypominał głosu nikogo ze znajomych. Może należał do Damiana, ale przez trzydzieści lat zdążyła zapomnieć, jak Damian brzmiał. W tle sączył się smooth jazz. Wydawało jej się, że rozpoznaje saksofon altowy Davida Sanborna z czasów, kiedy współpracował z Erikiem Claptonem. Zamknęła oczy. Całymi plecami przygłębła do zimnego muru, bo poczuła żar, który rozplątał się po całym ciele. Po kręgosłupie spływały jej kropelki potu i zatrzymywały się u nasady łędźwi, przy bawełnianych majtkach z delikatną koronką z przodu i przy króciutkich nogawkach.

– „Zamknęłaś oczy?”

– Zamknęłam – odpowiedziała bezgłośnie.

– „To dobrze. Poddaj się przez chwilę dźwiękom?”

– Właśnie to robię – pomyślała – pozwalają mi ochłoniąć.



Rys. Wojtek Łuka

– „Nie pozwolę ci ochłoniąć, chcę cię rozdygotać. Odwróć się twarzą do ściany, ręce podnieś w górę, rozszerz lekko nogi, nie otwieraj oczu”.

– O, Boże, dlaczego ja to robię, jeszcze mnie ktoś zobaczy – pomyślała.

– „Nie bój się, nikt cię nie zobaczy, na to podwórko nikt nie zagląda o tej porze” – usłyszała i przytaknęła, jakby zaufała komuś, kto wie lepiej, bo tu nieraz zaglądał.

Przesunęła palce wyżej, jakby chciała się wdrapać na ścianę, naciągając ręce jak struny. Przeszkadzał jej aparat, nie mogła przygłębnić brzuchem do muru. Ale i bez całkowitego przyklejenia czuła jego chłód. Może to sen, pomyślała, może leżę na zimnej posadzce kościoła, przed ołtarzem, gdzie za chwilę wydarzy się sekretne wtajemniczenie, obrządek, pozwalający odkryć tłumione nurty dojrzałej kobiecości.

– „Dotykam twoich palców, lewego ramienia, teraz prawego, zatrzymuję się we wgłębieniu pod prawą pachą” – usłyszała szept.

Dopadło ją pożądanie. Dzikie. Jakby czekała na nie całe życie.

Napnęła się jeszcze mocniej, sięgnęła palcami jeszcze wyżej. Podniecenie schodziło powoli od płaców rąk ku szyi, ramionom, zatrzymało się na minutę w okolicach piersi, przyśpieszyło oddech.

To niemożliwe, niemożliwe, słyszała głos w środku, który prawdopodobnie był jej głosem. Nie jestem rozpasana, skąd przypląwa ta moc, dziwiła się. Poczwała jak wnika w nią światło, jak wibruje w piersiach i dotyka brzucha.

– „Piersi się napnęły, sutki sterczą, nie bój się, nie dotknę ich”.

– Dotknij – poprosiła – nie bój się, dotknij.

– „Ominę piersi, dotknę tylko kostek u nóg, tych szczupłych pęciny, Marto”.

Ścisnęła gwałtownie pośladki.

Poczwała mrówki wspinające się po udach, okrążające kolana.

Sliska wilgoć pojawiła się między udami.

To niemożliwe, niemożliwe, znów usłyszała głos w środku, już nie mam w sobie wilgoci, daj mi swoją.

– „Nie dzisiaj”, nie od razu, nie śpiesz się”.

Wbiła paznokcie w mur.

Zacisnęła uda. Pulsująca rozkosz wypełniła ją dokładnie, obezwładniła, stłumiła krzyk, wydając jedynie cichuteńki świst głodnego pisklaka, otwierającego szeroko dziób ze zdziwieniem, że to, co dobre, tak szybko odfręwa.

Stała nieruchomo, czuła suchość w ustach.

Saksofon sączył kolejne dźwięki, dołączyła do niego gitara, powtarzająca tę samą melodię.

Nie miała odwagi otworzyć oczu, ani odwrócić się od ściany.

– „Nie dzisiaj”, nie od razu, nie śpiesz się” – usłyszała ponownie, pomiędzy gitary i saksofonu.

Ogarnęła ją wielka żalosc.

Także zmęczenie.

Jakby nagle świat się skończył w bramie z zapachem drożdżowego ciasta.

Najstarsze
polskie
zdanie

HENRYK
SZCZEPAŃSKI

Nie w Czarnolesie Jana Kochanowskiego, nie w Głogowicach Mikołaja Reja ani nawet nie w Ostrej Bramie Mickiewicza i Filomatów znad Wilejki ale w Henrykowie na Śląsku zamieszkała Matka Języka Polskiego – patronka mowy ojczystej.

Cystersi na Śląsku

„Księga Henrykowska” spisana w XIII wieku przeżyła sędziwe dęby z klasztornej lasu otaczającego dawne opactwo Cystersów nad podsudecką Olawą. Starszą metryką legitymują się tylko fundamenty i gotyckie sklepienia dawnej zakonnej świątyni. Ongiś przed jej ołtarzami modliło się ponad trzystu mnichów żyjących według benedyktyńskiej reguły zreformowanej przez św. Roberta – opata klasztoru w burgundzkim Cîteaux, założyciela pionierskiego eremu tej wspólnoty. Obecnie o zamierzchłej przeszłości malowniczego zakątka z Górąmi Złotymi, Bardzkimi i Sowimi na horyzoncie, przypomina czterech zakonników w białych cysterskich habitach z czarnymi szkaplerzami. Pełnią obowiązki duszpasterskiej miejscowej parafii.

Gromadka pierwszych cystersów z opatem Henrykiem na czele, zamieszkała tu w roku 1227. Najpierw wzniesli drewniany erem na gruntach подарowanych przez kanonika wrocławskiego Mikołaja, księzęcego notariusza Henryka Brodatego, władcy ówczesnego Śląska. Z biegiem lat skromną pustelnię rozbudowali w obszerny zespół klasztorny z kilkoma skryptoriami. To tutaj przy pulpitych ślęczeli pisarze kopiści, którzy w 1270 r. utrwaliли na piśmie sławne, historyczne zdanie w języku polskim:

„Daj, acj ja pobruczę,
a ty poczywaj”

Chronologicznie – po „złotej bulli” Cniesznieńskiej z roku 1136, i po „srebrnej bulli” śląskiej z roku 1155 – cysterskie zapiski z Henrykowa są trzecim bezcennym zabytkiem średniowiecznej polszczyzny.

Z całego kraju do starego klasztoru przybywają studenci i młodzież szkolna, aby w otoczeniu barokowej architektury, rzeźb i obrazów mówić na temat pierwszego zdania zapisanego w języku polskim. Na co dzień pośród dostojnej scenerii i oryginalnych rekwizytów dawnych epok kształcą się żacy katolickiego liceum. Białe tuniki alumnów otrzymują tutaj klerycy wrocławskiego seminarium duchownego sposobiący się do pracy w charakterze księży diecezjalnych. Na początku III tysiąclecia, gościem takiej uroczystości był kardynał Joseph Ratzinger, późniejszy papież Benedykt XVI.

Klasztor „Księgi Henrykowskiej” jest rezydencją dostojników wrocławskiej kurii biskupiej i ulubionym miejscem wypoczynku arcybiskupa seniora archidiecezji, ks. kardynała Henryka Gulbinowicza.

Orędowniczka mówców i literatów

Tutejszy kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny chłubi się ołtarzem św. Bernarda – filozofa, krasomówcy i pszczelarza, słynnego „doktora miodopłynnego”, obdarzonego nadzwyczajnym darem wymowy. Był jednym z największych piewców Matki Bożej. Zostawił wiele tekstów teologicznych, homilii, modlitw ku Jej czci. Widzimy go w białym cysterskim płaszczu pośród licznych atrybutów wśród których odnajdujemy m.in.: księgę i pióro – symbole twórczości pisarskiej.

W tym właśnie ołtarzu – niejako pod auspicjami wielkiego oratora z dalekiego Clairvaux w Szampanii – znajduje się niepozorna figurka Matki Bożej łaskami słynącej. Otrzymała przydomek „matki Języka Polskiego”. W 1952 r. została udekorowana koronami biskupimi. Wyobraża Madonnę z Dzieciątkiem. Jako rzeźba ludowa wyszła spod dłuta anonimowego snycerza. Liczy już ponad 400 lat; pochodzi z XVI w. Jest opiekunką ludzi pióra a także recytatorów i mówców. Oręduje i wyprasza łaski dla głuchoniemych i osób z dysfunkcjami logopedycznymi. Modlą się do niej turyści i pątnicy składający dziękczynne wota. Cysterskie sanktuarium odwiedził prof. Jan Miodek, jeden z najpopularniejszych w kraju językoznawców, dyrektor Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, autor licznych prac naukowych i książek o poprawności językowej, znany wszystkim z przez ponad 20 lat prowadzonego popularnego programu telewizyjnego „Ojczyzna polszczyzna”.

Światło ze Śląska

W życiu zakonnym cystersi kierują się dewizą św. Benedykta „Ora et labora”, czyli „Módl się i pracuj”. Oni także zasłynęli z mrowczej, benedyktyńskiej solidności. Spod ich pióra wyszły setki ksiąg liturgicznych, dzieł naukowych i literackich, teksty kazań i zbiory praw. Stworzyli zasobną w zbiory księżnicę a ich opactwo stało się matczynikiem rozwoju myśli religijnej i naukowej. W głównej mierze dzięki cystersom z Henrykowa, Lubięża i Krzeszowa ze średniowiecznym Śląskiem zwykło się kojarzyć określenie – Lux ex Silesia. Przypominało o świetle wiedzy promieniującej na wszystkie dzielnice królestwa Piastów i Jagiellonów.

Cystersi byli prekursorami nowoczesności w dziedzinie budownictwa i w gospodarowaniu na roli. Szczególnie na Śląsku i w Małopolsce upowszechnili uprawę nieznanych dotąd gatunków roślin i udoskonalili hodowlę zwierząt a przede wszystkim krów, kóz i owiec dostarczających surowca niezbędnego do wyrobu pergaminu. Mieli też ogromne zasługi dla polskiej historiografii. Dość przypomnieć, że w murach cysterskiego klasztoru w Jędrzejowie, w latach 1190-1208 została napisana „Kronika polska”, której autorem jest ściśle z cystersami związany jeden z pierwszych polskich dziejopisów Wincenty Kadłubek a w Lubiężu nad Odrą, w latach 1283-1285, spod pióra cysterskiego skryptora O. Engelberta wyszła kolejna „Kronika polska” opisująca żywot św. Jadwigi. Nic więc dziwnego, że pośród cystersów znalazła swój ołtarz patronka języka Reja i Szymborskiej.

Konfratry z Henrykowa skompletowali imponującą bibliotekę. Była jednym z najokazalszych księgozbiorów Europy. Po wojnach



„Księga Henrykowska” przed opactwem Cystersów

napoleońskich, na przestrzeni stulecia pary i żelaza została rozproszona po wielu księżniczkach kontynentu – od Amsterdamu do Wrocławia. Sławetna sekularyzacja dóbr kościelnych, w 1810 r. nakazana przez króla Fryderyka Wilhelma III stała się urzędowym biczem, który cysterskie majątności a także bezcenne stare księgi jednym despotycznym smagnięciem uczynił wyłączną własnością skarbu państwa pruskich Hohenzollernów. W dwa lata po kasacie zakonu henrykowski klasztor kupiła Fryderyka Luiza Wilhelmina Orańska – królowa Niderlandów, siostra króla Prus. A potem jego właścicielami byli książęta sasko-weimarscy. Wspomnieniem po tamtych czasach jest dobrze zachowana reprezentacyjna sala purpurowa z obrazami Michała Wilmana zwanego śląskim Rafaelem; przypomina ostatnich gospodarzy z książęcego rodu Sachsen-Kleiner-Eisenach.

O Brukalicach i okolicy

„Księgę fundacyjną klasztoru NMP w Henrykowie” spisano na polecenie opata Piotra. Piastował godność prepozyta w latach 1259-1269.

Pisało ją wielu skryptorów a być może i sam opat. Najcenniejszy dla historii literatury stał się zapis dotyczący Boguchwała osiadłego w Brukalicach, tuż za opłotkami Henrykowa. Pielgrzymom i przechodniom przypomina o tym przydrożny kamień pamiątkowy ustawiony w centrum wsi.

Unikatowy manuskrypt – niepozorny pozszyt z pergaminową okładką – znajduje się we wrocławskim Muzeum Archidiecejnym a jego wierna kopia także w cysterskim klasztorze nad Oławą. Odkrycie polonistycznej pierwociny na stronach „Księgi Henrykowskiej” zawdzięczamy śląskiemu historykowi Wilhelmmowi Pfitznerowi, który w 1846 r., opublikował pierwszą wiadomość o „Liber Foundationis Claustrae Sanctae Mariae Virginis in Heinrichov”. W osiem lat później (1854 r.) ukazał się pierwodruk, wydany przez G. A. Stenzla. Pożółkłe pergamin liczą ponad 7 stuleci. Są zapisane dwustronnie, czarnym i czerwonym inkaustem. Na język polski – całą pisaną po łacinie „Księgę” – przetłumaczył prof. Roman Grodecki.

Historyczne zdanie pochodzi z rozdziału zatytułowanego: „O Brukalicach, z jakiego powodu i z jakiego tytułu klasztor posiada tę włość, niniejsze pismo okaże zgodne z prawdą wszystkim, którzy je będą czytali”. Oto fragment zawierający słynny cytat:

„Lecz trzeba wiedzieć, że za owych dni były tu w okolicy młyny wodne ogromnie rzadkie, przeto żona tego Boguchwała Czecha stała bardzo często przy żarnach mieląc. Litując się nad nią mąż jej Boguchwał mówił: „Daj, bym ja też meł!” – to jest po polsku: „Daj, acj ja pobruczę a ty poczujaj!”. Tak ów Czech na zmianę meł z żoną i często obracał kamień tak jak żona. Co widząc sąsiedzi, chociaż wówczas nieliczni, nazywali go: „Boguchwał Brukał” i stąd pochodzi, że jego całe potomstwo nazywa się Brukalice”.



Opactwo Cystersów w Henrykowie

„Księga Henrykowska” będąca sfabularyzowanym zbiorem aktów notarialnych opisuje dzieje majątku klasztornego. Ujawniając szczegóły związane ze śląską obyczajowością, gospodarowaniem i władaniem dobrami prywatnymi pełni rolę swego rodzaju kroniki historyczno-gospodarczej z czasów wnuków i prawnuków Bolesława Krzywoustego. „To „historyczno-statystyczny obraz jednej kwadratowej mili słowiańskiej przed sześciu stuleciami” – pisał o tym dziele Karol Szajnocha, lwowski pisarz i dziejopis.

Literacki wdzięk tego wyjątkowego utworu zawiera się w gawędziarskim opowiadaniu o rzeczach i sprawach powszednich. Doskonałe tłumaczenie Romana Grodeckiego, uczyniło z niej zajmującą lekturę, dzięki której poznajemy sceny z życia codziennego mieszkańców średniowiecznego Śląska.

Jednym z takich obrazków są własne gospodarские zajęcia Boguchwała i jego żony – najwidoczniej zmęczonej mieleniem ziarna. Życzliwe i współczujące: Daj, acj ja pobruczę a ty poczujaj! – tego książęcego woja, który w czasie wypraw krzyżowych, u boku Bolesława Wysokiego uczestniczył w oblężeniu dalekiego Mediolanu – wzbudza sympatię i uznanie.

„Wzruszający to w swej prostocie dowód gotowości dzielenia trudów pracowitego żywota, zgola rycerskiego szacunku dla wysiłku kobiety, chcącej przyjsia jej z pomocą.” – zauważa Jadwiga Pietrasiewiczowa, autorka popularnego podręcznika historii literatury.

W tym roku metropolita wrocławski arcybiskup Józef Kupny złożył wniosek o wpisanie „Księgi Henrykowskiej” na międzynarodową listę dzieł ważnych dla ludzkiej cywilizacji. Postulat został przyjęty przez polskie biuro Programu „Pamięć świata”, będące agendą UNESCO – Komitetu Organizacji Narodów Zjednoczonych do Spraw Oświaty, Nauki i Kultury.

I jeszcze coś pro domo sua. W słynnych „Kronikach” Jana Długosza odnajdujemy wzmianki przydające splendoru złotej legendzie regionu, który dzisiaj nosi nazwę aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej. Przypominają że wschodnie rubieże XIII-wiecznego Śląska leżały w okolicach Oświęcimia. Wiązą się z Milowicami nad Brynicą – obecnie w granicach Sosnowca. W roku 1228 zgodnie z wolą księcia krakowsko-sandomierskiego Leszka Białego, zostały podarowane wspomnianemu już Mikołajowi, naczelnemu notariuszowi księcia Henryka Brodatego. Były darem za dochowanie przymierza śląsko-małopolskiego. Ze spisane go wtedy dokumentu owdowiełej księżnej krakowskiej Grzymisławy wynika, że Milowice wraz z innymi dobrami stały się podstawą fundacji młodego i niebogatego jeszcze opactwa henrykowskiego. Dzięki mnichom znad Oławy wieś Milejowice, wtedy przynależna do Ziemi Opolskiej, otrzymała młyn, a w jakiś czas potem przenieśli się do niej potomkowie Brukałów znad Oławy; ich dziad Boguchwał wypowiedział pierwsze zapisanie zdanie w języku polskim!

P.S.

W drugiej połowie ubiegłego wieku historycy po raz kolejny toczyli spór o wiarygodność doniesienia Jana Długosza, który w „Annales seu cronicae incliti Regni Poloniae” („Roczniki czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego”) w usta Henryka Pobożnego szukającego się do rozprawy z Tatarami pod Legnicą włożył polskie zdanie o treści: „Górsz nam stało”. Wielu wybitnych historyków i literaturoznawców z prof. Teresą Michałowską, autorką „Wielkiej historii literatury polskiej” przyjęło, że po raz pierwszy te słowa zostały zapisane co najmniej na kilkanaście lat przed pomnikowym cytatem z „Księgi Henrykowskiej”. Wtedy bowiem – jak twierdzi Długosz – miał żyć skryba, z którego zapisów nasz znakomity kronikarz – autor pierwszej wybitnej syntezy w historiografii polskiej – właśnie korzystał. Też o autentyczności tego źródła i prawdziwości doniesień zanego autora „Kroniki sławnego Królestwa Polskiego” oraz wychowawcy synów królewskich ostatecznie obalili prof. Józef Matuszewski w drobiazgowym i rzetelnym dochodzeniu z 1980 r. opublikowanym pod tytułem „Relacja Długosza o najeździe tatarskim w 1241 roku. Polskie zdania legnickie”. „Są one wymysłem Długosza, jak cała opowieść o batalii legnickiej wraz z historyjką o walecznym rycerzu Iwanie Iwanowiczu, imienniku Iwana Iwanowicza Długosza. Długosz za wzorem starożytnych całe mowy pisał; miałby się zatem wahać w dorzuceniu paru zwrotów polskich, które jego opowieści miały dodać znamion autentyczności? (...) W rezultacie nie zdania legnickie są najstarszym znanym zdaniami polskimi. Zaszczyt ten oddać należy zapisowi opata Piotra.” – napisał wybitny mediawista, historyk państwa i prawa cieszący się sławą mistrza krytyki naukowej.



Tadeusz jest po pięćdziesiątce. Góral z Koszarzysk – najbardziej rozpoznawalna twarz ośrodka, którym z Tychów zarządza Nadwiślańska Agencja Turystyczna.

Ja jestem tu boss

Tekst i zdjęcia:
WIESŁAW
KOSTERSKI

Piwniczna-Koszarzyska. Kilkanaście osób na stopniach schodów przed „Smrekiem”. Sportowe ciuchy, górskie buty, plecaki, kije trekkingowe. Bojowy nastrój. – Ja jestem tu boss. To znaczy ja jestem tempo, ja jestem odpoczynek, ja jestem kierunek, a nawet wasze sikanie.

Tadeusz jest po pięćdziesiątce. Góral z Koszarzysk. Instruktor w „Smreku” i najbardziej rozpoznawalna twarz ośrodka, którym z Tychów zarządza Nadwiślańska Agencja Turystyczna.

– O, pachnie PiS-em – rzuca ktoś z tyłu.

– Nie, nie. Z tym sikaniem nie o politykę chodzi, tylko o to, że jak ktoś z was zechce zostać na stronie, to ma mi o tym zameldować, bo jak nie zamelduje i zostanie, a góry znam

świetnie i często chodzę bocznymi ścieżkami, to się zgubi. Ok?

Potaknięcia głowami.

Mijając przełom Popradu i Rynek w Piwnicznej, udajemy się w stronę Rytra. Mikrobus skręca w prawo, przejeżdża przez most i zatrzymuje się na skraju lasu, u stóp Makowicy. Średniej trudności szlakiem górskim będziemy wspinać się na wysokość 844 m n.p.m.

Niby nic wielkiego, żadne tam Himalaje, ale dla przywykłego do codziennych wygod mieszczucha, to niezła dawka wysiłku. Pot, zmęczenie, ciężki oddech, ból w kościach. Ale po to w końcu tu przyjechaliśmy, by zrzucić z siebie cywilizacyjny balast. Więc naprzód, w górę!

Idziemy i gadamy. Tadeusz, jak mało kto, umie gadać. Góral z dziada

pradziada. A górale nie zwykli trzymać języka za zębami, wiedzą, jaki z niego użytek można zrobić.

– Syn jest czwartym pokoleniem w mojej chałupie, którą jeszcze dziadek postawił – powiada. – Wyjechał, pracuje. Czy wróci? Nie wiem. Być może będę ostatnim, który lejce tu trzyma.

Kapitalizm wygnał młodych ludzi z Koszarzysk i okolicznych przysiółków. Uciekli do miasta w poszukiwaniu lepszego życia. Wielu spakowało marzenia do walizki i wyjechało za Ocean, udając się tam tradycyjnym szlakiem emigrantów, wytartym przez ich przodków na wyspie Ellis Island jeszcze na początku ubiegłego stulecia. Gospodarstwa opustoszały, pozostali w nich w większości sami starzy, schorowani ludzie.

Piwniczna znalazła się na peryferiach gospodarki rynkowej. Nowa rzeczywistość zredukowała alternatywy, nie stworzyła dodatkowych możliwości, ograniczyła te istniejące. Znaczących inwestycji, także tych turystycznych, zbyt mało, przestrzeni do ich urzeczywistnienia ponad miarę.

Tadeusz też wyemigrował do Stanów. Zanim się zdecydował na ten krok, kilka lat pracował w „Smreku”. Ale chciał mieć coś własnego. Pomyślał o knajpie. Miała nazywać się „Potargana Chałupa”.

– Uwierzyłem „Gazecie Wyborczej”, która napisała, że kredyt hipoteczny w PKO BP to najbardziej przyjazny kredyt dla klientów. Potem już nie wierzyłem „Wyborczej” i żadnemu bankowi, bo o mało mnie nie zlicytowali. Zastawiłem dwa domy. Wałęsa mówił – bierzcie sprawy w swoje ręce. Więc wziąłem. Byłem młody, głupi i naiwny. Gdyby nie Stany, znalazłbym się pod mostem.

Za Ocean wyjechał, jako reprezentant Polski w karate. I został, by zarobić i spłacić polskie długi. Jeździł Truckami. W weekendy stał na bramce, w Chicago w Capital Clubie, polskim klubie z polskim właścicielem.

– Przychodzą małolaty, sprawdzasz dokumenty, czy wolno im wejść do dyskoteki w nocnym klubie. Odsiew już na bramce, bo potem jak taki dostanie drinka i wpadnie policja, to cofnie pozwolenie na lokal. Ameryka to kraj paradoksów. Jak masz szesnaście lat możesz sobie broń kupić w sklepie, ale żeby napić się wódki w klubie musisz mieć dwadzieścia jeden lat.

Był po imieniu ze wszystkimi klientami. W końcu zaczęli mówić: *proszę pana*. Co jest?

– Odpowiedź znalazłem przy gołębieniu – przecież masz już chłopie siwiznę na skroniach. Pora wracać.

Nie dostał zielonej karty. Ale nie był to jedyny powód skłaniający do powrotu.

– Tam zrozumiałem, kim jestem, co chcę robić, gdzie chcę żyć, gdzie jest moje miejsce.

Jego dziadek był leśniczym w Koszarzyskach, pilnował piwniczańskich lasów. W leśniczówce, którą już dawno zdmuchnął upływ czasu, pokój wynajmowali Szaflarscy, rodzice Danuty Szaflarskiej. Byli nauczycielami, uczyli w szkole w Koszarzyskach. Danuta Szaflarska tu się urodziła i wychowywała na jednym podwórku z jego rodzicami i ciotkami. Teraz on oprowadza turystów po ścieżkach dziadka.

Leśny dukt. Przerwa w marszu. Będzie anegdota, oczywiście o góralach. Tadeusz zna ich bez liku. Tę snuje, stojąc na występie skalnym. Góral na mównicy, rostrze, katedrze, ambonie. Kamień wyślizgany od tych gadek. Słowa? Mniej więcej takie: gdyby nie przebiegłość i spryt górali Jagiełło nigdy nie wygrałby pod Grunwaldem. Cholera, może rzeczywiście tak było!

– Idziemy dalej – dyryguje. – Tam wyżej skręcamy w lewo, to znaczy

w prawo, bo w górach powinno się chodzić tylko w prawo. Wiecie o tym.

Słyszałem to wiele razy. Brzmi jak deklaracja polityczna o prawicowym zabarwieniu.

– Tadeusz, gdyby Kolumb miał takie zasady nawigacji, nie odkryłby Ameryki do dzisiaj – wtrącam żartem.

– Ale szybciej odkryłby Australię – odbija.

Kilkaset metrów w stronę szczytu i kolejny wyślizgany kamień z nową opowieścią o ludziach gór. Biję się w pierś – nie wiedziałem, że wpływ górali nadpoprzedzkich na bieg historii Polski był tak wielki, inspirujący, niemal decydujący. Gdyby nie oni to...

Szczyt. Chata na Cyrli. Szczekanie psa. Pickup dobrej klasy na podwórku. Drewniany podest.

Stara nazwa pozostała, ale to już nie dawna *chata*, ciasna, duszna, zatłoczona, tylko świetnie prosperujący pensjonat z wygodami, zbudowany mocą marzeń kilku ludzi uwiedzionych urokami Beskidu Sądeckiego, którym znudził się miejski pejzaż i cała ta bieranina za szczęściem. Tu dogonili własne wyobrażenia o sukcesie.

Nowe wnętrza i stary klimat gościnności. Dobre połączenie. *Kukulka* smakuje jak zawsze, i jak zawsze ma właściwą *moc*. Kuchnia? Nagroda za trud wspinaczki. Pal licho kalorie, zgubi się je na stromych szlakach. Więc zamawiajmy. Borowikowa, smażone oscypki z żurawiną, ruskie. Odjazd, stan zachwyty, marzenie. Nęcący świat kulinarnych ekscesów dla gastronomicznych lubieżców.

Sucha Dolina. Trasa na Obidzę. Na tych stokach miał się zmaterializować *kolorowy zawrót głowy*. Wyciągi o długości paru kilometrów gotowe do przewiezienia w ciągu godziny kilku tysięcy narciarzy – to internet. Sukces w sieci. W *analogu* puisto, głucho, szaro.

Ktoś porwał się na budowę pensjonatu, tuż przy drodze, w środku doliny. Śmiałością pomysłu architektonicznego zamierzał chyba pokonać wszystkie ośrodki narciarskie w okolicy. Nie dał rady. Inwestycja zamarła. Gołe mury, surowe drewno. Baner: *sprzedam*. I numer komórki.

Sucha wyschła doszczętnie. Puste stoki, martwe wyciągi, rdzewiejący sprzęt. Stan marazmu, klęski, zastój, upadku.

Kiedyś znajdowała się tu jedna z lepszych stacji narciarskich w Polsce, zbudowana jeszcze w latach 60. Jakiś czas temu wszystko, jako tako działało.

Ja: – A może górale nie potrafią się dogadać? Stąd ta bryndza.

– Potrafią, chociaż ciężko – mówi Tadeusz.

– Co dzieli?

– Hm, władza.

Ożywcza krew miał wpuścić do Koszarzysk wyciąg na Eliaszkówkę. Przyjechał przedstawiciel francuskiej firmy Pomagalski, znanej z budowy stacji narciarskich w Europie, obejrzał okolicę, wyciągi, zaplecze hotelowe, pociąg, drogi. Wszystko mu pasowało. Górale zobowiązali się wnieść aportem pola do spółki, Francuzi mieli udzielić gwarancji na parę milionów dolarów kredytu. Deal na wzorcowy wyciąg.

– Przedstawiciel firmy Pomagalski postawił warunek, że ani jeden właściciel ziemi nie da kontry – opowiada Tadeusz. – I nikt nie dał. Kontę postawiła gmina, która nie zdecydowała się wnieść swojej ziemi do spółki. Sprawę wywrócono. Nic nie powstało, a papiery podpisali wszyscy. Powstał za to konkurencyjny ośrodek na Wierchomli.

Górale z Koszarzysk zwarli szyki tak, jak ci z Białki Tatrzaskiej, ale nie zrobili interesu na tamtą miarę. Tam liczą pieniądze, tu gospodarze mogą liczyć na niezrozumienie władzy. Miedzy niemożności podzieliły ludzi, odgrodziły żyzną głębę porozumienia i wspólnego sukcesu ugozem lokalnej niemocy.

– Jak w Białce jeden chłop nie chciał wejść do spółki, a pole miał akurat na środku stoku, gdzie chciało zbudować wyciąg, to mu powiedzieli, że go spalą. I zaraz poszedł po rozum do głowy. Teraz siedzi w chałupie i dutków ma od cholery – słyszę.

A może to tylko anegdota o skuteczności zaradnych górali z Białki?

– Ależ skąd! – obrusza się Tadeusz. – Tam ksiądz kłatwą groził. Na początku gospodarze zastawili w banku wszystko, co mieli: domy, pola, żeby ruszyć. Czapki z głów. Pierwszy ratrak kupili w Suchej i razem z tym ratrakiem zabrali nam chyba rozum.

Suchą Dolinę dobiła konkurencja – Ryterski Raj w Rytrze, dziesięć kilometrów od Koszarzysk, Wierchomla, Jaworzyna Krynicka, Litmanowa na Słowacji. Wszędzie blisko i nowocześnie.

– My nie mamy niczego – wyciągu, śnieżenia, krzesła eleganckiego. Parking jest 700 metrów do wyciągu. A wszędzie na świecie z parkingu idziesz prosto na stok.

Parę lat temu trzech przedsiębiorcy z Warszawy chcieli – śladem Francuzów – zainwestować w wyciąg w Kosarzyskach.

– Tak im burmistrz kładł kłody pod nogi, że zrezygnowali – powiedział krótko Tadeusz.

Ci z Warszawy proponowali dzierżawę ziemi na trzydzieści lat. Za hektar dawali 2 tysiące złotych. Zima, lato, jak leci. Idealna sytuacja.

– Wyobrażasz sobie – góral siedzi w domu i z nudów znaczą se kredą kreski na stodole, ilu narciarzy przejechało. I już se przeliczy dutki. A też pokój wynajmie, nalewkę sprzeda, kiełbaskę na różnie zrobi, pierogi z serem i jagodami ugotuje. Ale nic z tego – macha ręką Tadeusz.

Mnišek nad Popradem. Słowacki sąsiad Piwnicznej i Kosarzysk. Jeszcze niedawno kwitnąca strefa przygranicznego handlu: alkohol, czekolada, orzeszki, warkocze serów. Sklepiki tuż za szlabanem. Interes się kręcił. Miejscowi mieli robotę i pieniądze na utrzymanie rodziny.

Teraz niemy kawałek asfaltu. Sytuacja się odwróciła. Słowacy mają euro, przyjeżdżają do nas na zakupy. Hipermarkety w Nowych Sączu biją podobno rekordy obrotów. W soboty i niedziele nie idzie zaparkować, bo pchają się z przyczepkami. Składy budowlane odżyły.

Mnišek za to zamarł. Tylko knajpa u Ditricha się tam trzyma.

Za Piwniczną, w kierunku Krynicy, unijna kasa buduje most na Popradzie i drogę na Słowację. Stara zawisała w powietrzu, na skarpach, obsuwa się, grozi katastrofą.

Obrazek z tamtych lat, autentyczny: do stojącego na granicy polskiego *cinquecento* z kratką podchodzi wkurzony czymś, ponuro wyglądający

słowacki celnik, nachyla się nad kierowcą i nie zaglądając nawet w przygotowane do kontroli papiery, powiada: *przejście dla ciężarówek jest w Chyżnem, proszę stąd odjechać.*

Ten z *cinquecento* nie w ciemną bity, samochód zostawia przy drodze i pieszo przekracza granicę – po koniaku i *studencką* dla dzieci.

W Piwnicznej i okolicy pracy się nie znajduje. Kilkanaście firm i to wszystko. Kto ma robotę w hotelu czy pensjonacie, trzyma się jej kurczowo. Szansą pozostaje turystyka, ale dobrze zorganizowana, atrakcyjna w formie, ściągająca wczasowiczów niebanalnymi pomysłami.

Kapitałem są góry. Obidza, Piwoarówka, Eliaszkówka, Niemcowa, Rogacz, Jaworki, Wąwóz Chomole, Makowica. Szlaki, wspinaczki, widoki, watra, schroniska, chaty pod szczytami. Jak tlenu potrzeba nowoczesnych wyciągów narciarskich, które wypełniłyby lukę, obudziły uśpioną Piwniczną i Kosarzyską, ożywiły ośrodki wypoczynkowe.

„Smrek”, bodaj największy pracodawca w Kosarzyskach, umiał znaleźć się w turystycznym biznesie, choć jeszcze na początku lat 90. zeszłego stulecia był w objęciach górnictwa, ściślej kopalni „Pstrowski”. Kiedy w 1996 roku powstała w Tydach Nadwiślańska Agencja Turystyczna, przeszedł z całym dobrodziejstwem inwentarza pod jej skrzydła, tak jak pozostałe ośrodki należące do Kompanii Węglowej.

Poddawane zabiegom restrukturyzacyjnym górnictwo pozbywało się zbędnego majątku. Hotele przejęły trzy firmy: NAT (spółka-córka KW), Gliwicka Agencja Turystyczna oraz Jastrzębska Agencja Turystyczna

(wchłonięta przez Jastrzębską Spółkę Ubezpieczeniową).

NAT zgarnął najwięcej, posiada osiemnaście hoteli w całej Polsce (dziewięć nad Bałtykiem) oraz stację narciarską w Wiśle. Wszystkie świetnie położone, bo górnictwo, kiedyś potęgą, było w stanie załatwić najlepsze lokalizacje. Część wyremontowano, dzięki czemu mają 3-gwiazdkowy status. Kilka słabszych pójdzie pod młotek. A „Smrek”?

– „Smreka” nie chcemy sprzedać, on jest bezcenny – oznajmia Aneta Poraniewska, dyrektor do spraw marketingu i wsparcia sprzedaży NAT.

Ten ośrodek ma swój charakter, styl, klimat, znalazł oryginalny pomysł na organizację wypoczynku. Góry, ruch, wysiłek, zabiegi, dieta. Zdrowie, uroda, kondycja. Liczenie kalorii. Ile spadło? I tym mocno wyróżnia się nie tylko spośród pozostałych ośrodków NAT-u, ale także innych hoteli w Beskidzie Sądeckim.

Wczasy odchudzające wymyślił Mieczysław Hulewicz, przedsiębiorca z branży turystycznej, który najpierw dzierżawił „Smreka”, by potem prowadzić go pod szyldem NAT-u. Hulewicz miał też inne hotele – „Agę” nad morzem i „Kolibę” w Piwnicznej. „Kolibę” sprzedał. Nowy właściciel nie udźwignął interesu, spasował. Hotel opustoszał i zamienił się w ruinę.

– Hulewicz wyjechał do Hiszpanii – słyszę od Tadeusza. – W okolicach Alicante kupił sobie apartament.

– Za jego czasów wszystko hulało. On to rozkręcił, zwłaszcza w latach 90. Mieliśmy klientkę z Argentyny, panią Julię, która przyjeżdżała w maju i była do października. Pół roku wczasów, bo tak się jej tu podobało. Chodziła w góry, na zajęcia.

Rytm dnia wyznacza poranny rozruch nad Czerczem, przedpołudniowe wyjście w góry, poobiednie zabiegi, wieczorem pływanie i obowiązkowo dyskoteka u Reni. Wczasowicze i instruktorzy są po imieniu. Taki zwyczaj i wszyscy go szanują.

Wcześniej, kiedy ośrodek należał do górnictwa i przyjmował zwykle wyższe szarże górnicze, panowały zgoła odmienne zwyczaje: sztwywny, służbowy dryl, czapkowanie, *ę, q, ru-ki pa szwam*, sztymarze, prezesie, dyrektorze, dyrektorze generalny. Teraz jest Zosia, Kazia, Józek, Władek. Tytuły i stanowiska zostają w domu.

Dystyngowana profesorowa z Genewy, której mąż, polski uczonej zajmujący się jakąś wyszukaną dziedzi-



ną fizyki, pracował w Europejskim Centrum Badań Jądrowych (CERN) pod Genewą, gdzie trwają poszukiwania boskiej cząsteczki Higgsa (w słynnym CERN-ie Donn Brown umieścił początek swoich *Aniolów i demonów*), sprawiała wrażenie serdecznej kupeli z ławy szkolnej. Maja Komorowska niczym dobra znajoma.

Kto raz tu zajrzał, wraca. Stali bywalcy przyjeżdżają z Austrii, Niemiec, Szwecji, USA, Francji, Argentyny. Zżyli się z tym miejscem. Nie szukają luksusów, blasku hiszpańskich kafelek i rozkoszy francuskich wanien, ale atmosfery, jaka tu panuje i radości z chodzenia po górach. Góry uczą pokory, szacunku do samego siebie, dają satysfakcję z pokonania własnych słabości.

– Chciałbym kontynuować smrekowe tradycje – mówi Marcin Buczek, nowy dyrektor ośrodka.

„Smrekowi” przybyła konkurencja, otwarty w zeszłym roku w Piwnicznej hotel „Piwniczna”, położony tuż nad brzegiem Popradu, w który zainwestowała rodzina Olesiów z Tarnowskich Gór, właściciele największej w woj. śląskim firmy handlującej złomem.

– Wcześniej był tu pensjonat „Lindorutu” – opowiada Marzena Oleś, menadżer hotelu „Piwniczna”. – Po tem budynek stał pusty. Zainteresował się nim mój brat. Dlaczego góry? Dziadek jest góralem ze Szczawnicy. Rodzice urodzili się już jednak na Śląsku.

„Piwniczną” wystylizowano w oksymoroniczny sposób, łącząc tradycje i folklor biednych piwniczańskich czarnych górali z bogatą nowoczesnością. Restauracja „Czarna Owca”, łemkowskie motywy na ścianach, w menu odgrzebane przepisy starych góralek, ale też blichtr, SPA i przepych wewnątrz, zwłaszcza apartamentu ze szklaną ścianą.

Historia ubogich czarnych górali i wystawny, trochę cepeliowski, 4-gwiazdkowy hotel za piętnaście milionów złotych pod jednym dachem. Efekt na zasadzie odwrotności znaczeń. Cena za standardowy pokój zaczyna się od czterystu złotych za dobę.

– „Smrek” ma chodzenie po górach, my oferujemy inne atrakcje – quady, ekstremalne sporty, spływy Popradem – dodaje M. Oleś.

Droga na Niemcową i Trześniowy Groń. Ostre podejście na 960 m n.p.m. Pod szczytem dwie drewniane chaty na Tymowskim, którymi włada Jurek, „Harris”, jak go nazwa-



Tadeusz roznieca kolejne ognisko...

no, wyjątkowa postać i dobry duch tych gór. Broda, pochylona sylwetka, dobre słowo, żar sympatii w spojrzeniu.

Miejsce też jest wyjątkowe. Po trosze schronisko, po trosze skansen, po trosze izba tradycji. Nie ma bieżącej wody, kanalizacji, prądu, jest za to niezwykła atmosfera, ciepła strawa na piecu, postanie i klimat życzliwości. Można zapomnieć o codziennej bieganinie, odetchnąć, zrzucić z siebie kurz cywilizacji. Jurek przygarnie każdego. Ugości, nakarmi, przenocuje.

Ja: – Wiesz Tadeusz, że wszyscy czekają na to, co znów na kamieniu powiesz?

– Jasne. Przyjeżdżają do nas różni ludzie, lekarze, prawnicy, przedsiębiorcy. I co ja im mogę dać? Mogę im dać to, co mi dziadek przekazał, podzielić się moją miłością do tej małej ojczyzny.

– Piwniczna to kwitnące miejsce?

– Tak było w PRL-u.

– Ziemia zapomniana?

– Nie, ziemia zaniedbana. Nie mamy ręki do dobrego gazdy, czyli burmistrza. Te nasze come górole wybierają tak, że niech krew zaleje. Niby się coś u nas robi, coś buduje, ale widziałeś zabetonowane szachy w TVN-nie. Polska się z nas śmieje. Te szachy to Piwniczna w pigułce. Inwestycje nie przynoszą rozwoju, tylko koszty, które musimy z naszych podatków pokrywać.

Góry się nie zmieniły, zmienili się ludzie gór, zmieniła się Piwniczna i cały okoliczny grajdoł. Na lepsze?

– Piwniczna, moje kochane Kosarzyska i „Smrek”, w którym pracuję tyle lat, idą chyba w złą stronę. „Smrek” jest teraz inny i chyba nie będzie taki, jak dawniej.

– Kiedy wracałem po dziesięciu latach nieobecności, miałem obawy. Siwizna na skroniach, a tu młoda kadra. Ale szybko się okazało, że ten wiek to nie wada, ale atut, bo wiek większości klientów ośrodka jest taki, jak mój. Wychowaliśmy się na tych samych audycjach, słuchaliśmy *Trójki*, *minikasu*, na prywatkach leciały te same przeboje Uriah Heep, King Crimson, Deep Purple, Led Zeppelin. I nagle się okazało, że mogę stanąć na najwyższym schodku i powiedzieć: *Im the boss*.

Łuk szosy, mostek, zabudowania. „Potargana Chałupa” stoi od ulicy, z martwym gankiem i oknami bez firanek. Pozostaje marzeniem, mitem niespełnionym Tadeusza. Za nią czteropokoleniowa tadeuszowa chałupa. Do roboty chciał chodzić w kapciach. I może kiedyś pójdzie i powie, że jest tu szefem.

* * *

Włodzimierz Grucela, sekretarz Urzędu Miasta i Gminy w Piwnicznej Zdroju, nie potrafił skomentować historii z propozycją francuskiej firmy Pomagalski. Stwierdził natomiast, że dla potrzeb projektu warszawskich przedsiębiorców gmina wydzierżawiła należące do niej teryny. Stacja nie powstała, bo inwestor nie przystąpił do budowy. Teraz planowany jest wyciąg na górze Kiczarz. Przeciwno tej inwestycji zaprotowali ekolodzy i geolodzy, argumentując, że ingerencja w zbieżność może zniszczyć ujęcia wody mineralnej „Piwniczanki” i spowodować ruchy osuwiskowe na dużej skale.

KAROLINA OPARA

nocnik

*dziś
nie będę płakać
nad rozlanym tłuszczem słów
białą plamą wieczoru*

*bo dziś
rozłożę wszystkie znaki rąk i ust
na pustej ulicy twojego ciała*

*tylko dziś
zielone światło dla zmysłów*

*tej nocy
zderzysz się
z samym dnem
łóżka*

O rety Yeti

*nie pamiętam
jak miał na imię
do której klasy chodził
ani jakiej muzyki słuchał
pamiętam
tylko jego wielką czarną stopę
odbitą
na śniegu prześcieradła*

ten motylek boso latał!

panna młoda

*złoto na palcu
srebro na policzku
olów spojrzeń*

I

*odmawiam kawie cukru
zemsta jest słodka
przynajmniej umierać
będziesz jak Poświatowska – odpowiada
cwana czarny humor zawsze się jej trzymał*

II

*odzwyczajam się od palenia
mostów za sobą
jednak idę na przystanek
wyciągam rękawiczki bilet kilka słów
litania codzienności
niebale żegnam samotność*

III

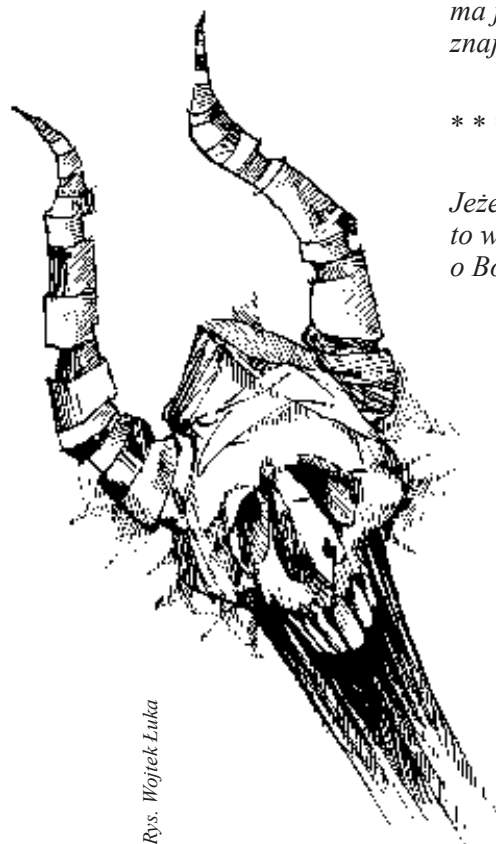
*połyka mnie autobus
nuda jak zwykle przysiada się
właśnie do mnie
pod jej ścisłym nadzorem
liczę drzewa dni miesiące*

IV

*Dante nie miał racji
piekło jest płaskie
ma jeden krąg
znajomych z widzenia*

** * **

*Jeżeli Bóg jest przypadkiem
to wołaczem
o Boże!*



Rys. Wojtek Łuka

Ptasie mleczko

wrona

kroczy w ciężkich butach
i wieczorowym makijażu
rozkładając czarne skrzydła płaszcza
straszy w okolicy

sroka

zawsze szczery
złoty uśmiech
uważaj
wąż z kieszeni jej ust
wychodzi na łowy

kura

krząta się i chrząka
na głowie irokez
na rękach blady synek
pozostałości po wiśniowych sadach

papuga

obecnie
artystka – feministka
z kilkoma kolorowymi cytatami
przyklejonymi do twarzy

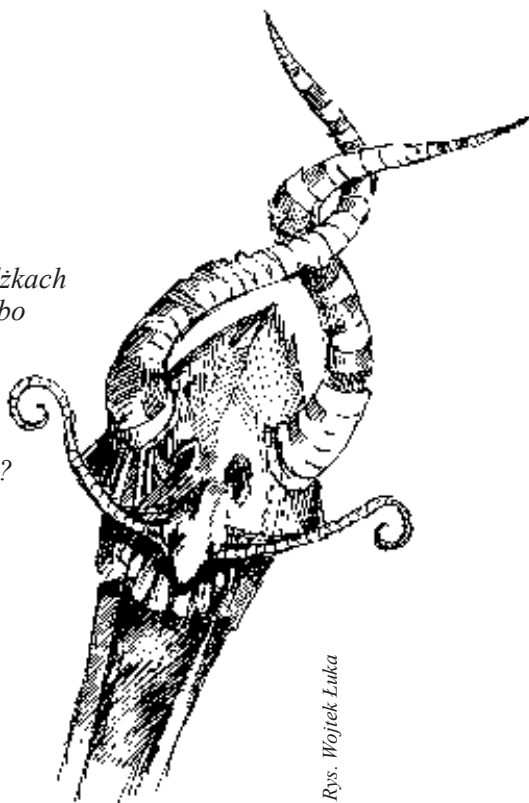
jaskółka

więc obniżam swe loty
może dasz mi dzióbka
a tym razem
nie przejdzie obok
ten dreszcz

czy kobiety o ptasich mózdkach
szybciej wzbijają się w niebo

ars poetica

jak pisać wiersze po pracy?
no jak odbić się
od dna słowa
i butelki?



Rys. Wojtek Łuka

dramat rozgrywa się w jednym akcie

słońce już zaszło powiekami
noc rozpala się
zagląda w gardła
prawda policzona drzeniem

jak w starym filmie
ścinamy głos
puszczając się z dymem

odtworzeni na potrzeby wiersza

I

chciałabym być ruda
jak ania z zielonego wzgórza
wiersze wyczesywać z lasu

II

nie jestem ruda
a nuda i tak ze mną
zbyt często rymuje

III

ciemny blond
to zdaje się pleonazm
dysonans
– mysi feminizm

IV

w sumie czas
zmienić koloryt
ziemi nabrać w usta

V

z ziemią mi do twarzy
dookoła głowy
kruca czerni

Złota Praga

rzeki piwa
gubią się
w morzach żółdków
by za chwilę wylać
ciepłym prysznicem humoru

dzisiaj wszyscy jesteśmy złotouści

ADAM
REGIEWICZ

Częstochowa do kryminału

su do czasu ktoś ukradnie coś ze straganu czy doprowadzi do wypadku komunikacyjnego, jednak sama zbrodnia w tych miejscach się nie pojawia. Niejednokrotnie można odnieść wrażenie, że autorzy z zazdrością spoglądają w stronę innych metropolii, gdzie zło i występki dzungli miejskiej to raczej codzienność, a poziom zbrodni jest nieco bardziej wyrafinowany niż kradzież 200 zł z kasy monopolowego.

„Częstochową nie można się zachwycać” – mówi ustami bohatera jeden z autorów, wyrażając tym samym gnębiący tu wszystkich kompleks bycia miastem „pomiędzy”. Z jednej strony Częstochowa jawi się jako przestrzeń sytuowana na trasie między Katowicami a Warszawą, do którego nikt poza pielgrzymami i ofiarami wypadków drogowych nie ma powodu zaglądać. To „miasto po drodze do innych miast: Warszawy, Katowic, Krakowa, Wrocławia”. Nawet na zakupy wyjeżdża się tu do niedalekiej Łodzi czy stolicy Górnego Śląska. Z drugiej zaś to miasto z silnie ukonstytuowanym centrum wyznaczonym przez deptak wiodący od kościoła św. Zygmunta do klasztoru Jasnej Góry, przecinany licznymi arteriami i szlakami komunikacyjnymi. Każdy, kto choć raz pielgrzymował przed obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, pamięta ten „pas startowy” – ostatnią prostą, którą zmierza się do tak bliskiego już celu. To razem przekleństwo samych mieszkańców, którzy z niechęcią patrzą na przybyszów, przechodzących, mijających stare kamienice, nie zostawiających śladu swojej obecności. Ci intruzi, rozsiadający się na miejskich ławkach i zieleńcach, dzielący się kanapkami i ugotowaniami na twarde jajkami, popijający je herbatą z termosu, masujący obolałe stopy i przekuwający pęcherze na stopach wydają się stałym komponentem częstochowskiego sierpniowego krajobrazu, a jednak budzą uczucia negatywne: od chłodnej obojętności po agresję.

Nic zatem dziwnego, że przestrzeń silnie nacechowaną znaczeniowo, także emocjonalnie pozostaje klasztor Paulinów. Jasna Góra jawi się albo jako oddalony od normalnego codziennego życia mieszkańców „inny świat”, albo wręcz jako miejsce zła, skąd rozlewa się ono na całe miasto. Sama wieża klasztoru przypomina uniesiony palec grożący swoim mieszkańcom, karzący i wymierzający sprawiedliwość, na który spogląda się z lękiem. To architektoniczny znak strażnika, który przypomina o sędzie i czekającej ludzi karze, niczym Mickiewiczowski *Czatyrdah*. Nastrój grozy podkreślają albo uwarunkowania meteorologiczne (mgła, chmury, zapadający mrok), al-

Zdjęcia: Marcin Szpadrowski



Co może opowiedzieć o tożsamości miasta przybysz? Jakie prawo ma do snucia refleksji nad żywą tkanką miejską ktoś, kto raz na jakiś czas przechadza się nie-swoimi ulicami, jedzie tramwajem czy przeciska przez targowisko, by potem wsiąść do pociągu i odjechać? Czy obcość miejsca, którego doświadcza incydentalnie, choć w miarę regularnie, stawia go w sytuacji uprzywilejowanej czy wręcz przeciwnie – na straconej pozycji? Tych kilka pytań opisuje doskonale perspektywę, w której powstaje niniejszy szkic poświęcony przestrzeni Częstochowy. Przyjmując na siebie rolę przybysza – obcego, czasem *flâneura*, czytam to miasto, nie tylko obcując z jego ulicami, wystawami sklepowymi, ale dokonując lektury powieści kryminalnych, związanych z Częstochową, czy to poprzez miejsce zamieszkania ich autorów, czy też ze względu na fakt konstruowania fabuły w tej właśnie miejskiej przestrzeni. Tak zrodził się pomysł „przečytania” miasta, które prześwituje spod porządku narracyjnego, intryg, akcji, splotu wydarzeń.

Początkowo podążanie za bohaterami ulicami o obco brzmiących nazwach, wchodzenie do budynków tak charakterystycznych dla przestrzeni Częstochowy, jak Sąd czy Urząd Miejski, wreszcie przysiadanie na skwerach (jak skwer Solidarności) lub placach (plac Biegańskiego) zmusza do swoiste-

go mapowania miasta, sytuowania wydarzeń w częstochowskiej topografii. Staje się ona scenariem, rozumianą zarazem jako porządek świata – tego lokalnego, częstochowskiego uniwersum, a także jako zbiór konkretnych umiejscowień – zdarzeń fabularnych, scen, sytuacji, w jakich uczestniczą bohaterowie rzeczonych kryminałów. W ten porządek tak mocno wpisują się przestrzenie użyteczności publicznej: budynki Policji, Sądu, Urzędu – zwane „trójkątem bermudzkiem”, ale także szpital, przestrzenie uniwersyteckie Akademii im. Jana Długosza, Politechniki czy wydającej swe ostatnie tchnienie Akademii Polonijnej. Poruszamy się zatem jako czytelnicy po teraźniejszej Częstochowie skoncentrowanej wokół Alej Najświętszej Marii Panny i jej prostopadłych skrzyżowań, z rzadka zapuszczając się w inne części miasta i nie mówię tu o dzielnicach (Rakowie czy Błęsznie), bo te są prawie nieobecne, ale mam na myśli okolice katedry, starej części miasta czy Rynku wieluńskiego. Zadziwiający jest też absolutny brak w świadomości bohaterów okolicy Galerii Jurajskiej (dużego nowoczesnego centrum handlowego postawionego w miejscu jednej z najstarszych części miasta), która pozostaje niejako na uboczu wydarzeń. Co ciekawe, przestrzeń owego centrum jest niemal wolna od wątków kryminalnych: może od cza-

bo gotyckie obrazowanie przestrzeni klasztornych ukazujące mroczne korytarze, piwnice, surowe ściany, po których spływa krew itd. W innych realizacjach groza ustępuje miejsca tajemnicy, której aurę budują podziemne przejścia, ruchome konfesjonały, skrywane komnaty czy labiryntowe korytarze prowadzące do zupełnie niespodziewanych miejsc pod Częstochową. Trudno wszak pominąć w tym miejscu zarówno poznawczą, jak i ideologiczną płaszczyznę tej przestrzeni z jej historią, wpisaniem w pamięć zbiorową, odniesieniem materialnej obecności klasztoru Paulinów do mentalności tak lokalnej, jak i przede wszystkim polskiej. Nie dziwi zatem fakt, że z tą właśnie przestrzenią symboliczną związane są zbrodnie lub wydarzenia do nich prowadzące, inspirowane zarówno medialnymi konotacjami spod znaku Dana Browna, jak i historycznymi zagadkami lokalnej proveniencji jak chociażby legenda o podziemnym połączeniu klasztoru z Olsztynem z czasów „potopu szwedzkiego”. Nie może zatem dziwić, że Jasna Góra jako miejsce zarazem naznaczone świętością, jak i przestrzeń pamięci – przestrzeń historyczna, wyznaczająca miastu swoistą *axis mundi*, jest przestrzenią, w której przenikają się zachwyt i groza, a tym samym to właśnie tu kumulują się wydarzenia kryminalne.

Jakkolwiek autorzy kryminałów starają się minimalizować rolę Jasnej Góry w konstruowaniu tożsamości mieszkańców, to przestrzeń mentalna, jaka wyłania się z powieści kryminalnych, nie potwierdza tych starań. To przede wszystkim Częstochowa mieszczańska, celebrycka posiadanie, ceniąca sobie wygodę i pełny portfel, raczej spokojna, gdzie nie dokonuje się wielkich zbrodni, a wydarzeniem jest kradzież alkoholu w sklepie nocnym. Jeśli zbrodnia wkracza na scenę, to zazwyczaj w miejscach „nieporządnym”, do których prawy mieszkaniec Częstochowy nie zagląda (albo robi to rzadko). Przestrzeń mentalna wyraża się przede wszystkim w moralności mieszczańskiej, utożsamianej często mylnie z etyką katolicką. To Częstochowa „porządna”, gdzie zło zawsze jest ukarane (czasem w przesadny sposób), i ta niewątpliwie ma największy wpływ na konstrukcję intrygi kryminalnej. Wszystkim towarzyszy bowiem przekonanie, że zło musi zostać ukarane, zbrodnia dotyka ludzi, którzy w jakiś sposób przekroczyli nakazy czy prawa, czy moralności, w konsekwencji ponoszą odpowiedzialność. Trudno zatem dziwić się, że wśród ofiar znajdują się: dość rozwiązła pielęgniarka dorabiająca sobie na wakacjach „towarzyszeniem” tury-

stom, skupiona na swojej urodzie dziewczyna nie dostrzegająca nikogo poza sobą, narkoman, gej, baraszkujący z uczennicami nauczyciel, a nawet dewotka. Bohaterowie tropiący zbrodnie – czy to śledczy, czy też detektywi-amatorzy – niejednokrotnie dają wyraz tej mentalności, wykonując gest: „no, można było się tego spodziewać”.

Rewersem opisanej powyżej sytuacji jest przestrzeń skrzętnie przez mieszkańców ukrywana, usytuowana z dala od ciekawskich oczu – na peryferiach miasta. Tereny podmiejskie, zasiedlone przez bogatszych (może nawet nowobogackich) mieszkańców Częstochowy w domach jednorodzinnych i willach, to niejednokrotnie miejsca zachowujące pozór porządku, spod którego wyzierają słabości, skłonności i świństwa. Wspomniane wille to zazwyczaj miejsca, w których spotykają się lokalni swingersi, oddając się uciechom seksualnym; to domy, skrywające pokoje przygotowane do zabaw erotycznych, niewolnych od przemocy seksualnej; to salony odnowy biologicznej będące ukrytymi domami publicznymi. To właśnie na obrzeżach miasta, w podczęstochowskich gliniankach czy na leśnych ścieżkach, dokonuje się zbrodnia, którą próbuje się ukryć w przestrzeni oswojonej – domowej. Interesujące wydaje się to, że wydarzenia kryminalne nie są konsekwencją „niebezpiecznych miejsc” Częstochowy, które w powieściach są niemal nieobecne ani w postaci blokowiskowych dresiarzy, ani staromiejskich „lumpów”, proszących o dwa złote na bułkę, ale właśnie miejsc bliskich, antropologicznych, jak dom czy klasztor, lub nie-miejsc, jak powiedziałby Marc Auge, czyli takich przestrzeni, które sprzyjają bezosobowym relacjom międzyludzkim, jak: hotele, siłownie, dworce, McDo-



nald'sy itp. Te ostatnie wzmagają poczucie obcości, a zarazem obojętności wobec miasta oraz w relacjach międzyludzkich, które przesiąknięte są frustracją czy czasem nienawiścią.

Z takimi odczuciami koresponduje widoczna w powieściach tendencja do zamykania się w przestrzeni swoich ciasnych mieszkań, co wiąże się zarazem z mentalnością mieszczańską i chęcią zbudowania sobie przestrzeni swojskiej, przyjaznej, bezpiecznej, jak i z ciasno formowaną przestrzenią osobistą. Przestrzeń osobista to zazwyczaj miejsce całkowicie zamknięte dla „drugiego”, azyl bezpieczeństwa, bastion „ja”, przypominający trumnę lub grobowiec. Zazwyczaj ciemne pomieszczenia wywołują uczucie duszności, w tych przestrzeniach raczej się nie rozmawia, bowiem poszczególne jej elementy stanowią pewną barierę komunikacyjną: czy będzie to ściana, drzwi czy kącik dnia poprzedniego. W tym świecie ludzie częściej wymieniają informacje za pomocą telefonu czy emaili niż twarzą w twarz. Do tego typu przestrzeni zamkniętych można zaliczyć także ukazywane w powieściach miejsca akcji w budynkach użyteczności publicznej (pokoje przesłuchań, sale klubów czy cele więzienne), osławiane przez bohaterów poprzez pracę czy inne działania, które korespondują z atmosferą podejrzenia, nieufności, nadzoru itp. Lęk przed wpływem „drugiego” jest tak silny, że spotkaniom towarzyszy zazwyczaj duże napięcie emocjonalne. Z czym wiąże się obawa? Wydaje się, że właśnie z osądem w kluczu mentalności mieszczańskiej, stąd ucieczki, uniki, usprawiedliwienia, które mają pomóc wymknąć się zastawionej gombrowiczowskiej pułapce „gęby”. A może to znak naszych czasów, lęk przed „drugim” jest w gruncie rzeczy lękiem egzystencjalnym – przed śmiercią ontologiczną, którą może mi zadać „inny”.

Kiedy mowa o wpływie, nie można pominąć niezwykle istotnych przestrzeni intermedialnych, będących efektem wpływu przekazów medialnych na tożsamość autora, odbiorcy, wreszcie na sam kształt tekstu literackiego. Jak zauważają antropolodzy, współczesny człowiek konstytuuje swoją tożsamość inaczej niż jego rodzice czy dziadkowie, bowiem wpływ na jej kształt ma już nie tyle osobiste doświadczenie czy pamięć, ale obejrzone programy medialne. W tego typu tożsamości zaciera się granica między doświadczeniem przeżyтым a doświadczeniem medialnym; rzeczywistość staje się pojęciem niejednoznacznym, bowiem za pośrednictwem mediów człowiek prowadzi podwójną egzysten-

cję, która rozgrywa się „tu i teraz” oraz „tam” – w świecie realnym i świecie medialnym. Tożsamość oparta na teleobecności wykazuje strukturę schizofreniczną, która uwolniona od więzi społecznych postrzega świat w sposób ahistoryczny i indywidualistyczny, zdeterminowany chwilą obecną, podległą dyktatowi zmienności. Człowiek zmedializowany pod wpływem natłoku, konsumpcyjnego nadmiaru obrazów medialnych staje się zbiorem różnorodnych, niezbornych i niepowiązanych doświadczeń telerzeczywistości. Wobec takiej tożsamości, przynależności społeczne typu rasa, płeć kulturowa, kraj, miejsce urodzenia, religia przestają dziś być istotne, zostają zastąpione przez świadomość nowoplemienną, opartą na wspólnotowości medialnej: telewizyjnej czy internetowej.

Zjawisko to doskonale widoczne jest także w powieściach kryminalnych, w których narracja korzysta z rozwiązań filmowych, serialowych, kopiując sceny, korzystając z klisz. W tym sensie niektóre przestrzenie stają się rodzajem fototapety czy swojskiego monidła, w których rozgrywają się wydarzenia. Dotyczy to szczególnie tych miejsc, które nie są związane z topografią Częstochowy. Konstruowana w ten sposób opowieść zazwyczaj wpisuje się mocno w określoną z góry konwencję czy to romanisu (plaża, basen, jacht i drinki z palemką), czy horroru (gotyckie korytarze, cele zakonne, konfesjonał, podziemna krypta), a nawet filmu pornograficznego (pokój hotelowy, winda, siłownia, szatnia szkolna), co uświadamia, jak silnie współczesny odbiorca uwikłany jest w wyobrażnię z serwisów w stylu *YouPorn*. Przeżywane przez bohaterów wydarzenia nie do końca pozostają ich własnością, są właściwie kolażem incydentalnych sytuacji ze znanymi z produkcji medialnych rozwiązaniami fabularnymi.

Już tylko kilka tych refleksji uświadamia współczesnemu czytelnikowi, jak ważnym narzędziem pomocnym w interpretacji tekstu staje się przestrzeń, która jawi się jako klucz do rozumienia intencji nadawcy, a także formowania sensu – nie tylko tego dosłownego, ale także ukrytego, uwikłanego w dyskursy kulturowe ujawniające się poprzez różne porządki narracyjne, co pokazuje przypadek częstochowskich kryminałów. Dziś kryminał nie jest tylko czytadłem, literaturą z pogranicza rozrywki, ale staje się narzędziem diagnozy problemów społecznych, co pokazuje święcąca triumfy skandynawska powieść kryminalna. Może także być ona przestrzenią gry intertekstualnej czy rozrywki



intelektualnej zarezerwowanej dla wysublimowanego odbiorcy, jak ma to miejsce chociażby w cyklu o komisarzu Montalbano, sycylijskiego pisarza Andrea Camilleri. Z kryminałem ma się rzecz podobnie jak z fantastyką literacką, jeśli ta ostatnia – jak dowodził niegdyś Rafał Ziemkiewicz – jest dziś jedyną poważną płaszczyzną rozważań na tematy egzystencjalne, to powieść kryminalna staje się – może nie jedyną, ale z pewnością ważką – przestrzenią dyskusji społecznej, podejmującej istotne kwestie, związane z często przemilczanymi przez debaty publiczne tematami związanymi ze stereotypami, tożsamością, historią, pamięcią itp. Przykład omawianych kryminałów pokazuje, że właśnie dzięki ich konkretnemu usytuowaniu w topografii, konstytuuje się bardzo charakterystyczny zapis mentalności, stanu świadomości współczesnego mieszkańca Częstochowy,

który daje wyobrażenie o tożsamości lokalnej. Czy prawdziwe? Na pewno subiektywne.

Podstawą niniejszego tekstu stały się spotkania z autorami kryminałów, związanych personalnie z Częstochową czy to poprzez miejsce zamieszkania, urodzenia, czy też inne relacje, organizowane przez Pracownię Komparatystyki Kulturowej AJD od października 2013 do maja 2014 r. W projekcie „Częstochowa do kryminału” wzięli udział: Aleksander Wierny (*Światło, Teraz*), Aneta Nawrot (*Czternaście dni tygodnia*), Carla Mori (*Krew, pot i łzy*), Tomasz Jamrozowski (*Schodząc ze ścieżki*), Marta Obuch (*Miłość, szkielet i spaghetti*), Marcin Wolski (*Skecz zwany morderstwem*) i Marian Piotr Rawinis (*Martwa natura z księżycem*).

Kłopoty z tym pojęciem zaczęły się natychmiast po jego odkryciu. Najęższe filozoficzne głowy od najdawniejszych czasów starają się odsłonić jego właściwe znaczenie. Najprostsza definicja mogłaby brzmieć tak: wolność to robienie tego, co się chce. Trzeba tu zaraz powiedzieć, że w niektórych umysłach przetrwała ona do dziś i, co oczywiste, nadal jest źródłem wielu problemów i konfliktów. Głębiej myślący uważali, że „moja wolność jest twoją niewolą”. Ten stereotyp także przetrwał tu i ówdzie do dziś. Nie muszę dodawać, iż okazał się ślepą uliczką. Kiedy nadeszły rewolucje i inne gwałtowne przemiany, popularne stało się hasło: nie ma wolności dla wrogów wolności. Brzmiało ono rewelacyjnie, ale biorąc pod uwagę mglistość tego pojęcia, w praktyce dało opłakane skutki. Dziś ktoś wymyślił nieco inną definicję, równie nieostrą jak poprzednie, ale ładną: granicą mojej wolności jest twoje dobro. Wygląda na to, że wszędzie te definicje-niedefinicje znalazły sobie miejsce we współczesnym świecie i choć niewiele wyjaśniają, chętnie się do nich odwołujemy w zależności od tego, co chcemy osiągnąć.

Warto pamiętać, iż wolność ma swój wymiar ekonomiczny, polityczny i społeczny. Rezultatem wolności ekonomicznej jest z jednej strony zysk, a z drugiej zadowolenie nabywcy. Zysk bez zadowolenia jest oczywistym pogwałceniem tej wolności. Nie muszę dodawać, iż świadkami bądź uczestnikami takiej sytuacji jesteśmy niemal codziennie. Wymiar polityczny wolności realizuje się w podobny sposób – na zasadzie transakcji. Część naszej wolności oddajemy w ręce, zazwyczaj dobrowolnie, ludzi których w demokratyczny sposób wybieramy jako sprawujących władzę. Ich zysk to kompetencje, jakie w taki sposób otrzymują, oraz, rzecz jasna wynagrodzenie. W końcu politycy także muszą z czegoś żyć. Aby transakcja była obustronnie satysfakcjonująca, kompetencje muszą zaspokoić ich ego, które, jak każdy z nas, posiadają, a nam przynieść zaspokojenie naszych potrzeb, w imię których na te, a nie na inne osoby postawiliśmy. Jeśli obserwujemy stan równowagi, nawet względnej, wszystko w porządku. Gorzej, jeśli, co boleśnie częste, przyznane przez nas kompetencje są używane wyłącznie jako pokarm i paliwo dla nadymania czyjegoś „ja” i realizacji celów, które nic dobrego nam nie przyniosą. Wtedy nasza wolność do realizowania naszych osobistych czy wspólnych zamierzeń cierpi. Czasem w milczeniu, czasem reaguje krzykiem ulicy czy mediów. Z różnym skutkiem.

Z moich Górek
WITOLD TURANT

Mgliste pojęcie – wolność

Jak się wydaje, wolność społeczna to pojęcie najbardziej skomplikowane i wielopłaszczyznowe, jako że zahacza ono bardzo mocno o wspomniane już terytoria, a ponadto samo w sobie nie jest czymś, co łatwo ująć w ramy. Te dziedziny, które wydają się najistotniejsze, to wolność narodowa i etniczna, wolność różnych grup interesu (wyznaniowych, ideowych, zawodowych a nawet hobbyistycznych), a wreszcie i nasza wolność osobista. Ta ostatnia jest szczególnie wrażliwym polem, ponieważ o ile często jesteśmy skłonni do kompromisu i negocjowania zakresu wszystkich innych rodzajów wolności, to jednak uszczerbek na wolności osobistej, czy też tylko jego poczuciu, boli nas najbardziej. Uważam to zjawisko za jak najbardziej naturalne. Tym bardziej, że jednostka jest narażona na oddziaływanie gwałtownie wspomnianych dziedzin wolności jednocześnie, a także na skutki dziwacznych interpretacji wymienionych na wstępie definicji.

Zniewolenie może dokonywać się w rodzinie, z użyciem przemocy lub bez. Wielu z nas wie, że żona czy dziecko nie muszą być bite, by od rzeczy, które lubią oddzielić je nieprzekraczalną barierą. Podobnie rzecz ma się z tymi, którzy różnią się od nas poglądami. Powiedzenie – o czym tu z durniem dyskutować, to nic innego, jak tylko ograniczanie wolności w imię jej samej, tyle że arbitralnie postrzeganej. Inna sytuacja, która w gruncie rzeczy nie jest niczym innym, jak zakamuflowanym zamachem na naszą wolność, to uporczywa odmowa ze strony np. firmy telekomunikacyjnej rozwiązania z nami umowy, umotywowana tym, że nasze pismo nie miało charakteru wypo-

wiedzenia bądź szukanie pretekstu przez producenta do nieuznania reklamacji wadliwego produktu. Można także dokonywać zamachu na cudzą wolność w sposób „bezdotykowy”. Ktoś, kto paraduje w podkoszulku z napisem Oberschlesien ograniczając moją wolność osobistą, lekceważąc moją wrażliwość historyczną, która jest częścią tej wolności, podobnie jak ktoś, kto publikuje bzdury o Żydach, którzy sami pakowali się do pieców w Auschwitz. Ktoś mówi nam, co wolno oglądać i czytać, a czego nie, lekceważąc nasze prawo wyboru. Dokonuje takiego zamachu polityk wypowiadający się, nawet w prywatnej rozmowie, o państwie i o osobach ze swojego otoczenia politycznego w sposób niegodny. Przecież nie chamstwo i lekceważenie było kompetencją, której mu udzieliłem (nawet nie wspominam o wykorzystywaniu urzędu do celów prywatnych, czy o korupcji).

Inna sprawa, że zawsze mówimy o tym, jakby tych zamachów dokonywał wyłącznie ktoś inny, jakby ograniczenia przychodziły zawsze z zewnątrz, zapominając trochę, że i my broniąc swej wolności, przekraczamy często tę niewidzialną granicę. To nie jest płot, za którym mieszka mój sąsiad. To nie jest miedza, za którą rozciąga się cudze pole. Pragniemy sięgać za horyzonty, odkrywać nowe łądy pojęć i zachowań i mamy do tego prawo. Na tym m.in. polega sens egzystencji ludzkiej, zwłaszcza egzystencji odkrywcy – artysty czy naukowca. Jednak nie wszyscy chcą za nim podążać. Mniejsza o to, czy dobrze robią, czy nie; mają także do tego prawo. Natomiast nikt nie ma prawa przekraczać tej niewidocznej linii. I tu wszystkie teorie biorą w łeb, zwłaszcza gdy ulegamy stadnemu myśleniu i nasze pojęcie wolności takiemu myśleniu podporządkowujemy. Zdradzamy wtedy wolność cudzą i swoją. Ale czy wolność można zdradzić?

„Ma liberté...
Et je t'ai trahi pour
Une prison d'amour
Et sa belle geôlière...”

Śpiewał ongiś Georges Moustaki. Zatem można. On jednak zdradził wolność dla miłości, co można usprawiedliwić. Natomiast nasze codzienne zdrady są popełniane dla kariery, mamon, poklasku w mediach. I co z tym zrobić? – zastanawiam się, widząc z mojego okna panoramę Beskidu Śląskiego.

Góry milczą. Zagadka nierozwiązana.



Zbliżenie twarzy Wojciecha Korfantego (kadr z tej samej taśmy), ujęcie pochodzi z końca lat dwudziestych.

Korfanty na ekranie

JAN F.
LEWANDOWSKI

Postać Wojciecha Korfantego pojawiła się w kilku filmach i serialach, lecz głównie epizodycznie. Niemal nie pozostały z przeszłości taśmy archiwalne z jego osobą. Nie miał Korfanty szczęścia na ekranie.

Z pewnością filmowano go w latach dwudziestych i trzydziestych, lecz raczej rzadko. Operatorzy rządowej Polskiej Agencji Telegraficznej nie nakręcali polityków antysanacyjnej opozycji, a jeśli nawet i nakręcali, to takie fragmenty nie wchodziły do cotygodniowych kronik w kinach. Jeśli już, to Korfantego łatwiej byłoby znaleźć w kronikach sprzed przewrotu majowego, a i to nie jest prostym zadaniem, bo zbiory archiwalne nie są kompletne. Dlatego trudno znaleźć Korfantego na taśmach z przeszłości.

Dwa ujęcia prezesa

Nie znajdziemy Korfantego nawet w znanej kronice „Przylączenie Górnego Śląska do Polski”, nakręconej w dniach czerwcowych 1922 roku przez sławnego operatora Jana Skarbka-Malczewskiego, bo taśma jest niekompletna, nie zachowała się w całości.

Z tego powodu nigdy nie udało mi się zobaczyć charakterystycznej sylwetki Korfantego w filmach montażowych o czasach II Rzeczypospolitej. Najpewniej trzeba byłoby poszukać w kronikach francuskich, niemieckich albo brytyjskich.

Jedyny znany mi Korfanty na taśmie filmowej znajduje się w Muzeum Historii Katowic, na taśmie przekazanej do zbiorów muzealnych w 1989 roku przez Marię Ullman, córkę Wojciecha Korfantego.

Opatrzona napisem „Prezes Rady Nadzorczej Spółki p. poseł Wojciech Korfanty” taśma jest króciutka, zaledwie dwudziestosekundowa. Zawiera właściwie dwa ujęcia: w pierwszym Korfanty wychodzi ze swego domu, a drugie przynosi zbliżenie jego twarzy. Wygląda na to, że ujęcia pochodzą z końca lat dwudziestych.

Z napisu na taśmie można wnioskować, że chodzi o Korfantego prawdopodobnie w roli prezesa rady nadzorczej concernu wydawniczego „Polonia” w Katowicach. Jest to jedyny znany mi autentyczny Korfanty na taśmie filmowej. Dobrze się stało, że dokonano niedawno przekopiowania tego kawałka łatwo zapalnego celuloidu do zapisu cyfrowego, a dzięki temu można już dzisiaj pokazać żywego Korfantego publiczności.

Przez wiele lat powojennych, podobnie jak i przed wojną, Korfantego nie uwzględniano w filmach dokumentalnych, tym bardziej że nie znajdowano go na taśmach archiwalnych. Dlatego pierwszy telewizyjny dokument o nim nakręcono dopiero w 1991 roku.

Półgodzinną, telewizyjną „Rodzinną opowieść o Wojciechu Korfantym”, zrealizowaną przez dokumentalistę Zygmunta Skoniecznego, trudno byłoby nazwać klasycznym dokumentem, skoro żywego Korfantego w niej nie znajdziemy. To sfilmowany zapis rozmowy z jego synową, Eugenią Korfanty, która po wojnie mieszkała w Dallas w Teksasie. W filmie Skoniecznego opowiada po prostu o rodzinie, a jej zwierzeniom towarzyszą materiały ikonograficzne ze zbiorów Muzeum Historii Katowic.

Niemniej dobrze, że jej wspomnienia zarejestrowano, skoro żadnych innych z najbliższego kręgu Wojciecha Korfantego nigdy nie zapisano, a dzisiaj jest to już niemożliwe. Teraz taśma telewizyjna relacja ma niewątpliwie rangę źródłową.

Kreacje aktorskie

Pierwszy wcielił się w dyktatora trzeciego powstania wybitny aktor teatralny **Jan Kreczmar** (1908–1972) w „Rodzinie Milcarków” Jerzego Wyszomirskiego z 1962 roku. W tym dramacie górnośląskiej rodziny na tle trzeciego powstania w 1921 roku poznajemy Korfantego, gdy podróżuje samochodem w towarzystwie francuskiego generała Le Ronda, przewodniczącego Międzysojusznictwa Komisji Rządzącej i Plebiscytowej. Potem samochód psuje się w pewnej górniczej osadzie, dzięki czemu możemy podsłuchać ich rozmowę. Widać, że panowie są w świetnej komitywie, co potwierdzają przekazy źródłowe. Rozmawiają o premierze brytyjskim Lloydzie George’u i nawiązują do jego słynnego zdania, że przyznać Polsce Górną Śląsk, to jak małpie dać zegarek. Jednak Kreczmar gra dyplomatę o nienagannych manierach i w dobrze skrojonym garniturze. Dyplomata przemawia stanowczo, lecz nienaturalnie, pełnymi, poprawnymi zdaniem, jakby w podręczniku. Jeśli kreacja Kreczmar nie odbiega zewnętrznie od znanych fotografii Korfantego z okresu plebiscytowego, to zabrakło jego porywczej natury. W efekcie Korfanty w tej interpretacji wydaje się przesadnie salonowy. Zresztą nieudana „Rodzina Milcarków” należy dzisiaj do filmów zapomnianych.

Dopiero po wielu latach Korfanty pojawił się ponownie na ekranie, tym razem w kalendarach Sejmu Rzeczypospolitej w „Śmierci prezydenta” Jerzego Kawalerowicza z 1977 roku. Zagrał go **Henryk Dudziński** (1923–1995), aktor przede wszystkim teatralny, związany ze scenami w Łodzi. W rekonstrukcji wyboru i zabójstwa pierwszego prezydenta odrodzonej Polski Gabriela Narutowicza w 1922 roku, Korfanty pojawia się w roli jednego z liderów parlamentarnej prawicy. Nawet zewnętrznie przypomina jego sylwetkę, lecz przebywa na ekranie tak krótko, że trudno o dogłębniejsze spostrzeżenie. Tyle tylko, że film prezentuje Korfantego w roli parlamentarnego gracza.

Dwukrotnie zagrał Korfantego czołowy aktor polskiej szkoły filmowej **Tadeusz Janczar** (1926–1997), zapamiętany

szczególnie z „Pokolenia” i „Kanału” Andrzeja Wajdy. Jednak wcielił się w Korfante go w słabych filmach, które pozostają słusznie zapomniane.

Najpierw w „Zamachu stanu” Ryszarda Filipińskiego z 1981 roku o przewrocie majowym marszałka Piłsudskiego, Janczar pojawia się na chwilę, by wygłosić przemówienie, z jakim Korfanty wystąpił w roli świadka podczas procesu brzeskiego przywódców opozycji antysanacyjnej. Słowa są jak najbardziej prawdziwe, wzięte z protokołów procesu w 1931 roku. Jednak Janczar szarżuje przesadnie ekspresyjnie, zamieniając tragedię górnos Śląskiego lidera opozycji niemal w reakcję furiata.

Z kolei w filmie „Polonia Restituta” Bohdana Poręby o narodzinach II Rzeczypospolitej (także z 1981 roku), Janczar odzwierciedla Korfante go o dekadę młodszego, tym razem unikając nadmiernej ekspresji. Jest to Korfanty w Poznaniu w okresie 1918–1919. Pojawia się bodaj dwukrotnie, może trzy razy. W drugim epizodzie uczestniczy w odprawie przybyłych do Poznania oficerów POW Górnego Śląska i rozmawia nieco filuternie z przyszłym komendantem pierwszego powstania, Józefem Grzegorzkiem, radząc mu, by się nikogo nie pytał, a robił swoje. Jakoś nie czuje się jego przywódczej charyzmy, którą współcześni mu odczuwali.

Nic dobrego nie da się powiedzieć o rozbudowanej roli Korfante go w telewizyjnym filmie fabularyzowanym „Gdy nad Anną gorzało niebo” Włodzimierza Dobrzyńskiego z 1981 roku. Zagrał go w tej próbie rekonstrukcji trzeciego powstania **Zdzisław Kuźniar** (ur. 1931), wybitny aktor charakterystyczny. Wydaje się podobny do Korfante go, lecz niewiele z tego wynika, skoro na ekranie oglądamy manekina, bez temperamentu i energii. Zdaje się, że było to największą winą scenarzysty.

Do tego dochodzi Korfanty z serialu telewizyjnego o walce Poznaniaków z państwem pruskim „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” w reżyserii Jerzego Sztwiertni (1981), gdzie wcielił się w niego **Wojciech Alaborski** (1941–2009). Jego Korfanty pojawia się w ostatnim odcinku, zatytułowanym „Zwycięstwo bez wódzów”, podczas posiedzenia poznańskiej Naczelnej Rady Ludowej w koń-

cu 1918 roku. Pojawia się epizodycznie, wygłasza kwestię i znika zaraz z ekranu.

No i wreszcie Korfanty w serialu górnos Śląskim „Blisko, coraz bliżej” z 1982 roku, zrealizowanym przez Zbigniewa Chmielewskiego według scenariusza Śląskiego pisarza Albina Siekierskiego. Pojawia się w nim w trzech odcinkach powstańczych z okresu 1919–1921.

Zagrał go sam **Jerzy Trela** (ur. 1942), aktor wybitny, o predyspozycjach do kreacji bohaterów surowych i tragicznych. Niestety, jest to kreacja powierzchowna. Korfanty wypadł bezbarwnie, a miejscami karykaturalnie, co jest winą scenarzysty. Bo Korfanty oponujący nieustannie przeciwko ruchowi zbrojnemu wydaje się kunktatorem, który wszystkiego się boi, co nie było raczej świadomym zamierzeniem scenarzysty. Zdaje się, że Siekierski zasugerował się przesadnie wspomnieniami jego wroga Michała Grażyńskiego, skąd pochodzą serialowe dialogi Korfante go z Grażyńskim przed wybuchem trzeciego powstania. Niemniej Trela jako Korfanty to najbardziej zapamiętana kreacja.

Wspomnienie Korfante go znajdujemy ponadto w ostatnim odcinku „Blisko, coraz bliżej” rozgrywającym się w roku 1939, lecz w formie zupełnie już fantazyjnej. Bohaterowie szykują się do pogrzebu Korfante go w sierpniu 1939 roku, a nazistowskie bojówki zamierzają dokonać na nich zamachu. Zdecydowanie fantazja poniosła tutaj Siekierskiego, bo żadnej próby zamachu terrorystycznego na pogrzeb Korfante go oczywiście nie było.

Dwukrotnie zagrał Wojciecha Korfante go na ekranie popularny aktor filmowy i teatralny **Zdzisław Wardejn** (ur. 1940), znany najwięcej z kreacji komediowych. Najpierw w telewizyjnym filmie fabularnym „Powrót do Polski” Pawła Pitery w 1988 roku, opowiadającym o wybuchu powstania wielkopolskiego w 1918 roku, a po dziesięciu latach raz jeszcze w inscenizowanym dokumencie „Zapomniane powstanie” w reżyserii Krzysztofa Magowskiego.

W pierwszym filmie akcja skupia się na postaci Ignacego Paderewskiego i jego podróży z Gdańska do Poznania w grudniu 1918 roku, będącej iskrą zapalną powstania. W podróży towarzyszy mu właśnie Korfanty, który z tej racji odgrywa w filmie

znaczniejszą, pierwszoplanową rolę. Natomiast w „Zapomnianym powstaniu” Korfanty w interpretacji Wardejny pojawia się jako jedna z postaci drugiego planu.

Próby katowickie

Na gruncie górnos Śląskim bodaj po raz pierwszy pokazano Wojciecha Korfante go w latach dziewięćdziesiątych w inscenizowanym filmie dokumentalnym Piotra Starzaka, wyprodukowanym przez Kamerę 2000. Zagrał go znany aktor teatralny **Bernard Krawczyk** (ur. 1931) związany przede wszystkim z Teatrem Śląskim w Katowicach.

Próbę filmowej prezentacji dyktatora trzeciego powstania podjęli także realizatorzy Telewizji Katowice Aleksandra Fudala i Wojciech Muzyczuk w inscenizowanym dokumencie zatytułowanym nieco patetycznie „W pogardzie i chwale. Wojciech Korfanty” (w 2009 roku), co było związane z ogłoszonym Rokiem Wojciecha Korfante go. W rolę Korfante go wcielił się reżyser teatralny **Bogdan Tosza** (ur. 1952), związany przez lata z Teatrem Śląskim.

Zamierzeniem realizatorów było pokazanie Korfante go w konwencji łączącej archiwalia (to jednak oczywiście niemal wyłącznie fotografie) ze scenkami inscenizowanymi i wypowiedziami historyków. Natomiast w warstwie dźwiękowej autorzy filmu posługują się licznymi cytatami z „Odezwy do ludu Śląskiego” Korfante go z 1927 roku.

Jednak próba opowiedzenia losu Korfante go wydała mi się nazbyt ilustracyjna i powierzchowna, szczególnie z powodu narzucającej się przewagi „gadających głów”. Nie odczuwa się tragiczności Korfante go. Realizatorzy pomijają przeważnie jego losy po przewrocie majowym 1926 roku, właśnie dlatego, że najchętniej posługują się jako źródłem wspomnianą odezwą Korfante go z 1927 roku. Pozostaje wrażenie niedosytu. Dobrym pomysłem było natomiast zaangażowanie Bogdana Toszy, który wydaje się do Korfante go w sile wieku niesłychanie podobny.

W rocznicowym 2009 roku pojawiła się jeszcze jedna ekranowa wizja losu Korfante go, w filmie Piotra Szmitego „Zbrodnia Ikara”, skupiona na motywie męczeństwa bohatera. Samego Korfante go zagrali naturalistycznie **Maciej Buryan** (w dzieciństwie), **Michał Buryan** (w młodości) i **Andrzej Buryan** (w wieku dojrzałym). Niespełna półgodzinne dzieło wizjonera Szmitego zaprezentowano publiczności podczas plenerowego seansu na placu Sejmu Śląskiego w Katowicach w sierpniu 2009 roku.

Można powiedzieć, że znajdujemy aż kilkanaście wcieleń Korfante go na ekranie, lecz między nimi nie ma kreacji naprawdę znaczącej. Zaskakujące, bo Korfanty to postać tak przecież barwna i niebywale dramatyczna, a do tego tragiczna. Przez jego tragedię przejawia się może najlepiej tragedia Górnego Śląska w minionym stuleciu. Zatem Korfanty nadal czeka na wielką i dramatyczną kreację filmową.



Kadr z taśmy filmowej przekazanej Muzeum Historii Katowic przez Marię Ullman – Wojciech Korfanty wychodzi ze swego domu.

Krzyk młodych twórców

25 kwietnia w Bibliotece Śląskiej w Katowicach już po raz trzeci Fundacja „Młodzi Twórcy” im. prof. Piotra Dobrowolskiego nagrodziła autorów najlepszych utworów, które uczestniczyły w III edycji konkursu literackiego „Śląski Shakespeare”. Prace konkurowały w dwóch kategoriach: *scenariusz i poezja*. Jury w składzie: Feliks Netz – przewodniczący jury, Katarzyna Młynarczyk, Magdalena Piekorz, Maciej Szczawiński i Michał Rolnicki przyznało następujące nagrody:

w kategorii scenariusz:

- I nagroda – *Magdalena Durda* (Warszawa) za scenariusz pt. „*Gdy królowna smoka chciała*”
- II nagroda – *Dariusz Sobieski* (Gdańsk) za scenariusz pt. „*Wszystko będzie dobrze*”

- III nagroda – *Mateusz Noglik* (Gliwice) za scenariusz pt. „*Para bellum*”

wyróżnienia:

- *Piotr Tomczyk* (Orzesze) za scenariusz pt. „*Sprzedawcy*” *Zuzanna Nowak* (Warszawa) za scenariusz pt. „*Kobieta z lotniska*”
- *Dorota Kamińska* (Łęczna) za scenariusz pt. „*Słoneczna 11*”

w kategorii poezja:

- I nagroda – *Piotr Przybyła* (Karpacz) za wiersze pt. „*Ojcowizna. 10 wierszy o stracie*”
- II nagroda – *Anna Hałas* (Gdynia) za wiersz pt. „*Rozmowa z Pomarańczarką*”
- III nagroda – *Marta Kubiczek* (Warszawa) za wiersz pt. „*O kantownikach*”

wyróżnienia:

- *Karolina Stypula* (Kraków) za wiersz pt. „*Jesteśmy*”
- *Jan Henzel* (Gdańsk) za wiersz pt. „*Lofty*”
- *Tomasz Witkowski* (Sulejówek) za wiersz pt. „*Z buta...*”

Były nagrody, wielkie brawa i mistrzowskie recytacje wybranych utworów w wykonaniu Anny Wesołowskiej, studenci Studium Aktorskiego przy Teatrze Śląskim prezentowali fragmenty zwycięskiego scenariusza. Była też wspaniała muzyka, Kwartet Śląski: Arkadiusz Kubica, Szymon Krzeszowiec, Łukasz Syrnicki i Piotr Janosik wykonali VIII Kwartet Smyczkowy op. 110 Dymitra Szostakowicza oraz II Kwartet Smyczkowy op. 56 Karola Szymanowskiego.

Wiersze nagrodzone i wyróżnione

PIOTR PRZYBYŁA

Ojcowizna

brud pod paznokciami ojca. ziemia obiecana dla jego czystych dzieci. płam opadowych na biografii miasta, gdzie niezręczna cisza zamiast minuty. zgorzel.

połóg trwa krótko. jak skowyt, gdy nieme dziewczynki zostawiają po sobie pierwsze ślady na ikonach. wpadają w ramy piaskownicy. w imię ojca i syna.

na przekór gryce jak śnieg białej wydrapując czerń.

Minuta ciszy

a może tren. komu, komu, bo idę do domu. i na nic pobite gary ani inne czary mary. w stylu: jesteś u pani, a jesteśmy w markecie gdy żona przed czeremchą wyznaje, że następnym razem chce nekrolog w gazecie. to fakt. w tym rymie zabrakło rymu, choć z kranu w łazience cieknie nam nieustannie mainstreamowy atrament. nie kukaj. w jego blasku nie znajdziesz słońca, ani proroków popkultury. czytaj: nici z fotosyntezy. ale weź jej to narysuj na widokówce Szczecina, gdy dookoła głośno o kłęsce urodzaju papryki, a nas otacza nieznośna cisza. puk. puk. więcej grzechów nie pamiętam. tylko to, że połkałem klepsydrę swej córki, a ona wróciła mi się jak kawałek chleba z konfiturą, który jednak nie należał już do mnie. poznałem po porzeczkach. taka pociecha. bierzcie i jedzcie z tego wszyscy.

ANNA HAŁASZ

Rozmowa z Pomarańczarką

gdzieżby tam
mnie starą
kosze takie zwyczajne
ściemniała wiklina i kurz

kiedy trzeba tak stać i stać

zawiązując na supełki poranki i wieczory
jeszcze i jeszcze
dzierganiem pomnażam czas
życie przecież nie może przeciekać przez palce

cierpliwie czekanie
aż oczy ciekawskich napatrzą się do syta
czegoś by szukać jeszcze
między Nalewkami a Bródnem
takie tam
cmentarzysko codzienności

w opuszczonych ramionach
ukryta pod wełnianą chustą
czasem trudna do udźwignięcia
rzeczywistość
sącząca pokorę i smutek
niczym oleistą senność
zmierzchającego dnia

od Świętego Krzyża słycać dzwony
i mgła idzie przez Wisłę
gdzieżby tam
mnie starą
to już lepiej pomarańcze
wypełnione po brzegi słodyczą
kuszące
świeże
gdzieżby tam
lepiej już kupić pomarańcze

z cyklu *Zapatrzenia*

– do obrazu Aleksandra Gierymskiego *Pomarańczarka*

MARTA KUBICZEK

O kantownikach

Mężczyźni ziemscy piaskowi
lamentują nad losem swych
wcale-nie-pocztowych gołębi

co miały przynieść tyle a ledwie
wylecą nad cegielnię nad szosę
z garażowego dachu złego sąsiada
już je przykrywa ciężka pościel
granitowego powietrza

Mężczyźni ziemscy piaskowi
płaczą nad żonami co im się nie chce
i piwem co zawsze jest ciepłe

i wysokimi opłatami za wywóz

Gdy odjeżdżam dzielę się na pół
a patrząc za siebie obserwuję:

Ukryci w klatkach na króliki
moszczą przestraszone łebki
wykręcają szyje do poideł
i to wcale nie byle do wiosny

lecz długoterminowo
zapominają o wymyciu samochodów
w niedzielę przed kościołem

JAN HENZEL

Lofty

jestem tutaj
w wielkim ceglanym lofcie
czuję się samotnie
z okna widzę dymy fabrycznej katedry
maszyny stanęły nie będzie następnych
powietrze jest czyste
jedzenie jest zdrowe
ludzie nie chorują
bo w brzuchach kamienic
wybili okna do ślepych łazienek
dla swoich siostrzenic
dla swoich tajemnic --

tutaj jestem, Boże
bez ciebie zasypiam w wielkim pustym lofcie
czuję się dorosłej

KAROLINA STYPUŁA

„Jesteśmy”

My pokolenie 80
Jesteśmy
Jak marzenie o karierze
I praca za nędzne grosze
Jak różowe okulary
I dredy na głowie
Jak rave'y, zapomnienie siebie
Love Parade w Berlinie
I pokuta, skupienie, ból rozstania
Z Ojcem Świętym
Jesteśmy
Jak krzyk pierwszego człowieka na księżycu
I wzrok szarej staruszki w płatnej toalecie
Jak cudowne tchnienie poranka
Kaliber 44
Nie mamy bomb
Eksplodujemy miłością
I chytrą sztuką przetrwania
Wśród blokowisk jak Stonehenge
Jesteśmy
Jak papierek po gumie balonowej
Jak perwersyjne ruchy piosenkarki pop
Jak marzenie o poranku
Jak nadzieja która płynie w naszych żyłach
Jak pomarańczowa okładka płyty SISTARS
Jak bożonarodzeniowa choinka na placu
Jak ta chwila
Jesteśmy
Nasza egzystencja – kwintesencją sztuki.

TOMASZ WITKOWSKI

Z buta...

Spacerują buty szerokie lub wąskie,
często przechodzone, bywają też modne.
Mijają cię glany, szpileczki, sandały,
tenisówki, klapki – czasem nie do pary.

Siedzisz nad swą czarką,
która brzęczy z rzadka
i patrzy z wyrzutem,
że przykrótka miarka.

Kawałek tektury wabi, jak siedzisko
szkoda, że ponuro, trochę wietrznie, ślisko.
Ludzie chodzą wkoło dźwigając swe trudy,
rzucą jakiś grosik – ot tak, trochę z nudy.

Czasem deszcz pokropi,
peł niekiedy spadnie
rzadziej wcisną bułkę,
ktoś godność ukradnie.

Przerzucasz obłoki, czasem słońce gonisz,
ty jesteś tu burkiem, co terenu broni.

Każdy ma swe miejsce na rogu rejonu,
choć to tylko całun i atrapa domu.

Siedzisz tu codziennie,
jak na stałym czacie,
rozmiar łez sortujesz
w codziennym kieracie.

Los przegania szczęście, uroki i czary
jedni do kościoła – tamci – kwiat zuchwały
– co wacha i wciąga, czasami zapali
– łby nie od parady, choć mózgi zdreptały.

Dziwisz się im wszystkim,
że tak rano wstają,
ponoć za grosz robią
i ... wciąż narzekają.

Zakładają maski przychodząc pod mury,
krygują się, mamrocą wrzucając coś z kiści,
jak zjawą obszyci, patrzą na cię z góry,
zaklinając jutro, żebyś się nie przyśnił.

Z długoletnią dyrektorką Muzeum Miejskiego w Tychach
MARIĄ LIPOK-BIERWIACZONEK
rozmawia BOGDAN WIDERA

Fot. Archiwum Muzeum Miejskiego w Tychach



O tyskim niebie, pierwszomajowym krzyżu i książeczce dla wnuczki

– W lipcowym numerze „Śląska” w mojej rubryce „Krótko o książkach” miałem przyjemność odnotować album „Moje tyskie niebo” z pani zdjęciami. Odautorski tekst zakończyła pani zdaniem: *Wystawa fotografii została przygotowana jako symboliczne zamknięcie dziesięciu lat mojej pracy*

w Muzeum Miejskim w Tychach. W związku z tym zakończyłem swój tekst słowami: Pani Dyrektor, nie wierzę. Bo trudno uwierzyć, żeby pani całkiem porzuciła Muzeum.

– Czy całkiem, to się okaże. Wiele osób uznaje, że dziesięć lat to dużo, ale jednak za mało, żeby iść na emeryturę. Chcę tu

przypomnieć, że ja jeszcze przed przyjazdem do Tychów, do Muzeum, trzydzieści lat wcześniej też pracowałam, więc ubierało mi się jednak trochę tych lat pracy. Dlatego podjęłam decyzję o przejściu na emeryturę, a chciałam się pożegnać jakoś tak ciepło z moimi współpracownikami, z tyszanami, którzy odwiedzają nas w Muzeum, stąd pomysł na tę bardzo osobistą wystawę. Ja dużo robię zdjęć i znając mnie z fotografii etnograficznej, a tu proszę – niebo! A to niebo fotografowałam dla siebie i nigdy nie myślałam, że coś z tego może się urodzić.

– **A urodził się piękny album nieba oglądanego z jedenastego piętra. I jak to jest? Rano się pani budzi, wstaje, wychodzi na balkon i fotografuje?**

– Nie zawsze to niebo jest na tyle ciekawe, nie jest to dokumentacja dzień w dzień.

– **Ale zawsze rano?**

– Tak, ale ja jestem ranny ptaszek, dla mnie więc to żaden problem – nawet o czwartej latem, a tym bardziej zimą o szóstej. Fotografuję rano, bo ja mam wszystkie okna na wschód, w związku z tym te wszystkie zorze poranne... Dobrze jest zaczynać dzień, jak niebo jest piękne.

– **Jest pani tyszanką z wyboru.**

– Z wyboru rodziców, bo osiedliliśmy się w Tychach jak miałam osiem lat. Urodziłam się w Mikołowie, tam spędziłam osiem lat, to była taka granica między miastem a wsią. Wokół miałam świat bardzo przyjazny dla dziecka – pola, ogrody, kobiety chodzące w kieckach... No ale rodzice starali się o mieszkanie w Tychach, trwało to aż trzy lata (wtedy wydawało się, że „aż”, a przecież moje pokolenie na swoje czekało osiem, dziesięć). W 1958 roku, w sierpniu, w wakacje przeprowadziliśmy się do Tychów.

– **Na osiedle?**

– „C” – właśnie wtedy budowane. Ale wtedy budowano te osiedla w błyskawicznym tempie. A w ogóle to wprowadziliśmy się do budynku, który miał tylko dwie klatki zasiedlone, w reszcie jeszcze trwały roboty, na podwórku wykopy... Taka pionierska atmosfera.

– **No i zakochała się pani w mieście, wiem, bo przyjeżdżaliśmy tu nie raz z Beatą Tomanek nagrywać audycje.**

– Jak już ponad pół wieku tu mieszkam, trudno nie być zakochanym.

– **Rozumiem to uczucie, zwłaszcza że rozmawiamy w pięknej nowej siedzibie Muzeum. Nie żał pani stąd odchodzić?**

– W nowej siedzibie, w pięknym gabinecie, w którym siedzimy, pracuję dwa lata. Wcześniej nasze Muzeum Miejskie miało tylko jedną salę wystawową, przepiękną, przy Browarze, ale tam było małe zaplecze, małe pokoiki, tak że ja byłam ogromnie zadowolona, że władze miasta podjęły decyzję o przekazaniu Muzeum obiektu, w którym właśnie jesteśmy. To zresztą budynek historyczny, bo kiedyś mieścił się tutaj pierwszy tyski magistrat. Wybudowano ten obiekt w 1906 roku z przeznaczeniem na siedzibę dla władz gminy wtedy jeszcze wiejskiej Tychy, jeszcze w państwie pruskim.

Po wojnie mieściła się tu prokuratura, a teraz my, Muzeum. Na pewno troszkę mi żal odchodzić, natomiast mam przede wszystkim satysfakcję, że zostawiam to Muzeum w miarę dobrej kondycji, z dobrym zapleczem, że jest ten budynek... Uważam, że jest to ważne dokonanie...

– **Na miarę – uwzględniając wszelkie proporcje – Kazimierza Wielkiego.**

– No, gdybyśmy mieli takie jak Muzeum Gugenheima, to by można tak mówić, że na miarę królewską.

– **W czasie naszych radiowych wizyt z redaktorem Beatą Tomanek jeszcze w sali przy Browarze uderzyło nas, że udało się pani przekonać do swojej placówki tyszan, którzy nie tylko odwiedzają Muzeum, ale przynoszą także eksponaty do waszych zbiorów, w tym cenne pamiątki rodzinne.**

– To prawda. Jak podaję, że po dziesięciu latach pracy mamy w zbiorach około jedenastu tysięcy eksponatów i że połowa z nich to są dary tyszan, budzi to zdumienie, że to aż taka proporcja. Wielu tyszan długo czekało na to Muzeum. Czekali, czekali, i kiedy placówka powstała, była wielką radością, która spowodowała, że potrafili okazać niebywałą hojność. Ale myślę, że przede wszystkim tyszanie widzą, że my z tych ich pamiątek, które do nas przynoszą, które nam zostawiają, robimy znakomity użytek. Te rzeczy pojawiają się na naszych wystawach, ich zdjęcia publikowane są w naszych katalogach, mają więc świadomość, że ich dary zaczynają żyć życiem społecznym, że tworzą historię miasta. I to sprzyja naszym dobrym relacjom, pojawiają się kolejne dary. Ale chcę podkreślić, że to nie tylko moja zasługa, ja mam, to znaczy: miałam znakomity zespół pracowników, którzy mają wiele przyjaznych kontaktów ponawiających z tyszanami. Oni wszyscy się starają. A tyszanie znają całą ekipę i lubią.

– **Ja jednak myślę, że to właśnie pani przeskoliła swój zespół jeżeli chodzi o dar perswazji, no i dar zaufania. Bo tyszanie zostawiają w Muzeum nie tylko przedmioty, ale i opowieści.**

– Tak. Dwukrotnie ogłosiliśmy konkurs na wspomnienia. Raz były to „Tychy w czasach mojej młodości”, tu liczyliśmy, że trafią do nas także opowieści dotyczące tego już dość odległego okresu, czyli jeszcze czasów przedwojennych. Drugi konkurs dotyczył czasów wielkiej budowy miasta. Z najlepszych materiałów z obu konkursów złożyliśmy książkę *Dzieciństwo, młodość i wielka budowa*. Dzięki temu udało nam się pokazać losy tyszan, którzy tu się urodzili, żyli tutaj „od zawsze” i tych, którzy do miasta przyjechali. Tak powstała publikacja opowiadająca historię Tychów poprzez historie ludzi, to – moim zdaniem – bardzo ciekawy materiał.

– **Potwierdzam, czytałem. Wzruszyło mnie nawet wspomnienie jakiejś pani, która opowiadając o ważnych wydarzeniach w jej osobistej biografii przypomina przyjazd do Tychów czołgu i... czterech pancernych.**

– A działo się to na placu Bieruta, którego już dziś nie ma, nie dlatego, że go zabudowano. Po prostu zmienił nazwę i dziś jest placem Baczyńskiego. No tak, późne lata sześćdziesiąte, fascynacja nowym serialem, więc wizyty czterech pancernych i czołgu – to się zapisuje w pamięci.

– **Muzeum – to nie tylko wystawy i publikacje, ale na przykład także wycieczki.**

– Prowadzimy działalność oświatową, edukacyjną dla dorosłych. Choć jak ogłaszamy, że organizujemy wycieczkę, zgłaszają się starsi i młodzi, często dziadkowie z wnukami, rodzice z dziećmi, robią się więc z tego takie wyprawy rodzinne.

– **Dziwią się, że mają tyle atrakcji w Tychach?**

– W Tychach, ale i w okolicy. Bo oprowadzamy wycieczki po mieście, mamy na przykład taki szlak od socrealizmu do postmodernizmu, ale organizujemy też takie wyprawy punktowe do poszczególnych kościołów i tam proboszczowie, czasem architekt, który świątynię projektował pomagają w objaśnianiu architektury, mówią o historii budowy, o sztuce. Wyprawiamy się też poza Tychy, to się odbywa w pewnych cyklach, Cztery lata temu mieliśmy taką wystawę *Pokażę ci Górny Śląsk*, to był mój autorski projekt, później jeździliśmy po różnych „zakamarkach” Śląska, żeby pokazać to, co znalazło się na ekspozycji, ale „na żywo”, w terenie. Zwiedzaliśmy przeróżne miejsca od Nikiszowca począwszy aż po pałac w Mosznej, Górę św. Anny, kościoły Ziemi Pszczyńskiej... Właśnie potrzeba poznania bliższej okolicy spowodowała, że tych wycieczek po najbliższym sąsiedztwie zorganizowaliśmy wiele. Celem były na przykład drewniane kościołki, potem Mikołów, Mokre... Różne miejsca. Orzesze, Górka św. Wawrzyńca... To było oczywiście prawdziwe odkrywanie najbliższych miejsc, ale także urody otaczającego nas świata. Było tak, że jedna z tyszanek powiedziała, że wiele razy przejeżdżała obwodnicą wokół Mikołowa w drodze do tamtejszego hipermarketu, ale nigdy nie była w samym mieście. Dopiero jadąc z nami na wycieczkę odkryła dla siebie mikołowski rynek, którym była zachwycona.

– **Zabytkowe miasto...**

– Miasto mojego urodzenia w dodatku. Pojechałam tam z przyjemnością, bo akurat ja oprowadzałam tę wycieczkę, ale pomagali nam też księża z parafii św. Wojciecha i Matki Boskiej Śnieżnej, obejrzelismy również kościół ewangelicki. Co godne w ogóle podkreślenia – zawsze bardzo życzliwie przyjmują nas proboszczowie...

– **Mają powód – mogą się swoją parafią pochwalić.**

– Z reguły mają czym, bo te kościoły są pięknie odnowione, sporo się też na przykład dzieje przy renowacji cmentarzy, widać jak oni świetnie gospodarują. Mają ogromne zasługi w dziedzinie ochrony dziedzictwa kulturowego, któ-

re przecież w dużej mierze wiąże się ze świątyniami.

– **Śląskie duchowieństwo jest gospodarne.**

– Też tak myślę.

– **Przy okazji prac remontowych odkrywają prawdziwe skarby. Jakies zamalowane niegdyś polichromie...**

– W Tychach na przykład ksiądz proboszcz Grzesica znalazł na strychu stare stacje drogi krzyżowej. Dziewiętnastowieczne, bardzo piękne... I po konserwacji te historyczne wróciły do kościoła. Zastąpiły późniejsze, dwudziestowieczne.

– **Z takim ożywieniem sobie tu o Muzeum, zabytkach, historii rozmawiamy, a pani chce to wszystko rzucić. Dlatego powtórzę: nie wierzę.**

– Z przyjemnością bym pracowała nadal, ale już nie w pełnym wymiarze. Administracja, zarządzanie – to jest strasznie dużo roboty. A mnie pociągała zawsze praca twórcza, wystawy, publikacje... Zrezygnowałam więc z administrowania, ale mam nadzieję, że w jakimś skromnym wymiarze jeszcze będę mogła jakieś swoje pomysły realizować. A mam ich wiele. Na całe lata pracy, ale już takiej „na pół gwizdka”.

– **Miałem więc rację nie wierząc, że pani to wszystko definitywnie zostawi. Z muzeów dostają publikacje zazwyczaj towarzyszące wystawom. I z przyjemnością odnotowuję, że coraz częściej są czymś więcej niż katalogami. Państwo wydaliście sporo takich rozbudowanych książek, w których fotografiom czy reprodukcjom towarzyszy interesujący tekst. W dodatku te publikacje są na wysokim poziomie poligraficznym, po prostu chce się je brać do ręki.**

– Nasza biblioteczka rzeczywiście jest spora, to jest kilkadziesiąt tytułów, poza katalogami mamy także cykl *Zeszytów Historycznych*, było ich już dziesięć numerów. W części są pokłosiem sympozjów historycznych, które organizujemy co roku w Muzeum. Niektóre z nich mają charakter monograficzny, czyli dotyczą tematu, który się przy okazji tych naszych konferencji pojawił. *Zeszytom* patronował też profesor Ryszard Kaczmarek – autorytet jeżeli chodzi o historię Śląska, zwłaszcza XX wieku. We współpracy z jego doktorantami udało się opublikować kilka takich monograficznych wydawnictw. Ciekawe, że po te *Zeszyty* zgłaszają się ludzie z różnych stron Polski. Dostajemy na nie zamówienia Internetem, wiemy więc, że chce je ktoś nabyć poza Tychami. Ale również wydawnictwa typowo tyskie, jak na przykład katalog wystawy fotograficznej Andrzeja Czyżewskiego pokazujący budowę miasta z końca lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych cieszył się ogromnym zainteresowaniem. Wielu tyszan się rozproszyło. Po Polsce, po świecie, oni do nas pisali i prosili o możliwość zakupu tej publikacji oraz jej przesłanie. Wydana w nakładzie tysiąca egzemplarzy już się rozeszła, już jej nie mamy.

– **Z tego nauka, że zawsze warto zostawić sobie przynajmniej kilka sztuk**



Fot. Maria Lipok-Bierwiazonek

Nowa siedziba Muzeum Miejskiego w Tychach

„na czarną godzinę”. A wracając do *Zeszytów* – zawsze je czytam, ale wynika to z faktu, że jestem trochę nienormalny, dlatego...

– ... że pan czyta.

– Mnie interesują tematy trochę przyczynkarskie.

– Bo to są takie informacje, które działają na wyobraźnię. Czasem można z nich wysnuć całą historię, ponieważ pokazują nam jakiś szczegół życia, odkrywają jakiś wątek, nieznany fakt, opowiadają o konkretnych ludziach, czy grupach ludzi...

– ... **rzeczach, na które nikt wcześniej nie zwrócił uwagi, a są niesłychanie interesujące.**

– Kiedyś Ludwik Stomma, któremu też wysyłałem nasze wydawnictwa, zwrócił uwagę na publikację wspomnieniową *Dzieciństwo, młodość i wielka budowa*. Jednym z autorów tych opowieści był Paweł Grychtolik (niestety już nie żyje, ale doczekał wydania tej książeczki). Jego wspomnienie dotyczyło końca lat czterdziestych. I Stomma zwrócił uwagę na to, jak Grychtolik z jednej strony opisuje jak to w szkole miał rano do wykonania jakieś tam zadania o politycznym charakterze (były to czasy, kiedy komuna zaczęła się jakoś zakorzeniać, wprowadzano w życie nowe zasady), a zaraz potem jada na rekolekcje z księżmi, z którymi od dawna się znał, bo był ministrantem. Obie te sfery życia jeszcze wtedy jakby obok siebie istniały i dopiero potem pojawił się nacisk, żeby je rozdzielić.

– **Akurat pod tym względem Tychy mają szczególne doświadczenia.**

– Na przykład problem budowy kościołów. Nie wolno było ich budować.

– **Słynna historia krzyża...**

– ... którego lokalizacja przeszkadzała panom, którzy na trybunie honorowej stali w czasie pochodów pierwszomajowych dokładnie naprzeciwko. Ten dziewiętnastowieczny krzyż stojący wśród czterech kasztanowców w którymś momencie bardzo towarzyszy zenerował i nakazano jego rozbiórkę, i zrobiła się taka wielka awantura, że w nocy pospiesznie ten krzyż stawiano z powrotem, a potem przez kilka dni odbywały się w tym miejscu manifestacje. Działo się to ostatniego kwietnia 1979 roku. To jest istotna data, jeszcze przed wydarzeniami w stoczni, ale już wtedy mieliśmy polskiego papieża, co być może ludziom dodało odwagi. W obronie tego krzyża stanęli starzy tyszanie, których przodkowie go postawili, ale też repatrianci i ludzie tu z różnych stron przybyli. Myślę, że wtedy poczuli się jednością.

– **Spółczesność tyskie jest specyficzne, zróżnicowane, i myślę, że choćby ta część współpracowania z Muzeum bierze się z potrzeby wypracowania własnej tożsamości, stworzenia połączonej miejscem życia wspólnoty.**

– W Muzeum staraliśmy się w tym samym stopniu uwzględniać historie rdzennych mieszkańców „starych” Tychów, jak i tych, którzy tutaj przyjechali i się osiedlili. Bo nie można chować głowy w piasek i udawać, że nie było budowy socjalistycznego z założenia miasta. Ci, którzy tu przyjechali, znaleźli tutaj mieszkania, właśnie w tym miejscu dostali swoją szansę. Byli zadowoleni, mieszkania były z łazienkami, w starych domach robotniczych nie było tak dobrze.

– **Po jakimś czasie „zakorzenienia się” powstaje coś takiego jak potrzeba własnej historii.**

– To jest ciekawe, że tyszanie lubią swoje miasto. To znaczy, czasem na coś tam narzekają...

– ... **w Katowicach też narzekają.**

– Wszędzie tak jest, ale tyszanie doceniają, że tu się dobrze żyje, dużo przestrzeni... W dodatku ostatnio to miasto bardzo ładnie, prace remontowe, odnowione elewacje, place, to powoduje, że nawet ci, co narzekają, muszą przyznać, że coś się robi i to całkiem sporo.

– **No cóż, w takim razie pozostaje mi tylko życzyć pani realizacji tych wszystkich pomysłów twórczych. No i zapowiadam, że teraz, kiedy już pani przechodzi na emeryturę, ma więc więcej czasu, nie darujemy – będziemy często zapraszać do Radia Katowice i gnębić.**

– Na razie wyjeżdżam na wakacje, ale jak wrócę, będę do dyspozycji. Ale w ogóle to już mam taki pomysł, który mnie bardzo gnębi. Mam ośmioletnią wnuczkę, podpatruję trochę, co ją interesuje, a trzeba wiedzieć, że ona to bywalec muzealny, chodziła tu ze swoją klasą na wystawy, przychodziła na wernisaże... I przyszło mi do głowy, że stoi przede mną wyzwanie: napisanie książeczki dla dzieci o Tychach. Popularnonaukowej. Nie złożonej z legend, czy wymyślonych opowieści. Nie, to ma być taka nowoczesnie zrobiona, popularnonaukowa książeczka o Tychach. Z ładnymi ilustracjami, mam nadzieję, że nasza plastyczka mi pomoże. Może za rok uda mi się tę książkę napisać.

– **Zyczę powodzenia.**

Od 18 do 21 maja 2014 roku w Katowicach obchodzone były Dni Lwowa. W ramach tego wydarzenia Muzeum Historii Katowic postanowiło przybliżyć szerszej publiczności dzieje ponad stuletnich kontaktów między Kresami Wschodnimi a Katowicami

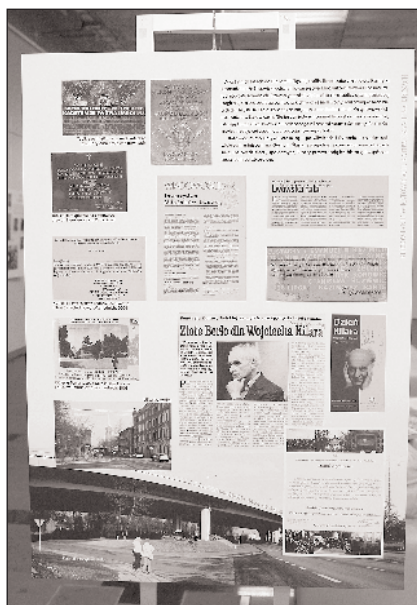
Obchody Dni Lwowa zorganizowane zostały z okazji jubileuszu 25-lecia oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Muzeum Historii Katowic przygotowało wystawę *Kresowianie w Katowicach, katowiczanie na Kresach*, która prezentowana była najpierw w siedzibie MHK (od 21 maja do 2 czerwca) a następnie (od 15 lipca do 26 września) w Centrum Informacji Naukowej i Bibliotece Akademickiej w Katowicach.

Wernisaż (21 maja), był okazją do przedstawienia działalności Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Katowicach. Przybliżył ją prezes zarządu Stanisław Grossmann. O wzajemnych związkach Górnego Śląska i Kresów Południowo-Wschodnich mówił Bogdan Kaspróvicz, a znakomici aktorzy Teatru Śląskiego, urodzeni we Lwowie Jerzy Głybin i jego żona Bogumiła Murzyńska, recytowali wiersze poświęcone temu miastu. Wystawę zaprezentował jej kurator Antoni Steuer.

Do rozwoju kontaktów między Kresami Wschodnimi a Katowicami przyczynił się na początku XX w. ruch sportowy. W 1911 r. do Katowic przyjechali piłkarze „Czarnych” Lwów, którzy rozegrali mecz z Klubem Sportowym „Diana” Katowice. Współpraca klubów sportowych („Czarnych” i „Pogoni” Lwów oraz „Diany” i „Pogoni” Katowice), a także gniazd sokolich trwała przez cały okres międzywojenny.

Kolejny etap w rozwoju kontaktów obu miast nastąpił w okresie walk o przyłączenie Górnego Śląska do Polski. W 1921 r., w walkach II powstania śląskiego brali udział kadeci lwowscy, w 1922 r. do Katowic na czele wojsk polskich wkroczyli lwowianie – gen. Stanisław Szeptycki i gen. Kazimierz Horoszkiewicz.

W latach II Rzeczypospolitej na Górnym Śląsku zaczęli napływać przedstawiciele kresowych elit, ludzie wykształceni, wychowankowie renomowanych uczelni: Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej, Liceum Krzemienieckiego. Zajmowali odpowiedzialne stanowiska we władzach województwa śląskiego, wnieśli ogromny wkład w rozwój nauki i kultury w Katowicach. Przykładem mogą być: Michał Antonow, który położył podwaliny pod rozwój katowickiego Archiwum Państwowego; Roman Lutman, założyciel Instytutu Śląskiego; Roman Hrabar, twórca polskiej advokatury na Śląsku; Paweł Rybicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej (w latach 1934–1939 i 1945–1957).



Kresowianie w Katowicach. Katowiczanie na Kresach

Szczególnie warto podkreślić materialny wymiar obecności lwowiaków w przestrzeni miejskiej Katowic, który był udziałem architektów i konstruktorów – Karola Schayera (autora projektu Muzeum Śląskiego oraz wielu katowickich kamienic), czy Stefana Bryły (autora projektu katowickiego „drapacza chmur” oraz nieistniejącej już Hali Targowej przy ul. P. Skargi).

Gdy wybuchła II wojna światowa, wielu mieszkańców Katowic musiało opuścić miasto. Niektórzy trafili do Lwowa, gdzie został utworzony Śląski Komitet Uchodźców, którego współzałożycielem był pierwszy marszałek Sejmu Śląskiego Konstanty Wołny. Wśród wrześniowych obrońców Lwowa było wielu katowiczian. Po 23 września 1939 r. Lwów znalazł się pod okupacją sowiecką. Nastąpiły liczne aresztowania, których nie uniknęli naukowcy wywodzący się z Górnego Śląska. Wielu z nich trafiło do Katynia, Miednoje czy Bologoje pod Charkowem, a po zajęciu Kresów Południowo-Wschodnich przez Niemców doszło do mordów polskich profesorów we Lwowie (3–4 lipca 1941 r.), wymordowania in-

teligencji polskiej w Stanisławowie (12 lipca 1941 r.) oraz rzezi wołyńskiej (lipiec 1942–luty 1943).

Po konferencji w Jalcie, według szacunków, z Kresów Wschodnich zaanektowanych przez Stalina wysiedlono 1,7–1,9 mln polskich obywateli. Duża część z nich trafiła do miast, które przed wojną znajdowały się w granicach III Rzeszy – Bytomia, Zabrzea i Gliwic. Według redaktora książki *Kresowianie na Górnym Śląsku* Bogusława Tracza, ok. 300 tys. uchodźców do końca 1947 r. osiedliło się w miastach woj. śląskiego.

Ważną rolę odegrała stacja kolejowa Katowice-Ligota, gdzie przybywali uchodźcy. Wśród nich był m.in. Aleksander Willner, prezydent Katowic w latach 1946–1950. Przybyło wielu naukowców, literatów i artystów, którzy później zasiliли kadry Uniwersytetu Śląskiego, Politechniki Śląskiej w Gliwicach, Teatru Śląskiego, Teatru Lalkowego „Ateneum”, Akademii Sztuk Pięknych, Opery Śląskiej w Bytomiu, Śląskiej Akademii Medycznej, Śląskiego Konserwatorium Muzycznego, Radia Katowice (gdzie do dziś nadawana jest audycja *Lwowska Fala*), a nawet kurii katowickiej.

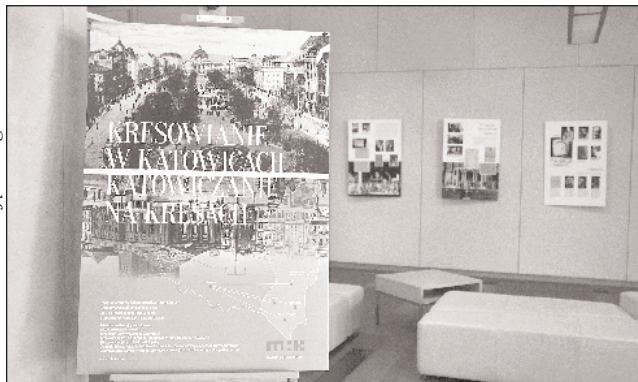
Mimo istnienia na Śląsku tak ogromnej społeczności uchodźców ze Wschodu i ich potomków, dopiero pod koniec lat 80. XX w. władze PRL zgodziły się na powstanie organizacji Kresowian. W Bytomiu, Gliwicach i innych górnośląskich miastach powstały oddziały wrocławskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa oraz mniejsze organizacje, zrzeszające wysiedlonych. Katowicki oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich powstał w 1989 r. z inicjaty-

w Romana Chrzastowskiego. Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Katowicach nie tylko gromadzi pamiątki, podejmuje także działania przywracające pamięci zbiorowej kresowe tradycje oraz historię wzajemnych kontaktów Kresowian i Górnoszlązaków, organizuje odczyty, wykłady, wystawy, wspiera działalność organizacji polskich na Ukrainie. Było także fundatorem tablicy upamiętniającej tragiczną śmierć profesorów lwowskich w okresie II wojny światowej, która została umieszczona w archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach.

Kresowiaczy przybyli do Katowic wrosli w tę ziemię i to miasto. Dziś mówiąc o górnośląskiej tożsamości często zapominają się, że jest ona wypadkową tożsamości rdzennych mieszkańców i mieszkańców ziem położonych setki kilometrów na Wschód.

Opracowała na podstawie materiałów MHK
AGNIESZKA SIKORA

Zdjęcia: Agnieszka Sikora



Zdjęcia z wystawy w Centrum Informacji Naukowej i Bibliotece Akademickiej w Katowicach

Z Genowefą Jakubowską-Fijałkowską wszyscy mają kłopot. Organizatorzy spotkań autorskich, bo przed odczytaniem wiersza potrafi rzucić słowem uznanym za ordynarną nazwę najstarszego zawodu świata. Zdarza się jej też powiedzieć prowadzącemu równie szczerze: „Co ty p...”. Ale to nie jest jedyny problem związany z tą poetką. W kropce bowiem są także literaturoznawcy, którym trudno powiązać jej twórczość z jakimkolwiek pokoleniem literackim. Wprawdzie urodzona w 1946 roku w Mikołowie i debiutująca w „Odrze” w 1972 roku, w okresie szczytowego rozkwitu poezji Nowej Fali, powinna przynależć właśnie do tej generacji, jednak biologiczne uwarunkowania nie idą w parze z tym, co poetka pisze. Tym bardziej że choć sporo utworów opublikowała w prasie literackiej lat 80. XX wieku, to jednak debiutanką książkę poetycką wydała dopiero w okresie transformacji ustrojowej i literackiej lat 90.

Takie debiuty, jak jej zbiorek wierszy *Dożywocie*, opublikowany w Krakowie w 1994 roku, zwykło się nazywać późnymi. Poetka rychło nadrobiła jednak edytorskie opóźnienia i w 1997 roku w Bydgoszczy ukazała się jej kolejna książka *Pan Bóg wyjechał na Florydę*. W 2002 roku ponownie w mieście nad Brdą wydała *Pochylenie*. Cztery lata później, już w rodzinnym Mikołowie, pojawił się jej zbiorek wierszy *Czuly nóż*, a w 2009 roku *Ostateczny smak truskawek*. W 2011 w Poznaniu ukazał się *Performance* i w 2012 w Londynie tomik *Ze mnie robaka i z robaka wiersze*. Oprócz tych sześciu tytułów opublikowała dwa wybory poezji w Polsce i Czechach. Jej wiersze przetłumaczone zostały na: angielski, czeski, niemiecki, rosyjski, słoweński. W Polskim Radiu wyemitowano pięć słuchowisk opartych na jej poezji. Dwukrotnie otrzymała stypendium twórcze Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Uczestniczyła w festiwalach poetyckich w Austrii, Czechach i Słowenii. Można zatem uznać, że jest poetką spełnioną, mimo różnorodnych kłopotów z generacyjną klasyfikacją jej twórczości.

Choć brak pokoleniowej przynależności wierszy wpędził krytyków literackich do kolejnej klatki interpretacyjnej, łączącej twórczość autorki z *genius loci*. Chodzi oczywiście o Mikołów, miasto naznaczone charyzmą Rafała Wojaczka, którą umiejętnie wykorzystali tamtejsi poeci do stworzenia lokalnego ośrodka poezjowania. Zaszufładowaniu w nurcie Wojackowym twórczości Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej sprzyjają zresztą jej prasowe wypowiedzi. „Mówią, że Mikołów to miasto poetów, że powstała w tym miasteczku po Wojacku magia i znaczenie” – opowiada w jednym z wywiadów. Takie przyporządkowanie jest z biegiem wygodnym, bo w ten sposób można zinterpretować wiele tropów ukrytych w jej wierszach. Tyle że samej autor-



Mroczne liryki

ce – wprawdzie obracającej się w kręgu literackiego mitu poezji wyklętej – raczej to nie w smak, bo wie, że jakiegokolwiek zaklasyfikowanie umniejsza niestety wartość jej twórczości, która – jakby na to nie spojrzeć – jest zjawiskiem unikalnym.

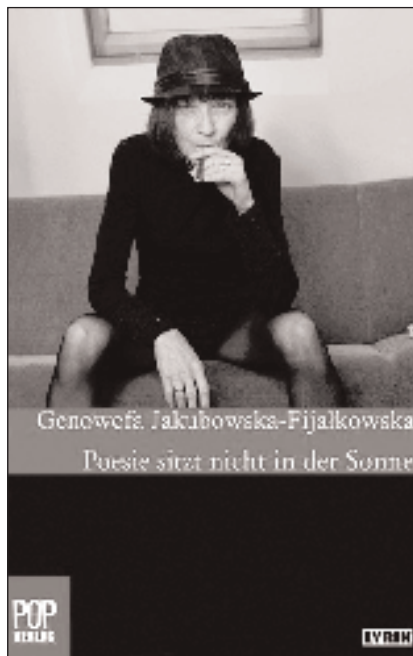
Dlatego poetka podejmuje swoistą walkę ze stereotypowym oglądem poezji w ogóle. Stąd tak dużo w jej książkach wierszy polemicznych, w których rzuca rękawicę poetyckim mitologiom, nawet tym łączonym z narodową klasyką. W wierszu *Kochanka poety* z ironią pisze o czarnoleńskiej tradycji fraszkopisarstwa i tworzeniu trenów o wymyślonej Urszulce oraz faustycznych motywach w literaturze. Jednak najistotniejsze jest negowanie postawy poety odmienca, twórcy wyklętego, skazanego na fizyczne samobójstwo. I za obce sobie uznaje nie tylko postępowanie Rafała Wojaczka, ale w tle jej polemicznego wiersza *Dziewczyna w oknie* pobrzmiewa nawet dalekie echo samobójstwa Tadeusza Borowskiego. „(...) znów jesteś w wojackowym oknie na pierwszym piętrze / nie miał szans z tego miejsca się zabić / mało nas tragicznych poetek umierających mło-

do / co najwyżej na serce (...) albo w piekarniku bardziej dla mężczyzny niż wiersza”.

W tych dwóch wierszach wyraźnie zarysowuje się – będąca cechą charakterystyczną jej twórczości – trwała dychotomia świata przedstawionego. Z jednej strony szara, wręcz obrzydliwa, namacalna fizycznie codzienność, opisywana językiem potocznym i trywialnym. Z drugiej świat wzniosłych idei. Tej dwuczłonowości sprzyja przyjęcie punktu widzenia kobiety. Ból rodzenia, cierpienie kochanki, radość macierzyństwa, przypisane wyłącznie kobietom, sprawiają, że mamy do czynienia z poezją, w której pierwiastek żeński staje po stronie dobra. Anima z wierszy Jakubowskiej-Fijałkowskiej opowiada się za życiem, przeciw zniszczeniu wywoływanemu przez mężczyzn, już w dzieciństwie marzących o wojnie. „i tak boli gdy dziewczynka ssie / a chłopczyk bawi się ołowianym żołnierzkiem / papierowym samolotem / i ma schizy o zamachu terrorystycznym”.

Nie dziwi zatem to, że autorki nie interesuje świat polityki. Wprawdzie obecny jest w jej wierszach zazwyczaj poprzez przywołanie sloganów: „a ty po kawalku w czwartą RP” albo zacytowanie słów będących kalkami z podręcznika politologii: „będą płakać z bólu bo macia po cesarskim cięciu / polityczna demokratyczna demograficzna lewicowa”. Już sam kontekst wypowiedziania tych słów podczas porodu wyklucza poważne zaangażowanie podmiotu lirycznego w polityczną esencję. Zwłaszcza że górą jest ironicznie potraktowane mityczne i patriotyczne macierzyństwo: „politykom Matki Polki rodzące będą wkładać w usta nabrzmiałe sutki”.

Sporo w wierszach Jakubowskiej-Fijałkowskiej także bólu egzystencji. Skowyt istnienia jest silnie odczuwalny zwłaszcza w tekstach wynikających z osobistych przeżyć poetki, która bez skrępowania mówi na łamach prasy o swoich trudnych latach upadku: „Dopał mnie ból istnienia, który łagodziłam alkoholem, spadając coraz bardziej na dno (...) w psychiatryku zaczęłam wracać do życia i do słowa, które było bardziej kwileniem niż nazywaniem”. Dopiero w kontekście takich wyznań lepiej zrozumiane może być jej poezjowanie pełne wulgaryzmów, fizjologii i psychicznych rozterek, co szczególnie widoczne jest w wierszu *Diagnoza*, będącym szczerzym monologiem adresowanym do znanej tylko autorce adresatki. „Ty kochana nie stawiaj mi diagnozy / jestem najlepszym terapeutą dla siebie wal się mała (...) mam dość populacji prokrecji / spuszczenia w ręczniki papierowe spermy (...) wykapie jak syna połozę do pościeli byś delirium przeżył w bieli / tylko nie gaś w nocy światła”. I to światło, niczym kwiat paproci, jest jak najbardziej potrzebne mrocznej lirycy poetki z Mikołowa.



Genowefa Jakubowska-Fijałkowska
Poesie sitzt nicht in der Sonne

POP
KRAKÓW

TYRM

RYSZARD BEDNARCZYK

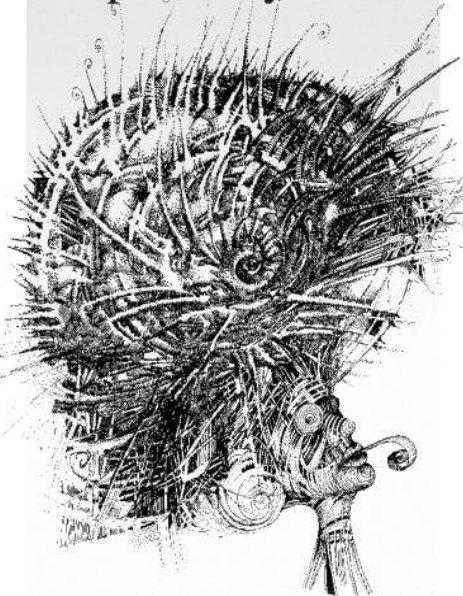
Choć minęło od tego czasu co najmniej pół wieku, przechowuję w pamięci żartobliwy wierszyk z „Trybuny Robotniczej”: „Entliczek, pentliczek, zielony stoliczek, a przy tym stoliczku Gaj, Janik, Kubiczek”, w którym znalazły się trzy nazwiska ówczesnych dziennikarzy Telewizji Katowice. Z Radiem Katowice natomiast łączę często we wspomnieniach postać Stanisława Waniczka, przesympatycznego kierowcy, z którym odbyłem niejedną górnośląską trasę odczytową. Znalazłszy się zaś przed paroma tygodniami po raz kolejny na Zaolziu, stykałem się bez przerwy z nazwiskami strukturalnie tożsamymi z *Kubiczkiem* i *Waniczkiem* – typu *Stasiczek*, *Staniczek*, *Jasiczek*, *Janiczek*, *Waliczek*, *Pawliczek*. Wszystkie one są, oczywiście, formalnymi zdrobnieniami od postaci imiennych *Kuba*, *Stas* (*Stasik*), *Jaś* (*Jasik*), *Jan* (*Janik*), *Walek* (*Walik*), *Paweł* (*Pawlik*), a zarazem typowymi nazwiskami Śląska Cieszyńskiego – tak jak typowo wielkopolski jest też odmienny szereg *Majchrzak*, *Maćkowiak*, *Walkowiak*, *Wachowiak*, *Stachowiak*, *Bartkowiak*, *Sobkowiak* (od *Majchra* „Melchiora”, *Maćka*, *Walka*, *Wacha* „Wacława”, *Stacha*, *Bartka*, *Sobka* „Sobiesława”). Odrębnego potraktowania wymaga przywołany wyżej *Waniczek*.

Łączę go z nazwiskiem *Wanior*, które nosił jeden z moich tarnogórskich kolegów szkolnych. Obie zaś te formy, tj. *Waniczka* i *Waniora*, kojarzę z takimi występującymi na Śląsku nazwami miejscowymi, jak *Cerekwica*, *Nowa Cerekwia*, *Polska Cerkiew* i *Wysoka Cerkiew*. Asocjacja ta okaże się zasadna, gdy uświadomimy sobie, że zarówno *Waniczek*, jak i *Wanior* – wraz z nazwiskami *Wanek*, *Wanic*, *Waniec*, *Waniczeko*, *Waniek*, *Waniel*, *Waniewicz*, *Wanik*, *Waniło*, *Waniuk*, *Wanko*, *Wańczyk*, *Wańczura* – tworzą wielką grupę derywatów wywiedzionych od podstawy *Iwan*, we współczesnej świadomości językowej zrosniętej ze wschodnią Słowiańszczyzną, tak jak *cerkiew* związana jest od wieków ze świątynią obrządku wschodniego.

W średniowieczu było inaczej. *Iwan* – jedna ze słowiańskich postaci przyswojonego z języka hebrajskiego imienia *Jehohanan* „Jahwe (Bóg) jest łaskaw” – wraz z *Janem* tworzył najczęstszą w języku polskim parę nazwowniczą, a w tekstach staropolskich aż się roi od zapisów, w których tę samą osobę raz nazywa się *Janem*, raz *Iwanem*. Tak było w Małopolsce, na Śląsku, w Wielkopolsce. Dość często na Śląsku nazwiska *Waniczek* i *Wanior* to zatem kolejne przykłady – tak eksponowanych w naszej rubryce – reliktyw staropolskich.

Z kolei nazwy miejscowe wywodzące się od *cerkwi* powstały we wczesnym

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Kubiczek, Waniczek, Stasiczek, Jasiczek

średniowieczu, kiedy wyrazy pospolite *cerkiew* i *kościół* były synonimami oznaczającymi bądź zgromadzenie wiernych, bądź samą świątynię. Dopiero w ciągu wieku XVI, w epoce intensywnego już obcowania żywiołu polskiego z ruskim, obydwa znaczenia odnoszące się do *cerkwi* wyszły z użycia, ustąpiwszy trzeciemu – „świątyni obrządku wschodniego”.

Obecność nazw miejscowych związanych z *cerkwią* tylko na Śląsku i w zachodniej części polskiego terytorium językowego to według prof. Witolda Taszyckiego także dowód dużo później-

szego zróżnicowania znaczeniowego rzeczowników *cerkiew* i *kościół* (W. Taszycki: *Pierwiastek chrześcijański w polskich nazwach miejscowych, Rozprawy i studia polonistyczne*, Wrocław 1958, t. I, str. 269-287). A nam trudno nie uznać śląskich *Cerkwi* za jeszcze jedną skamielinę dawnych stanów językowych.

A skoro zaczęliśmy dzisiejszy odcinek od typowo cieszyńskich nazwisk, dopowiedzmy, że charakterystycznymi śląskimi postaciami nazwiskowymi są również, między innymi, formy *Damboń*, *Dambiec*, *Dambik*, *Dambich*, *Stanchły*, *Sankala*, *Mandrak*, *Mandrala*, *Panchyrz*, *Gambiec*, *Gamboń*, *Kampa*, *Kampka*, *Kampczyk*, *Gansiniec*, *Kandzia*, *Kandziara*, *Kandziela*, *Pandzioch*, *Kansy*, *Nandza*, *Bandas*, *Wanglorz*, *Pampuch*, *Pankala*, *Panczek* (spisałem je wszystkie z książki telefonicznej woj. śląskiego). Kryją one w sobie funkcjonującą w polszczyźnie XIV-wiecznej samogłoskę „a nosowe” (taką jak w wyrazach typu *awans*, *pasjans*, *kwadrans*, *mezalians*), w którą zwały się „e nosowe” i „o nosowe” i z której ponownie „e nosowe” i „o nosowe” się wykształciły (na tę ostatnią mamy jednak znak graficzny „a z ogonkiem” – też pozostałość owego „a nosowego”). Wyczuwamy, że ogólnopolskimi wariantami przywołanych nazwisk są brzmienia *Dęboń*, *Dębiec*, *Dębik*, *Dębich*, *Stęchły*, *Sękala*, *Mędrak* (*Mędrak*), *Mędrala*, *Pęcherz*, *Gębiec*, *Gęboń*, *Kępa*, *Kęпка*, *Kępczyk*, *Gęsiniec*, *Kędzia*, *Kędziara*, *Kędziela*, *Pędziach*, *Kęsy*, *Nędza*, *Będas*, *Węglarz*, *Pępuch*, *Pękala*, *Pęczek* (*Pączek*).

Do przytoczonego wyżej nazwiska *Wanglorz* dołączyć z kolei można całą serię form typu *Bednorz*, *Lepiorz*, *Ślusorz*, *Kominiorz*, *Szklorz*, a także *Musioł*, *Musiołek*, *Musiolik*, *Kowol*, *Kowolik*, *Niechciol*, *Niewiedziol*, *Cierpiol*, *Bógdół*, *Bogocz*, *Kopocz*, *Tkocz*, *Kociok*, *Drewniok*, *Polok*, *Danielczok*, *Październiok*, *Śpiewok*, *Niedworok*, będących na Śląsku w powszechnym obiegu i zaakceptowanych przez urzędy stanu cywilnego – z charakterystycznymi, oddającymi gwarową wymowę częstkami *-orz*, *-ol*, *-ol*, *-ocz*, *-ok* (z „a pochyłym” – kontynuantem dawnego „długiego a”, które w polszczyźnie literackiej utrzymało się do XVII w.).

Dopowiedzmy, że gwarową, staropolską wymowę „a” jak „o” słyszy się też np. w nazwie miejscowości *Ciasna* leżącej między Lublińcem a Olesnem (*Ciasno* – jak *długo*, *czarno*, *wąsko* „długa, czarna, wąska”). Nawet w historycznych zapisach tej nazwy spotkać można wygłosowe „o”: *Czasno* (1687).

Urzędowe zaś brzmienie z „o” mają *Tworóg* (od nazwiska *Twaróg*) koło Tarnowskich Gór i *Żory* (od *żar*) koło Rybnika.

Aż trudno uwierzyć, ale 30 września minie już druga rocznica śmierci profesora Włodzimierza Wójcika, historyka literatury, krytyka, esey, autora prac o współczesnej literaturze polskiej, ale przede wszystkim nauczyciela akademickiego, który wypromował około 1000 magistrów filologii polskiej i kilkunastu doktorów nauk humanistycznych. Był także promotorem doktoratu *honoris causa* dla Tadeusza Różewicza w Uniwersytecie Śląskim (1999). Piewca, miłośnik i propagator wiedzy o Zagłębiu Dąbrowskim urodził się w Łagiszy (obecnie dzielnica Będzina) i choć studia i pierwsze lata po ich ukończeniu spędził w Krakowie, nie zdradził swoich rodzinnych stron, jak sam zresztą mówił: *nigdy Zagłębia nie opuściłem, nie potrafiłbym tego zrobić, choć czasem mieszkalem daleko, duchem i tak byłem tutaj, bo moje serce jest tutaj*. Zapisał się profesor W. Wójcik na kartach historii Uniwersytetu Śląskiego, związany z nim od 1973 r. organizował nowo powołany Wydział Filologiczny, był jego prodziekanem (1973–1975, 1977–1978) i dziekanem (1984–1987), dyrektorem Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987–1991), twórcą i kierownikiem Zakładu Literatury Współczesnej



Fot. W. Konopalska

(1981–2002). Przewodniczył Radzie Naukowej Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987–1991). Koordynował badania w Uniwersytecie Śląskim nad literaturą polską XX w. Był członkiem Komisji Historycznoliterackiej PAN – oddziałów w Krakowie i Katowicach, Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, Związku Literatów Polskich i Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego. Przez wiele lat pełnił funkcję opiekuna naukowego Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorznie Górnym.

Plac profesora Wójcika przed biblioteką w Będzinie



Fot. Starostwo Powiatowe w Będzinie

Decyzją Rady Miejskiej Będzina, skwer przed siedzibą Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej został nazwany Placem prof. Włodzimierza Wójcika. Jak zapewnił pomysłodawcy jest to wyraz uszanowania pamięci wybitnej osobowości promującej miasto Będzin oraz Zagłębie.

Miło nam będzie przysiąc na ławeczce przed będziną biblioteką, z myślą, że duch Profesora krąży nad ukochanym przez niego miejscem – księżnicą, gdzie na niej jednej zapewne półce czekają książki, z których możemy czerpać wiedzę, którą nam zostawił.

(MS)

W Internecie widziałem różne sposoby zapisu angielskiego słowa oznaczającego nowo powstałe przedsiębiorstwa, spółki czy działalności gospodarcze: *startup* i *start-up*. Jak zapisać to słowo, aby brzmiało najpoprawniej: *startupów*, *start-up'ów* czy może *startup'ów*?

Sprawa jest nieco skomplikowana. Interesującej Pana nazwy nie odnotowują jeszcze polskie słowniki. Określenie jest nowe i dlatego bywa niejednolicie zapisywane, podobnie jak znane od dawna *online* – „dokonywany za pośrednictwem sieci komputerowej, głównie Internetu”, które w słownikach jest zamieszczone w różnych wersjach: np. *Wielki słownik ortograficzny PWN* podaje, że można pisać *online* albo *on-line*, *Wielki słownik wyrazów obcych PWN* dodaje natomiast, że stosuje się także zapis *on line*, jednak zdecydowanie rzadziej. Wahania te są wynikiem analogicznych zmian ortograficznych w języku zapożyczenia, w angielszczyźnie bowiem proces kształtowania się przysłowka (i przymiotnika) *online* przebiegał w kilku etapach: od wyrażenia przymkowego (czyli połączenia przymyka z rzeczownikiem) *on line* poprzez pisownię z łącznikiem *on-line* aż do scalenia obu elementów.

Merriam-Webster Dictionary podaje pisownię formy angielskiej *start-up*

www.poradniajezykowa.pl

i pewnie taką można by przyjąć również na gruncie polskim. Oczywiście zgodnie z tendencją, jaką widać w angielszczyźnie, może się wkrótce ustalić w tym znaczeniu jako jedyna pisownia łączna *startup*, którą spotykamy już zresztą na anglojęzycznych i polskich stronach. Podobnie było z angielskim rzeczownikiem *makeup*, nazywającym podkład pod makijaż, który polskie słowniki odnotowują nadal jedynie jako *make-up*, podczas gdy wspomniany *Merriam-Webster Dictionary* notuje już tylko formę *makeup*, będącą efektem częstego w angielszczyźnie procesu scalania czasownika (tu: *make*) z przymikiem (tu: *up*) w celu utworzenia rzeczownika; podobny proces wywołał też zmiany angielskiego czasownika *pick up* „podnieść” i pochodnego od niego rzeczownika *pickup* „półciężarówka”, który w *Uniwersalnym słowniku języka polskiego* występuje jako *pick-up* oraz w wersji spolszczonej *pikap*.

Mając na uwadze powyższe argumenty, proponuję pisownię *startup*.

Inną sprawą jest zapis form odmiany tego rzeczownika. Apostrof nie jest w nich potrzebny, ponieważ używamy go do przedstawiania form odmiany wyrazów obcych jedynie wtedy, gdy istnieje różnica ilościowa pomiędzy pisownią a wymową, a konkretnie wtedy, gdy na końcu wyrazu występuje np. samogłoska *e*, która jest niewymawiana, przykładowo w zapożyczonych rzeczownikach pospolitych (*sprite*, *pendrive*) czy w obcych nazwach własnych, takich jak imiona (*Mike*, *Bruce*, *Jerome*) czy nazwiska (*Doyle*, *Larousse*, *Moore*). Jeśli wyraz nie ma na końcu głoski niemej, końcówki dodajemy bezpośrednio do tematu. Rzeczownik *startup* przyjmowałby zatem w odmianie przez przypadki formy następujące: w liczbie pojedynczej: DB. *startupu*, C. *startupowi*, N. *startupem*, Ms. *startupie*; w liczbie mnogiej zaś: M. *startupy*, DB. *startupów*, C. *startupom*, N. *startupami*, Ms. *startupach*.

KATARZYNA WYRWAS



Aleksander Jędrzejewski, „Paryż”, 1932

KOLEKCJA
MALARSTWA
POLSKIEGO



Aleksander Jędrzejewski

Gdyby ktoś chciał zobaczyć odbicie rzeczywistości, które jest czymś więcej niż fotografią, a jednocześnie nic nie traci z jej dokładności – to polecam obraz Aleksandra Jędrzejewskiego „Paryż” (1932).

Jest to widok z lotu ptaka, a raczej z wieży Eiffla. Przedstawia samo centrum Paryża – Łuk Trumfalny i rondo wokół niego. Dzień jest pochmurny i deszczowy, pojazdy i przechodnie odbijają się w mokrej powierzchni asfaltu, który z tej wysokości wygląda jak politura błyszczącego stołu, a pojazdy i sylwetki przechodniów są jak filigranowe figurki ułożone od niechcenia.

Widzimy ślady pędzla, łatwo sobie wyobrazić sprawną rękę malarza stawiającą te impastowe ślady na gładkiej powierzchni obrazu i jednocześnie widzimy jakby wielkie zdjęcie miasta, coś w rodzaju fototapy. Te mazy są jak powidoki – niby farba, a jednak rzeczywistość. To jest to, z czym walczyła awangarda: obraz – burżuazyjny widoczek do salonu, dziura w ścianie, okno, iluzja, która narzuca się natrętnie i choć z bliska widzimy tylko ślady pędzla, to jednocześnie jest to przestrzeń.

Gdy nasz wzrok wędruje w górę obrazu, rejestrujemy coraz mniej szczegółów, miasto rozplywa się w dymach i mgłę, ale realność nie odpuszcza – miasto jak byk, widziane z okna hotelu rano. Zaraz przyniosą śniadanie. Ten obraz mógłby znaleźć się w prospekcie reklamowym biura podróży, albo nawet jako zastawka na stoisku tego biura na targach turystycznych.

Bractwo św. Łukasza do którego należał Aleksander Jędrzejewski, skupiało artystów inspirowanych się starym malarstwem. Oni chcieli kunsztu pędzla i iluzji rzeczywistości. To był sposób malowania założyciela bractwa, charyzmatycznego Tadeusza Pruszkowskiego. Czy było to bardzo zachowawcze w tamtych czasach jazzu i Einsteina? Niezupełnie, bo ci młodzi artyści byli świadomi swojej epoki. I albo szli w pewien rodzaj persyflażu holenderskiego malarstwa XVII-wiecznego, albo korzystali z niektórych zdobyczy postimpresjonizmu np. wrażliwości na kolor, przy zachowaniu mocnej i wyrazistej bryły. Tą właśnie drogą podążał Jędrzejewski.

Czy „Paryż” to kicz? Blisko, ale jednak nie. Kiedy siedzi się u dentysty w poczekalni, to na ścianie widać przeważnie podobne obraz-

ki. Ale tamte mają chaos kolorystyczny, są pstre. A tu, mimo intensywnych karminowych akcentów, wszystko siedzi w całości, jest całością – obrazem. To jest dobry obraz i jest w nim epoka jazzu. Samochody, motocykle, autobusy, ludziki – metropolia. „Metropolis” ale bez fantastyki.

Warto oglądać ten obraz z daleka, ale warto też się stopniowo zbliżać – zanurzać się w ten ruch. W pewnym momencie znajdziemy się w filmie Woody Allena „O północy w Paryżu”, podjedzie przedpotopowy samochód z czarnymi błotnikami i kołyszącymi się firankami, przez okienko wychyli się Hemingway. Woody na starość nie boi się prostych rozwiązań: bohater filmu wsiada do starej taksówki i cofa się do lat dwudziestych.

To jednak wymaga pewnej odwagi – tworzyć dla przyjemności i dzielić się tą przyjemnością z widzami. Tak malował Jędrzejewski i inni Łukaszowcy. Realistycznie, z iluzyjnymi smaczkami, czasami z zawadiackim mrugnięciem oka. A działo się to w czasach poważnej i nie znoszącej sprzeciwu awangardy.

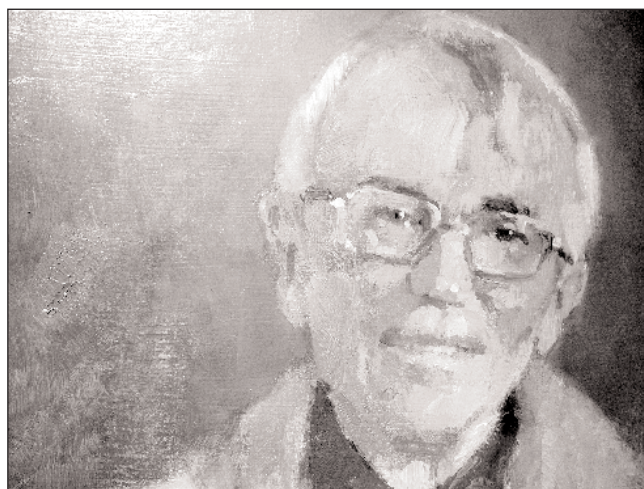
WOJCIECH GRABOWSKI

— Kiedy jest mi źle i smutno, to zamykam się w pracowni i maluję morze. Nabieram sił, odpoczywam i nie tracę nadziei, że wszystko się jeszcze na lepsze odmieni. Musicie wpaść i moje morze zobaczyć – takimi mniej więcej słowami przywitał nas kiedyś na ulicy Krzyszpan Adamczyk. Był początek 1982 roku. Gazetę, w której pracowaliśmy zamknięto – nawet rzeczy osobistych nie mogliśmy zabrać, nie mieliśmy pracy, nie wiedzieliśmy co przyniesie jutro... Nadziei było coraz mniej, za to czasu wolnego coraz więcej. Przychodziliśmy więc do Krzyszpanowej pracowni na ostatnim piętrze przy alei Zwycięstwa 11 w Sosnowcu i... gadając bez końca gapiliśmy się na rozszalałe na sztalugach morze i mały żółty kuter... „On sobie poradzi, nie zatonie, nie zatonie...”. Pokochaliśmy ten obraz.

Kryszpan Ryszard Adamczyk zmarł 25 kwietnia 2014 r. Urodził się 1931 r. w Skarżysku Kamiennej. Studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Grafiki Propagandowej w Katowicach w pracowniach: grafiki u Aleksandra Raka, plakatu u Bogusława Góreckiego, malarstwa i rysunku – Leona Dołyckiego i Rafała Pomorskiego. Pod okiem wielkich mistrzów sztuki polskiej szlifował swój talent. Dyplom otrzymał w 1959 r. Był artystą wszechstronnym. Zajmował się nie tylko projektowaniem plakatów, grafiką artystyczną, malarstwem i rysunkiem ale był także autorem projektów z dziedziny wystawiennictwa i architektury wnętrz. Jego plakaty wygrywały konkursy, m. in. zdobył I nagrodę WAG w 1961 r. w ogólnopolskim konkursie na projekt znaku i flagi na Światową Wystawę EXPO w Osace (1970) również otrzymał I nagrodę.

Kryszpan Adamczyk – jak pisze Ilona Gajda w mini-katalogu do wystawy retrospektywnej, prezentowanej w sosnowieckim Muzeum – *tworzył plakat społeczno-polityczny. Dążył w nim do lapidarnego wyrażania treści symbolem możliwie najbardziej sugestywnie działającym na wyobraźnię odbiorcy*. Możemy obejrzeć przede wszystkim plakaty zapowiadające imprezy i wystawy organizowane przez Muzeum, jak „Wielkie pranie”, „Religie Dalekiego Wschodu”, „Życie i wiara Żydów”. Rarytatem jest znany plakat wydany na 100-lecie Sosnowca z wieżami kościołów i... jedną wieżą kopalnią – wychodzącą z plakatu...

Zbyt mało czasu mieli twórcy ekspozycji na to, aby dotrzeć do większej liczby prac zmarłego artysty, ale i tak zgromadzili sporo interesujących i bardzo charakterystycznych w jego dorobku dzieł, jak choćby pełen ruchu „Pociąg” z 1985 r. Wielką umiejętnością Adamczyka było zatrzymanie na obrazie... wiatru, zaś „Robotnicy” z 1986 r. to przewrotna metafora – podtrzymują pochyloną, upadającą... Polskę?



Portret K. Adamczyka, pędzla S. Mazusia (fragment).

Muzeum w Sosnowcu

Zatrzymał wiatr

Nade wszystko Kryszpan Adamczyk ukochał rysunek – stare, nie zawsze piękne kamienice w jego pracach zamieniały się w zagadkowe budowle kryjące tysiące nieodkrytych sekretów. Natomiast jego agresywnie kolorowe pastele z dominującymi czarnymi liniami (cykl „Wielka modernizacja Sosnowca” z lat 1974, 1976, 1985) są zarówno krzykiem sprzeciwu, jak i próbą oswojenia współczesnej, często brutalistycznej architektury, wreszcie pogodzeniem się i wręcz zachwytem nowoczesnością. Te proste i czyste konstrukcje stygmatyzowane dzisiaj złą sławą Peerelu znikają z naszych ulic, rysunki Kryspiana pozostaną i staną się bardziej tajemnicze dla przyszłych pokoleń. Artysta ożywił szary beton drogowej pętli pędzącym, czerwonym tramwajem. W powstającej hucie „Katowice” nie widział jedynie brudnej stali, betonu i piachu, ale całą paletę barw zniszczonej, ale budzącej się do życia przyrody w najbardziej ekstremalnych warunkach.

W malarstwie Kryszpan Adamczyk, zwłaszcza w początkowym okresie – jak uważa Ilona Gajda, historyk sztuki – *zbliżał się do geometryzacji kompozycji, w którym dominowała linia, zdecydowany kontur, który wyznaczał granice płaszczyzny wypełnionych kolorem*. Świetnym przykładem jest prezentowany na wystawie „Kołobrzeg”, olej z roku 1967 – doskonale akademicko zakomponowane barwne płaszczyzny połączone czarnym konturem, porywająco młodzieńczy, tuż obok umieszczono piękny obraz realistyczny „Kołobrzeg 1961” – kutry zatrzymane na noc w przystani, rozmawiający ludzie na drewnianym mołu, pewnie ostatni powracający z połowu? Jak u dawnych mistrzów płótno błyszczą ukrytym w swoim wnętrzu światłem. Całkiem inna „robota”... Pokazane obok siebie obrazy świad-

czą o nieograniczonych warsztatowych możliwościach malarza. No i wreszcie „Kołobrzeg” z 1977 r. – najbardziej podobny do kochanego przez nas obrazu, którego narodziny śledziliśmy niegdyś z zapartym tchem i którego tak bardzo brakowało nam na wystawie. Tak jak na tamtym obrazie, tak i tutaj zachwycają śmiałe pociągnięcia pędzla, morze wzburzone, ale raczej przyjemne i przewidywalne, kutry zakotwiczone w porcie... W pobliżu wyeksponowano „Wiatrak” z 1975 r. – myślę, że to ten słynny ze Świnoujścia... i znowu ta obsesyjna chęć zatrzymania na obrazie ruchu. Ten okres w pracy stale szukającego nowych rozwiązań formalnych artysty lubię najbardziej. Dłużej warto podumać przy znanej grafice „Postać” (1981 r.) z białym piórkiem zamiast serca.

Niemal całe twórcze i zawodowe życie spędził w Sosnowcu, mieszkał przy ulicy Słowiańskiej w domu z ogródkiem, który uwielbiał. Byłem pewien, że tu już dożyje swoich dni. Jednak w 2002 r. przeniósł się do Pszczyny i osiedlił się w pobliżu najpiękniejszego na świecie parku. To zrozumiałe, że artyści kochają to miasto będące wielkim malarskim plenerem. Zresztą Sosnowiec mało sobie ceni artystów i szybko o nich zapomina. Cóż bowiem robi dla przypomnienia dorobku legendarnej Grupy Zagłębie z Marianem Maliną, Eugeniuszem Chmielem, Romanem Chruścikiem, Piotrem Kowalskim (skandalicznie wygłąda jego grób na cmentarzu przy ul. Smutnej), Stefanem Chorembalskim, czy wreszcie Janem Świdorskim (o którego pamięć zadbał Będzin i chwala mu za to) – kompletnie nic! Jest duża kasa na brzydkie przedwyborcze bilbordy, ale małej kasy na upamiętnienie pięknym katalogiem Kryspiana Ryszarda Adamczyka – twórcy tak mocno związanego z tym miastem, w którym pełnił m.in. obowiązki naczelnego plastyka miejskiego – pieniędzy nie ma!

Podobno od 2006 r. do końca swoich dni Kryszpan spisywał wspomnienia. Według Ilony Gajdy *jest to niezwykle pamiętnik, z którego dowiadujemy się nie tylko o jego życiu prywatnym i zawodowym ale również o jego poglądach i spostrzeżeniach na temat życia w Polsce*. Mam nadzieję, że będziemy mogli go przeczytać. Wielkie uznanie i najniższy ukłon w stronę Muzeum w Sosnowcu i jego szefa Zbigniewa Studenckiego za to, że już trzy miesiące po śmierci najbardziej sosnowieckiego z sosnowieckich artystów – 24 lipca otwarto wystawę ze zbiorów tej placówki, rodziny i znajomych, prezentującą twórczość popularnego i lubianego artysty – pokazano rysunki, pastele, obrazy olejne oraz plakaty, które każdy kochający Sosnowiec (a miłość to trudna i dlatego tak cenna) – zobaczyć powinien.

WITOLD KOCIŃSKI

Fot. Witold Kociński



Kołobrzeg, 1961, olej



Kołobrzeg, 1977, olej

Fot. Witold Kociński

Fot. z archiwum Muzeum



Huta Katowice, 1978, olej

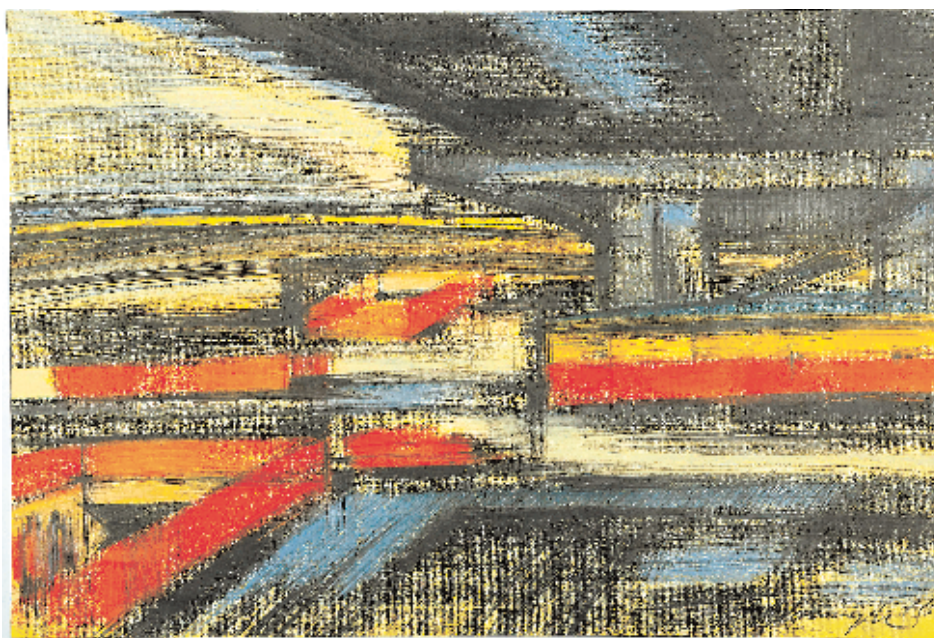


Pszczyna, Park, 2008, sepia

Fot. Witold Kociński

Kryspian Adamczyk w Pałacu Schöna

Fot. z archiwum Muzeum



Z cyklu *Wielka modernizacja Sosnowca*, 1976, pastel



Kobiety z psem, 1982, olej, płótno, 118x150 cm



Portret dziewczynki, 1983, olej, płótno, 75x63 cm

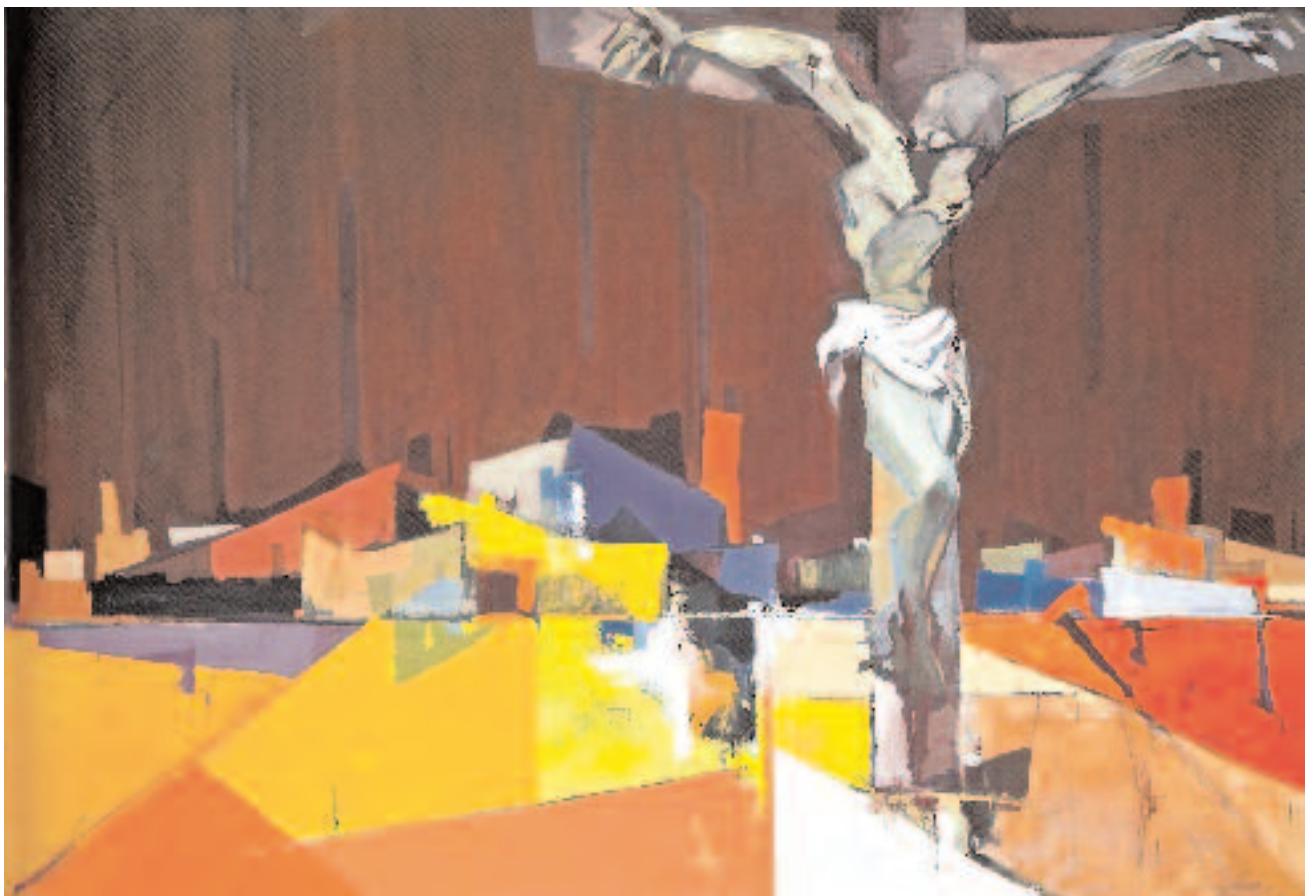
Ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Tychach



Dwa totemy, 1985, olej, płótno, 96x145 cm

EDWARD HANTULIK

Malarstwo i rzeźba



Pejzaż z krzyżem, 1984, olej, płótno, 143x210 cm



Edward Hantulik, 1993

W okrutnym tańcu z życiem

O malarstwie Edwarda Hantulika (1949-1994)

Jakim dzisiaj byłby artystą, jakie obrazy wychodziłyby spod jego pędzla?... Edward Hantulik – artysta znakomicie się zapowiadający, poszukujący, nie pogodzony ze światem, z sobą samym. W pewnym sensie artysta tragiczny, nie tylko dlatego, że odszedł z tego świata w młodym wieku, mając zaledwie 45 lat. Ogromna wrażliwość, nieustanne poszukiwanie własnej drogi i wielki багаж filozoficzno-artystyczny wyniesiony z pracowni jego profesora w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych – Jerzego Nowosielskiego.

Jeśli życie ma sens tylko wtedy, kiedy zamyka się w malowaniu, w nieustającej analizie własnej podświadomości, duchowości, konfrontacji i w doskonaleniu siebie samego, przy tym próbując osiągnąć mistrzostwa swojego ideału – Pabla Picassa, to może się okazać zbyt trudnym zadaniem dla młodego artysty.

Świat malarski i świat wyobraźni oraz osobiste w nim bytowanie i istnienie tworzyły jedyną możliwą dla Edwarda Hantulika przestrzeń do życia – jak się okazało zbyt ciasną, zbyt pogmatwaną, bez wyjścia.

Edward Hantulik – dziś artysta na nowo poznawany, dzięki chociażby takim wystawom, jaką w 20. rocznicę śmierci artysty przygotowało Muzeum Miejskie w Tychach. Dla wielu sztuka Hantulika jest ob-

jawieniem, poznaniem twórczości niezwyklej, nacechowanej jakimś wewnętrznym dramatem, ale znakomicie opisującej stany wewnętrzne artysty i jego sposób widzenia świata, artysty, który poprzez malowanie chciał zinterpretować świat, w którym przyszło mu toczyć walkę ze sztuką i sobą samym. Świat – rzecz można – piękny, wyrazisty, agresywny – w formie i treści, emanujący prawdą o artyście.

Edward Hantulik malował od zawsze po kres swego niedługiego życia. Najpierw były to dość tradycyjne pejzaże bliskich mu miejsc – zwłaszcza rodzinnego, podtyckiego Mąkolowca i martwe natury. Dość monotonne kolorystycznie, ale bardzo sprawne, świadczące o umiejętnościach wrodzonych i dobrze rokujące przyszłemu artyście. Mimo iż miał się różnych zajęć, malowanie było tym jedynym, któremu się poświęcił – nie dla bycia artystą, dla konstruowania wystaw, by sprzedawać swoje prace, by żyć po prostu z tego malowania, ale by potrafić uzewnętrznić wszystkie swoje rozterki wewnętrzne, by kolor i pędzel były posłuszne gestowi prowadzącemu ku powstaniu kolejnego dzieła. Początkowa konwencja realizmu przestała mu wystarczać. Doksztalał się sam – przeglądał albumy największych mistrzów, analizował, wreszcie sam podjął studia w krakowskiej ASP. Doskona-

łe wyobrażenie malarstwa, widzenie przestrzeni, kształtu widział w dziełach Picassa. Z czasem malarstwo Hantulika zaczęło też stawać się „przestrzenne”. Zafascynowany kubizmem, bryłą (co zresztą zaowocowało współpracą w katowickiej ASP jako asystenta prof. Stanisława Hachuła w pracowni rzeźby), agresywnym kolorem, ekspresją, potrafił wydobyć ze swych płócien obrazy wielowymiarowe. Z roku na rok doskonalił się w takim właśnie malowaniu. Powstał szereg fascynujących obrazów jak chociażby *Pejzaż z krzyżem*, *Agresja*, *Pejzaż z dominantą czerwoną*, *Pejzaż ponury*, *Dwa totemy czy Tyrol*. Zestawiał kolory jakby oczekując na reakcję – nie tylko tych, którzy je oglądali, ale... ich samych. Naprężenia i napięcia jakie powodowały, oddziaływały na wyobraźnię artysty szukającego najbardziej adekwatnych wyobrażeń dla swoich stanów wewnętrznych.

Tematami prac Hantulika stały się dojmujące stany wewnętrzne człowieka jak cierpienie, ból, rozpacz, ale też wiara rozumiana jako rozmowa z Bogiem o kondycji ludzkiej (*Kobieta oplakująca dziecko czy Matka oplakująca syna*).

Niezwykłe są portrety, które wyszły spod pędzla tego artysty – jak *Głowa maga* czy *Portret dziewczynki* wycinający się swoją konturowością z intensywnego niebieskiego tła, z plamą jasnej żółci – jak światło rozjaśniającą twarz, wielkimi oczami, smukłą szyją i... smutkiem oraz przenikliwością spojrzenia.

Na swój sposób „dzikie” malarstwo Hantulika zdominowało końcówkę lat osiemdziesiątych jego twórczości. Obrazy zaczęły nabierać gigantycznych rozmiarów, co zaczęło także sprawiać autorowi trudności techniczne w ich wykonywaniu. Pojawiły się postaci wtrącone w otchłań, w piekielne czeluści, szalone (*Po wybuchu*), albo groteskowe, poruszające się w dramatycznym tańcu lub wycofane, obserwujące (*Towarzystwo wernisażowe*), prowadzące do myśli o ukryciu siebie samego przed rzeczywistością, z którą nie potrafił się zmagać.

WIESŁAWA KONOPELSKA



„Dumna”, po 1987, gips, wys. 45 cm



Kiedyś trwał wiecznie. Dziś, osaczony cywilizacją, rośnie inaczej. Stał się słabszy, mniej odporny, bezsilny. W starciu z zanieczyszczeniami, szkodnikami i żywiołami przegrywa. Dlatego musi być mądrze zarządzany, przebudowywany. Ten ostatni termin wtargnął na dobre do polskiego leśnictwa w latach 60. i 70. XX wieku. Gdy lasy zaczęły usychać pod naporem toksycznych zanieczyszczeń z przemysłu. Szczególnie na Górnym i Dolnym Śląsku.

Leśnicy śląscy zareagowali pierwsi. Instynktownie zaczęli chore drzewostany iglaste, które ginęły pierwsze, zastępować bardziej odpornymi gatunkami liściastymi. Nie zawsze były to zabiegi trafne, ale... kierunek słuszny.

Dziś zarządzanie lasu jest jeszcze bardziej wymagające. Dotyczy przystosowania gospodarki leśnej do zmieniających się warunków klimatycznych. Dlatego jego przebudowa nabiera dziś dosłownego znaczenia.

Widać to w Nadleśnictwie Bielsko.

Lasy bielskie, jak śląskie, mają status Lochronnych. Bo i one są osaczone uciążliwym sąsiedztwem. Gęsto zaludnionymi, przemysłowymi miastami: Bielskiem-Białą i Czechowicami-Dziedzicami oraz dziesiątkami małych miejscowości. Niektóre leżą dosłownie w przestrzeni Nadleśnictwa Bielsko.

Nieprzypadkowo te lasy, zarówno ze strefy Pogórza Śląskiego i Doliny Górnej Wisły jak również Beskidu Śląskiego i Be-

skidu Małego znajdują się niezmiennie w drugiej czyli średniej strefie uszkodzeń przemysłowych. Mimo oczywistej poprawy czystości powietrza w ostatnich kilkunastu latach.

Dlatego nadal są przebudowywane. Z wykorzystaniem dawnych doświadczeń, ale i najnowszej wiedzy naukowej. W praktyce oznacza to zastępowanie usuwanych drzew tylko gatunkami naturalnymi dla danego siedliska przyrodniczego.

I zgodnie z zasadą „mądry człowiek po szkodzi”. A taką szkodą, którą ciągle naprawiają leśnicy, było wysadzanie w lasach, podległych Habsburgom, szybko rosnących świerków na potrzeby przemysłu. Na dodatek z nasion obcego pochodzenia. W miejscach, gdzie kiedyś naturalnie królowały beskidzkie buki, jodły i wiele innych odmian liściastych.

Taki monokulturowy, niezwykle wrażliwy na stres cywilizacyjny las świerkowy nie potrafił się obronić. Ani przed zanieczyszczeniami, pożarami czy atakami szkodników. Ani tym bardziej przed, nasilającymi się wraz ze zmianami klimatu, żywiołami. Powodziami, suszami i pożarami, trąbami powietrznymi, huraganowymi wichurami,

a bywało i powalającą drzewostany okiścią śniegową.

Więcej liściastych

WNadleśnictwie Bielsko, podobnie jak i w innych nadleśnictwach Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Katowicach, przebudowę drzewostanów wiąże się z ich dopasowaniem do miejscowego, naturalnego siedliska. Sádzonek nie zabraknie. Tylko w szkółkach katowickiej Regionalnej Dyrekcji... w ub. roku wyhodowano ich 71 milionów! W tym, w szkółce kontenerowej w bielskiego nadleśnictwa znacznie ponad milion. Głównie sadzonki buka i jodły, ale też olsze, sosny kosodrzewiny, rodzimego świerka i modrzewia.

Tutaj również sadzi się domieszki innych gatunków liściastych drzew. Wśród nich dęby, lipy, brzozy czy jawory. Obowiązkowo pod osłoną wcześniej przerzedzonych skupisk starych, schorowanych sosen czy świerczyn. Leśnej młodzieży potrzebne jest światło. By rosła.

Przebudowa drzewostanów jest tylko jednym z zadań gospodarki leśnej. W nadleśnictwach jest ich znacznie

Las w przebudowie



Pod okapami starych drzew rośnie młode pokolenie

więcej. Niektóre trudno z sobą pogodzić. Dotyczy to choćby utrzymania w najlepszej kondycji rezerwatów czy unikatowych obszarów Natura 2000 w konfrontacji z masowym ruchem turystycznym. Jeszcze trudniej znaleźć ugodę pomiędzy zasadami zarządzania lasu z równoczesnymi wymaganiami leśnych gmin z tego terenu, posiadającymi własne plany rozwojowe. Edukacja ekologiczna, w jakiej wyspecjalizowali się leśnicy, też nie zawsze wystarcza, by zapobiegać konfliktom na styku wymagań gospodarki leśnej i otwartości lasów dla ludzi. Oni też mają pełne prawo troszczyć się o wspólny las, wyrażać swoje zdanie.

Początkowo w tym nadleśnictwie emocje wywoływały obiekty inżynierii budowlanej, związane z małą retencją wód w lesie. Obecnie budowa dróg i parkingów. (Kto ma na przykład utrzymywać wybudowany przez Lasy Państwowe ten duży w Wapienicy?)

Mała retencja

Trudno się dziwić mieszkańcom Lipnika, którzy ostro zareagowali na widok drwali i ciężkiego sprzętu na ich widokowym stoku. Nie chcieli przyjąć do wiadomości, że rozpoczynające się prace, związane z budową leśnych zbiorników retencyjnych, nie zniszczą krajobrazu ich miejscowości i zdrowych drzew za unijne pieniądze.

Lasom Państwowym udało się je pozyskać (w wysokości 85 proc. wartości inwestycji) na bardzo potrzebny projekt pn. „Przeciwdziałanie skutkom odpływu wód opadowych na terenach górskich. Zwiększenie retencji i utrzymanie potoków oraz związanej z nimi infrastruktury w dobrym stanie”.

Jest on realizowany między innymi w Nadleśnictwie Bielsko, gdzie wybudowano aż 14 zbiorników retencyjnych oraz obiekty spowalniające bieg górskich potoków. Jeden zbiornik powstał w leśnictwie Wielka Łąka i trzynaście w leśnictwie Lipnik. (Jego granice obejmują w części gminę o tej samej nazwie).

Mała retencja jest w lasach na wagę ich trwania. Służy podnoszeniu poziomu wód gruntowych i powierzchniowych, wyrównywaniu odpływu wód ze zlewni górskich, magazynowaniu wody w sztucznych i naturalnych zbiornikach, jej spiętrzaniu w korytach potoków, kanałów i rowów. Po to, by ich wody nie odpływały zbyt gwałtownie, nie prowokowały powodzi, nie pozostawiały po sobie niewyobrażalnych zniszczeń. (Gotowe już obiekty małej retencji w Nadleśnictwie Bielsko sprawdziły się dobrze podczas tegorocznej, majowej powodzi).

I dobrze służą przyrodzie. Zatrzymują wodę, poprawiając kondycję siedlisk



Las po gradacji kornika

podmokłych, ożywiają stawy i wysychające mokradła. Wymuszają też sadzenie drzew, które w wilgotnym środowisku rosną lepiej. A więc wzbogacają bioróżnorodność natury, ograniczają skutki suszy, co jest warunkiem bezpieczeństwa lasu. Pomagają tworzyć jeszcze bujniejszy krajobraz.

Dziś wystarczy popatrzeć z góry bądź z bliska na kaskadę zbiorników retencyjnych w leśnictwie Lipnik, by zapomnieć o drwalach i buldożerach na leśnych stokach. Jest bajkowo.

Niestety znacznie dłużej trzeba będzie czekać, aż ostatnio budowane, przy wielkim sprzeciwie społecznym, nowe drogi w Nadleśnictwie Bielsko, wtopią się całkowicie w zdrową przestrzeń lasu. Dziś choć już z lekką zazienionym otoczeniem jeszcze szokują.

Dwie racje

Dawno minęły czasy, gdy leśną sieć dróg tworzyły wydeptane ścieżynki i komunikacyjne dukty, po których sunęły sanie czy konne zaprzęgi. Zarówno gospodarcze pozyskiwanie drewna, jak i konieczność szybkiego wywożenia go nawet z najwyższych partii gór, szczególnie po zdarzeniach klęskowych, nie może się już obyć bez ciężkiego sprzętu. Ten sprzęt jakoś musi tam dotrzeć.

Dlatego nie dziwi, że na budowaną sieć dróg w aglomeracyjnych lasach, są dwa spojrzenia. I dwie racje, które trudno pogodzić. Pierwszą jest racja ekologów, miłośników przyrody i wielu turystów. W ich opinii – zabudowywanie lasów, stoków górskich drogami dla ciężkiego sprzętu powinno być zakazane.



Konie w lesie nie zastąpią pojazdów, mogą tylko pomóc...



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



Z drugiej strony leśnicy, gospodarze Państwowego Gospodarstwa Leśnego „Lasy Państwowe” mają obowiązek budowy takich dróg i utrzymania ich w najlepszym stanie. W warunkach coraz trudniejszych do przewidywalnego zarządzania lasu. Od ponad ćwierć wieku nagle, zwinione i niezawinione przez człowieka, powtarzające się klęski w lasach, stały się przecież ich drugą naturą!

To prawda. Udało się w Polsce, na Śląsku mocno ograniczyć zanieczyszczenia powietrza. Głównie te z przemysłu. Ale dla osłabionych lasów nawet ich mniejszy strumień jest groźny. Drzewa dalej chorują. Są atakowane przez szkodniki. Słabną. Nie wytrzymują ataku wichur (Łyse szczyty Gór Izerskich czy Beskidów trudno wykreślić z pamięci!). Lasy osłabione żywiołami, pozbawione zdrowych drzew nie są w stanie często wchłonąć wody po nawalnych deszczach. Podczas suszy płoną jak zapalki. W zderzeniu z trąbą powietrzną nie mają żadnych szans. Wyrokiem śmierci dla nich jest zjawisko okiści i oblodzenia. W czasie potężnych powodzi w lasach górskich wyrwane są nie tylko drzewa. Ze stoków spływają stare, źle zabezpieczone, zużyte drogi.

Drogi

Las nie może już obyć się bez wspomagającej go infrastruktury drogowej i obiektów retencji wód. Pokazał to szczególnie największy w latach powojennych pożar w Rudach Raciborskich w 1992 roku. W ostatecznym rozrachunku okazał się klęską „poży-



Leśna inwestycja drogowa na Magurce

teczną”. Bo dopiero po tym zdarzeniu wprowadzono w Polsce nowoczesny system ochrony przeciwpożarowej. Jej przepisy dziś egzekwowane są rygorystycznie.

Również walka z kornikiem w Beskidach uświadomiła, że drugiego tak gigantycznego ataku szkodników las może nie przeżyć. Przecież setki tysięcy zaatakowanych przez nie drzew trzeba było nie tylko sklasyfikować, wyciąć, ale i wywieźć możliwie najszybciej z górskiego, zagrożonego śmiertelnie lasu.

W sytuacjach zagrożenia, las potrzebuje dróg jak wody i czystego powietrza.

Dlatego ich budowa, obwarowana przepisami przeciwpożarowymi, ale i wymogami natury, została wpisana w plany zarządzania lasów.

Mimo to, drogi, które powstały w masywie bielskiej Magurki Wilkowieckiej, wraz z obiektami inżynierii wodnej, zniszczonymi podczas klęsk żywiołowych, wywołały wielki sprzeciw. To przecież drogi jakby nieleśne. I takie muszą spełniać standardowe wymagania. To znaczy, wytrzymać napór ciężkich, strażackich wozów bojowych, dojechać bez przeszkód do ognisk pożarów, zawrócić na mijankach pojazdem o nośności co najmniej 10 ton. Muszą to być drogi znacznie szersze niż dotąd.

Nowa infrastruktura drogowa lepiej służy gospodarowaniu w lasach. Pozyskiwane drewno czy to w procesie przebudowy drzewostanów, planowanych cięć i czy po klęskach trzeba na jakiś czas zgromadzić w jednym miejscu (do tego celu wykorzystywane są właśnie mijanki) lub w razie konieczności – wywieźć szybko z lasu. W przypadku walki z kornikiem poza strefę zagrożenia.

Nawet ta wiedza, nie zmienia opinii ekologów, że w lesie budować „autostrad” nie wolno! Bo to niszczenie przyrody. Zdaniem leśników, tylko w czasie trwania budowy.

No cóż? Trzeba czekać aż ta różnica zdań zmaleje. A i otwarty konflikt w tej kwestii nie tylko na Magurce Wilkowieckiej, wraz z otoczeniem nowych dróg w lasach, też łagodnie się zazieleni. Jest taka nadzieja.

W tym celu wykorzystywane są właśnie mijanki) lub w razie konieczności – wywieźć szybko z lasu. W przypadku walki z kornikiem poza strefę zagrożenia.

JOLANTA MATIAKOWSKA



Nadleśnictwo Bielsko: zabudowa potoku Bila, spowalniająca spływ wód



Jeden z trzech kaskadowych zbiorników retencyjnych w Lipniku

Ekoaktywnych obywateli, świadomych zagrożeń, wynikających z rozwoju kosztów środowiska naturalnego, jest coraz więcej. Skupieni w dużych i małych, formalnych i nieformalnych pozarządowych organizacjach, fundacjach czy grupach lokalnych, starają się żyć ekologicznie i zachęcać do takiego stylu innych. Najszybciej też reagują na proekologiczne wyzwania, inspirują pożądane zmiany w swoim otoczeniu, ale przede wszystkim... dzięki swojej pasji i kreatywności tworzą klimat dla obywatelskiej czyli najważniejszej dla praktyki – interdyscyplinarnej ekologii.

Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach od lat w sposób szczególnie docenia ich działalność.

W 2008 roku do śląskiego scenariusza czerwcowych obchodów Światowego Dnia Ochrony Środowiska został wpisany kolejny konkurs katowickiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej pn. „EkoAktywni”.

Od samego początku adresowany był do organizacji pozarządowych i grup nieformalnych, których powszechne działania w sferze niekonwencjonalnej edukacji ekologicznej, ochrony przyrody i środowiska oraz profilaktyki zdrowotnej wśród dzieci, mieszkających na terenach najbardziej zanieczyszczonych, przynosiły w województwie śląskim wspaniałe rezultaty. Zarówno w kreowaniu społeczeństwa obywatelskiego, jak i podnoszeniu świadomości ekologicznej dzieci oraz dorosłych mieszkańców. Przez pierwsze lata trwania konkursu nagradzane były największe, zasłużone, popularne organizacje pozarządowe jak m.in. Polski Klub Ekologiczny – Okręg Górnośląski, Klub Gaja, Fundacja na Rzecz Dzieci Miasteczko Śląskie czy ZHP Chorągiew Śląska.

W tym roku uwaga Jury Konkursowego „EkoAktywnych” z Wojewódzkiego Funduszu... została skierowana na mniejsze, często nieformalne organizacje społeczne i grupy, dobrze znane, cenione i zasłużone dla swoich środowisk lokalnych. Dlatego tym razem kandydatów do tego konkursu proponowali prezydenci, burmistrzowie i wójtowie miast i gmin województwa śląskiego. Jurorzy oceniali ich działania mery-

Wielcy, choć mali EkoAktywni

toryczne, oryginalność przedsięwzięć, rezultaty edukacyjne, a przede wszystkim udział w nich lokalnych społeczności.

Laureaci

N tej podstawie, spośród ponad pięćdziesięciu kandydatów, zgłoszonych do konkursu EkoAktywni, jurorzy wybrali trzy grupy laureatów, łącznie 21. Wręczono im nagrody w wysokości dziesięciu, siedmiu i pięciu tysięcy złotych.

Wśród uhonorowanych znaleźli się:

W grupie z nagrodami po 10 tys. złotych: Szkolny Klub Ekologiczny EKOIM10 w Gliwicach; Żywiecka Fundacja Rozwoju w Żywcu; Koło Przyrodniczo-Ekologiczne w Szkole Podstawowej nr 24 w Zabrze oraz koło Edukacji Ekologicznej przy Gimnazjum Publicznym nr 1w Czechowicach-Dziedzicach.

Po 7 tys. złotych na kontynuowanie swojej działalności otrzymały: Stowarzyszenie Rozwoju Społeczności Lokalnej „Cięcina EU” w Cięcinie; Koło Przyrodniczo-Ekologiczne w Szkole Podstawowej przy Zespole Szkół w Strzebinie; Stowarzyszenie „Bądź z nami” w Będzinie; Liga Ochrony Przyrody przy Szkole Podstawowej im. J. Brzechwy w Zajązkach Pierwszych oraz PTTK Oddział Beskid Śląski w Cieszynie.

W gronie laureatów wyróżnionych nagrodami po 5 tys. złotych znaleźli się: Koło Ekologiczne ZSP w Kryrach; ZHP Chorągiew Śląska Hufiec Częstochowa; Stowarzyszenie dla Rozwoju Kocierza Moszczanickiego i okolic w Lękawicy; Stowarzyszenie „Razem na Szybiku”; Grupa

badawcza Projektu „Ekoodpowiedzialni” w Strumieniu; Stowarzyszenie Nasze Kalesy w Kaletach; Grupa Ekologiczna-Prozdrowotna przy Miejskiej Szkole Podstawowej nr 5 w Piekarach Śląskich; Polski Klub Ekologiczny – Koło w Tychach; Szkolna Grupa Ekologiczna przy Zespole Szkoły Podstawowej i Gimnazjum nr 1 w Szczyrku; Ustroński Klub Ekologiczny; Parafialne Towarzystwo Oświatowe w Gamowie w gminie Rudnik oraz Stowarzyszenie „Mała Szkoła w Rokitnie Szlacheckim”.

Wspólnie z samorządami

L aureaci konkursu EkoAktywni w jednym przypadku mogą zadziwić. Do nich z całą pewnością zaliczyć trzeba Szkolny Klub Ekologiczny EKOIM10 z Gimnazjum nr 10 im. I.J. Paderewskiego w Gliwicach, którego opiekunem jest Janina Czempiel. Jego członkowie nie boją się wyzwań. Nawet takich, którym nie zawsze sprostałiby dorośli. Często zresztą z nimi i dla nich pracują dla dobra wspólnego. Tak było podczas wieloetapowego, konkursowego projektu Europejskiej Platformy Recyklingu, za który niejednokrotnie otrzymywali najwyższe laury czy w trakcie ogólnopolskiego projektu konkursowego „EkoAkademia 1. i 3. wieku”. Celem tego ostatniego było podniesienie świadomości ekologicznej społeczeństwa w grupie 50+. Realizowali, jak zawsze z sukcesem projekt, współfinansowany z funduszy europejskich, a koordynowany przez Uniwersytet Śląski pn. „Aktywny w szkole, aktywny w życiu”. Po to, by poznawać współzależności pomiędzy człowiekiem i środowiskiem naturalnym, uczyć się odpowiedzialności za jego jakość, a także zrozumieć zaskakujące często zmiany, zachodzące w otaczającym nas świecie. Pomogły im w tym wizyty na Politechnice Śląskiej, m.in. podczas Nocy Naukowców, gdy uczestniczyli w eksperymentach, pokazujących rolę dwutlenku węgla w przyrodzie. Dlatego nietrudno im było później publicznie dyskutować o przyczynach zmian klimatycznych i zastanawiać się – co z nimi zrobić?

Charakter i sposób działania tej i pozostałych organizacji zmienia się i wzbogaca z każdym rokiem. Większość z nich zaczyna z czasem funkcjonować we współpracy z samorządami, co jest najlepszą oceną ich obywatelskiej, spontanicznej, działalności na rzecz rozwoju równoważonego.

Tak dzieje się w przypadku wielu laureatów. Między innymi tyskiego Koła Polskiego Klubu Ekologicznego, animatora obywatelskich, najbardziej potrzebnych dla ekorozwoju, przedsięwzięć proekologicznych w mieście. To dlatego Urząd Miasta w Tychach je od lat, w miarę swoich możliwości, wspiera.

Również Stowarzyszenie „Razem na Szybiku” z Wodzisławia Śląskiego może liczyć na pomoc finansową instytucji samorządu terytorialnego dla swojej bogatej działalności. Zarówno w sferze ochrony środowiska, profilaktyki zdrowotnej, kulturalnej i społecznej.

JOLANTA KARMAŃSKA



EkoAktywni uhonorowani symbolicznymi czekami podczas uroczystości w Parku Śląskim



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

„Elling” – to tytuł norweskiego tragikomicznego filmu nakręconego w 2001 r. przez Petera Naessa. Jest on adaptacją powieści Ingvara Ambjørnsena „Bracia krwi”. Film został nominowany do Oscara, zdobył też nagrodę publiczności Warszawskiego Festiwalu Filmowego. Obraz ten podbił serca wymagającej widowni. Kto go obejrzał – nigdy nie zapomni. Zmierzenie się z dziełem tak doskonałym jest niemalą odwagą i dużym ryzykiem. Przyznam się od razu, że nie jestem zwolennikiem przeprowadzek ze srebrnego ekranu na sceniczne deski.

Ale cóż – do polskich teatrów trafia niemal wszystko, co kiedyś podbiło serca kinomanów i telewizorów (taka moda), zarówno Kondratiukowe „Dziewczyny do wzięcia”, jak i „Miłość blondynki” – słynny film, który rozpoczęła światową sławę Miłocha Formana. Nie są to, niestety, udane spektakle. Rzadko zdarza się, że teatralna wersja filmu godna jest uwagi. W Katowicach ostatnio, za sprawą dyrektora Roberta Talarczyka, udało się aż dwukrotnie ożywić w sposób ciekawy i oryginalny filmowe dzieła. Sukcesem było przeniesienie na śląską scenę przez samego szefa kultowego filmu Formana „Lot nad kukułczym gniazdem” i rewelacyjny spektakl „Skazany na bluesa” według filmu Jana Kidawy-Błońskiego w reżyserii Arkadiusza Jakubika.

Kierownictwo Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego postanowiło udostępnić młodym artystom przestrzeń do pracy twórczej (Scena w Malarni) pod okiem doświadczonych mentorów, w ramach projektu KatoDebiut. Efektem działań tegorocznej grupy debiutantów jest właśnie „Elling”, czyli zaadaptowana przez Axla Hellsteniusa na potrzeby sceny powieść lub raczej wspomniany wyżej, doskonale znany szerokiej publiczności film.

Obawy miałem duże. Nie potrafiłem wyrzucić z pamięci filmowych kadrów a zwłaszcza gry znakomitych skandynawskich aktorów. Reżyser przedstawienia Michał Wawrzcki niczego nie udziwnił (choć czasami szkoda), zrobił spokojny, chwilami trochę nudny (niestety) spektakl. Zwykle młodzi twórcy mają tysiące różnych pomysłów i formą zabijają treść. Tutaj nic z tych rzeczy, żadnych niespodzianek nie było. Wolałbym czasem zdenerwować się nadmiarem reżyserskich fajerwerków niż walczyć z sennością. Ale po kolei...

Bohaterami sztuki jest dwóch życiowych nieudaczników. To takie duże dziecko ukryte w ciałach dojrzałych mężczyzn. Zupełnie nieprzystosowani do życia, izolowani od społeczeństwa w zakładzie opiekuńczym. Zamknięci w przeszłości – jeden był kochany za bar-



Znakomity jak zawsze Andrzej Warcaba jako Elling i równie doskonały Wiesław Kupczak w roli Kjella Bjarne.

Walka o zwykłe życie

TEATR

dzo, zaborcza miłość matki nie pozwoliła mu dorosnąć, drugi miłości nie zaznał wcale. Tak źle i tak niedobrze... Dostają szansę w ramach specjalnego programu resocjalizacyjnego. Inaczej mówiąc mogą wrócić do normalności, pokonać lęki i zacząć żyć na własny rachunek. Otrzymują wyposażone mieszkanie na start i opiekę (dla jednego z nich to bariera nie do pokonania, dla drugiego już nie). Myślimy, że nic ich nie rozłączy, a jednak... Walczą o swoje miejsce w społeczeństwie na różne sposoby, jeden z nich wygrywa – ale do końca nie wiadomo czy na pewno? To, że główni bohaterowie sztuki zdobywają naszą sympatię jest zasługą koncertowej gry aktorów i tego, że czasami odkrywamy u nich nasze głęboko skrywane kompleksy, pragnienia, marzenia i lęki, do których nigdy się nie przyznamy. Znakomity jak zawsze Andrzej Warcaba jako Elling wszystkiego się boi, nawet telefonu. Strach go paraliżuje i chociaż mamy wrażenie, że jest o niebo sprawniejszy intelektualnie od przyjaciela, to jednak tumanowaty Kjell Bjarne (równie doskonały Wiesław Kupczak) zaopiekuje się jak prawdziwy mężczyzna ciężarną dziewczyną: *Znaleźliśmy ją na schodach / włosy / Czarne krucze skrzydło uderzało jak / podmuch wiatru / o brudne linoleum / Położyliśmy ją na łóżku / i zobaczyliśmy, / że za sprawą aniołów jest brzemienna...*

Elling trafi do poetyckiego klubu, ale czy zostanie poetą? Obserwuje i opisuje życie, jednak normalnie zmierzyć się z nim już nie umie, tkwiąca w nim dziecko nie poddaje się... Kjell, choć także potwornie się lęka, to tkwiąca w nim ciekawość przewycięży strach. Zdobywa szansę na powrót do normalności – ale czy wróci mając obok siebie nieodpowiedzialną i nie zrównoważoną osobę? Mnóstwo pytań, mało odpowiedzi... I o to chodzi

Fot. Krzysztof Lisiał

w dobrym przedstawieniu, by po wyjściu z teatru kombinować, a nie wypić piwo i zapomnieć. Świetnym aktorem partnerują Natalia Jesionowska i Karina Grabowska. Jesionowska jako Gunn, Frank(a) – to pozbawiona uczuć pielęgniarka z „hotelu wysokogórskiego” (tak Elling nazywa zakład opiekuńczy) a także opiekunka socjalna, mająca z założenia pomagać ale zdecydowanie bardziej woli kontrolować ich poczynania na wolności... Ładna rola, konsekwentnie w obu wcieleniach aktorka nie budzi sympatii i chociaż zapewne ma własne trudne problemy do rozwiązania nie współczujemy jej. Strach się bać... Oj, nie lubi ona swojej pracy. Skąd my to znamy? Grabowska (Reidun, Kelnerka) mniej przekonuje do swoich racji, chyba nie wierzy w to, że pokochała albo może raczej pokocha Kjella i stworzy z nim prawdziwy dom. Myślę, że autor powieści wierzył jednak w przemianę swojego bohatera. Nie znoszącym sprzeciwu, ale i niebezpiecznie seksownym Glosem zza kulis jest Ewa Leśniak.

Szczere gratulacje należą się za scenografię i kostiumy. Młode dziewczyny: Natalia Sieradzon, Kamila Strzeszewska i Katarzyna Wieczorek wywiązały się ze swojej pracy na medal. Prostymi (i jak sadzę niedrogimi) środkami genialnie zagospodarowały scenę, która według potrzeb zmieniała przedstawiany świat drobnymi przesunięciami i światłem – plastycznie bez zarzutu. Wielkie brawa dla Justyny Święs i Jakuba Karasia (The Dumplings) za muzykę. O tych artystach usłyszymy jeszcze nieraz!

Swoim mecenasem projekt Teatru Śląskiego, o nienajlepiej brzmiącej nazwie KatoDebiut, objął jeden z banków i chwalił mu za to. Młodzi dostali kasę na realizację marzeń i artystycznych ambicji, teatr uspokoił swoje sumienie względem młodych twórców, widownia została obdarowana pięknymi weneckimi maskami, a Scena w Malarni zyskała szlachetną w treści i formie pozycję w repertuarze.

Błąd w nazwisku autora wydrukowany w graficznie wybornym programie nie świadczy najlepiej o jego redaktorze, niestety.

WITOLD KOCIŃSKI

Elling – według powieści Ingvara Ambjørnsena, adaptacja – Axel Hellstenius, przekład – Halina Thylwe, premiera w ramach projektu KatoDebiut, reżyseria – Michał Wawrzcki, scenografia i kostiumy – Natalia Sieradzon, Kamila Strzeszewska, Katarzyna Wieczorek, muzyka – The Dumplings (Justyna Święs i Jakub Karas). Opieka artystyczna nad KatoDebiutem: Beata Dżianowicz i Grzegorz Kempinsky. Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, Scena w Malarni, premiera – 30 maja 2014 r.

Teatr Polski w Bielsku-Białej wystawił pierwszy w swej historii musical. „Zorbę” z librettem Josepha Steina, muzyką Johna Kandra i piosenkami Freda Ebba wyreżyserował dyrektor tej sceny Witold Mazurkiewicz. Dla bielszczań widowisko to jest niewątpliwie wydarzeniem sezonu.

Czy przebiję się na szersze wody? Czas pokaże. Nie mam wątpliwości, że na pewno warto pojechać do grodu nad rzeką Białą i zobaczyć tę produkcję.

Witold Mazurkiewicz, reżyserując musical „Zorba”, postawił silny akcent na jednym z pobocznych wątków powieści Nikosa Kazantzakisa „Grek Zorba”, która stała się jego inspiracją. Uwypuklił mianowicie konflikt między zamkniętą społecznością kreteńskiego miasteczka, a przybyszami z zewnątrz, jakimi są *Niko*, *Zorba* i *Hortensja*. Niewątpliwie cieszyńskie rozróżnienie na tych „z tela” i „nie z tela”, śląskie na hanysów i goroli czy bielskie podkreślenie odrębnej tożsamości, odcinającej się od śląskich korzeni, wszystko to znajduje dobry podkład do podkreślenia tego konfliktu. Scena, w której dochodzi do mordu nieakceptowanej w społeczności *Wdowy*, w którą wcieliła się Marta Gzowska-Sawicka, jest jedną z najbardziej wstrząsających scen tego przedstawienia, podobnie jak scena śmierci *Hortensji* (granej przez Grażynę Bułkę), na której odejście czekają jak sępy kobiety z miasteczka, by, gdy tylko wyzionie ducha, wydrzeć spod jej głowy poduszkę i rozszarpać jej skromny majątek.

Musical jest jednak przede wszystkim historią spotkania *Zorby* – włóczęgi, pogodnego cwaniaczka o bujnej przeszłości, który bez względu na to, co niesie mu życie, potrafi cieszyć się nim i czerpać przyjemność z każdej, nawet trudnej chwili – z *Nikiem* – Anglikiem, pisarzem i wielbicielem filozofii, który odziedziczył w spadku starą kopalnię węgla brunatnego na Krecie i postanawia zmierzyć się z nowym wyzwaniem, jakim jest jej ponowne uruchomienie. Hedonizm starego, doświadczonego życiem *Zorby* i jego witalność kontrastują z angielską flegmą *Nika* i jego – jak się wydaje – niewzruszonymi zasadami moralnymi. *Zorba* staje się przewodnikiem młodego *Niko*, który wprowadza go w greckie realia, a jednocześnie uczy swego pryncypała (*Zorba* zostaje nadzorcą kopalni) sztuki cieszenia się życiem. Nieustannie manifestuje swą wolność, nieokielznany indywidualizm jest jego wizytówką, a w momentach silnych



Urzeka plastyczna wizja spektaklu – nie brak w nim pięknie skomponowanych zbiorowych scen, rozgrywających się na kilku planach, nad którymi góruje, w zależności od pory dnia i nocy, świecąca tarcza słońca lub księżycy.

Chwytaj dzień – ciesz się chwilą!

TEATR

wzruszeń – choć jest niespożyтым w siłach gadułą – nie potrafiąc znaleźć odpowiednich do takiej sytuacji słów, tańczy, wyrażając ruchem i gestem swój zachwyt, cierpienie, radość i ból. Tomasz Lorek jako *Zorba* stworzył wspaniałą kreację. Charakteryzacja nieco postarzała tego aktora (zgodnie z powieściowym opisem bohatera), ale nie zabrała mu żywioowości, która wręcz zawłaszcza scenę i przykuwa od pierwszej do ostatniej chwili uwagę widza. Nikt nie ma wątpliwości, że jego *Zorba* jest królem życia. W kontraście do niego jest *Niko* Rafała Sawickiego, który wnosi do tej wydawałoby się nieco sztywnej i dystyngowanej postaci wiele ciepła i liryki. Fantastyczną rolę zagrała Bożena Bułka jako *Hortensja* – *Bubulina*, spragniona miłości stara kokota, która mimo swej profesji zachowała dziewczęcą naiwność i marzenia – sceny z jej udziałem na początku skrzą się od humoru, by pod koniec opowieści dotknąć najczulszych strun tragizmu.



Tomasz Lorek stworzył wspaniałą kreację... nikt nie ma wątpliwości, że jego Zorba jest królem życia.

Na scenie podziwiamy udany mariaż gwiazd bielskiego teatru i młodzieży – absolwentów i studentów Wydziału Teatru Tańca w Bytomiu. Jeśli chodzi o tych pierwszych, to aż trudno uwierzyć w to, że są to aktorzy, którzy do tej pory specjalizowali się w gatunkach właściwych dla teatru dramatycznego – niewątpliwie musieli wiele wysiłku włożyć w przygotowanie ról, które wymagają ponad przeciętnych umiejętności wokalnych i tanecznych, ale efekt ich pracy jest świetny. Niczym nie odbiegają od Wioletty Malchar – jakby nie było musicalowej aktorki chorzowskiego Teatru Rozrywki – która w „Zorbie” śpiewa partię *Losu*. Młodzi tancerze udowadniają natomiast, że ziarno niegdyś posiane w Bytomiu przez Jacka Łumińskiego, pięknie wzrosło i już wydaje znakomite owoce. Na szczególną pochwałę zasługuje choreografia

Jakuba Lewandowskiego, dzięki której nie tylko taniec *Zorba* niesie w sobie ideę „Carpe diem!”, ale i każda ze scen ma znakomicie zaplanowany ruch sceniczny. Urzeka też plastyczna wizja spektaklu – nie brak w nim pięknie skomponowanych zbiorowych scen, rozgrywających się na kilku planach, nad którymi góruje, w zależności od pory dnia i nocy, świecąca tarcza słońca lub księżycy.

Wystawienie „Zorby” w epoce mody na taniec (za sprawą telewizyjnych programów, typu „Taniec z gwiazdami”), ale też w czasie, gdy nie przebrzmiały jeszcze echa kryzysu ekonomicznego w Grecji, których pokłosiem są dowcipy o „pracowitości” nacji z Hellady i rady w stylu „zaadoptuj sobie Greka”, jest niewątpliwie dobrym pomysłem. Przecież „Zorba” to pochwała radości życia, to przypomnienie o tym, że trzeba się cieszyć życiem, póki można, bo jego nic w każdej chwili może przerwać śmierć.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

Zorba, musical w 2 aktach. Libretto Josepha Steina, według powieści Nikosa Kazantzakisa „Grek Zorba”, muzyka John Kander, teksty piosenek Fred Ebb, tłumaczenie libretta Antoni Marianowicz, tłumaczenie tekstów piosenek Janusz Minkiewicz. Reżyseria Witold Mazurkiewicz, choreografia Jakub Lewandowski, scenografia Grzegorz Polciński, kostiumy Izabela Wądołowska, kierownik muzyczny Krzysztof Maciejowski, reżyseria świata Maciej Imielski, projekcja multimedialna Bartłomiej Kubica i Janusz Legoń. Premiera w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej 14 marca 2014 r.



Kopciuszek – baletowa premiera w Operze Śląskiej

24 i 26 maja odbyły się w Bytomiu i Katowicach premierowe spektakle baletu *Kopciuszek* z muzyką Prokofiewa, przygotowanego przez zespół Opery Śląskiej. To już drugi – po *Romeo i Julii* – balet z muzyką tego kompozytora, który trafił do repertuaru bytomskiej sceny – aż po dwudziestu latach nieobecności. Kierownictwo muzyczne premiery sprawował Krzysztof Dziewięcki, nad stroną reżyserską i choreografią czuwała Anna Majer, scenografię opracowała Małgorzata Słoniowska. Zespół baletowy Opery Śląskiej pracował pod kierownictwem Olgi Kozimali-Kliś. Uroczy, barwny spektakl stanowi od strony koncepcji reżyserskiej połączenie tradycyjnej treści bajki z dyskretnym przekazem na temat naszej współczesności. Wśród postaci zaczerpniętych z opowieści Charlesa Perraulta zjawiają się zatem bohaterowie współczesnej popkultury i związane z nią rekwizyty – przyrodnie siostry *Kopciuszka Klara* i *Lena* korzystają z telefonu i laptopa, przygotowanie strojów na bal u *Księcia* przybiera formę pokazu mody, z urodzinowego tortu, którym obdarowano na balu *Maksa* (w tym spekta-

klu nie jest on księciem, tylko biznesmem), wyskakuje seksowny różowy króliczek, a poszukiwania tytułowej bohaterki odbywają się w scenerii nowoczesnej metropolii oraz w egzotycznym wypoczynkowym kurorcie. Jedyne finał odbywa się „tu i wszędzie”, na wymyślonej łące, na której scenograf zasadził olbrzymie plastikowe słoneczniki. Temu polistylistycznemu ujęciu odpowiada choreografia, łącząca elementy tańca klasycznego i nowoczesnego. Ten ostatni bywa dodatkiem służącym nadaniu akcji określonego kolorytu (w pewnym momencie zjawiają się np. na scenie młodzieńcy tańczący hip-hop), ale zasadniczo jest zintegrowany z klasyką, co widz nie znający zasad tańca klasycznego może poznać po tym, że tancerze często tarzają się po podłodze. Twórcom spektaklu udało się stworzyć postacie o czytelnym, wyostrowanym charakterach. *Macocha* jest wręcz agresywna, *Kopciuszek* należycie zdolowany, przyrodnie siostry to współczesne wielkomięjskie lalki nie grzeszące wy-

obraźnią i inteligencją. Tylko *Maks* nie otrzymał osobistej charakterystyki – jego rolą w tym baletcie jest głównie podnoszenie czołowej tancerki, co zresztą ściśle współgra z poetyką romantycznego baletu, w którym mężczyzna, wbrew najświętszej baletowej tradycji wywodzącej się z tańca dworskiego, został właśnie zdegradowany do roli podnoszącego ciężary – to ona, tancerka otrzymała pointy i zwiewną tutu, za pomocą których wywołuje wrażenie wznoszenia się ponad ziemię...

Dużo dobrego można powiedzieć o stronie muzycznej spektaklu. Dobrze zgrana orkiestra włożyła w wykonanie ekspresyjnych Prokofiewowskich melodii wiele serca. Kulminacyjny walc zabrzmiał doprawdy imponująco. Na premierowym spektaklu katowickim było sporo rodzin z dziećmi. Bawiono się świetnie, i na widowni, i w teatralnym bufecie, gdzie podano w antrakcie świetne ciasto czekoladowe z kremem.



Zdjęcia: Fotoedukacja

W kwietniu tego roku minęła 10. rocznica śmierci wybitnego śląskiego etnomuzykologa Adolfa Dygacza, a 23 lipca upłynęło równe sto lat od dnia jego urodzin. W ciągu swego czynnego życia zebrał on imponującą liczbę 16 tysięcy pieśni ludowych z Górnego Śląska i Zagłębia (to więcej, niż liczą sobie wszystkie dotąd wydane tomy *Ludu* Kolberga – tam jest pieśni ok. 12 tysięcy!). Powszechnie znane i cenione są zbiory Dygacza, zawierające publikacje tych pieśni: *Śląskie pieśni powstańcze 1919–1921* (1958), *Pieśni górnicze* (1960), *Rzeka Odra w polskiej pieśni ludowej* (1966), *Pieśni ludowe miasta Katowic* (1987) i in. Żaden region w Polsce nie może się pochwalić tak bogatą dokumentacją, jeśli idzie o folklor wiejski, a także miejski – w tym przede wszystkim robotniczy. Kierunek badań folklorystycznych Adolfa Dygacza spełniał oczywiście określone oczekiwania związane z atmosferą polityczną poszczególnych dekad. Wszak zebrane przez niego pieśni służyły dokumentacji tak fundamentalnych w Polsce II połowy XX wieku spraw, jak polskość Górnego Śląska, piastowski rodowód Ziemi Zachodnich, narodowa i ideologiczna świadomość śląskiej i zagłębiowskiej klasy robotniczej. Do monumentalnego zbioru folklorystycznego Dygacza stosuje się w pełni łacińskie przysłowie *habent sua fata libelli* – książki mają swoje losy. Najdziwniejszy był ten, który spotkał pieśń powstańczą *Kajześ mi się podziół mój syneczku miły*. Na początku lat 70. „oprawiała”, jako popisowa pozycja Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, oficjalne śląskie uroczystości, w wykonaniu Anny German uświetniła otwarcie katowickiego Spodka, a w 1976 roku stała się częścią słynnej *Symfonii pieśni żałobnych* Henryka Mikołaja Góreckiego, jednego z pierwszych dzieł wpisujących się w nowy kanon polskiej muzyki narodowej, który w pełni wykształcił się w okresie „Solidarności”.

Gdy spojrzeć wstecz na nowożytny europejski folklorizm, uwidatnia się jego permanentne upolitycznienie. U źródeł wysiłków pokoleń zbieraczy pieśni (a także tych, którzy je... wymyślali, jak Vacláv Hanka,



Fot. Arch.

10. rocznica śmierci Adolfa Dygacza

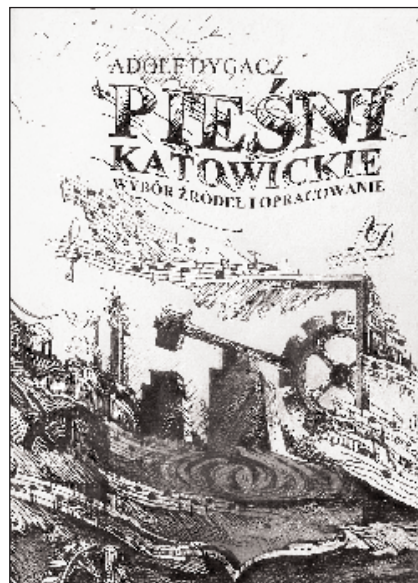
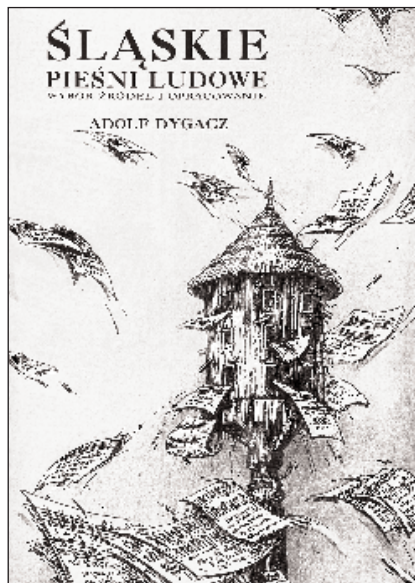
autor słynnego apokryfu *Rękopis królowej*) leżała wszak zawsze określona wizja ludowej kultury – w przypadku Europy Środkowej była to oczywiście wizja kultury narodowej, opierającej się germanizmowi, itd. A propos wymyślania pieśni – dziś patrzmy na ten proceder z respektem. Wszak „tradycja wytworzona” to w naszych czasach co najmniej równoważnik tej „zachowanej”.

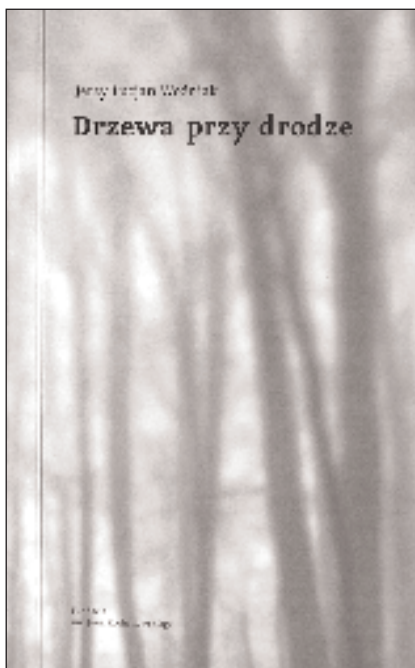
Adolf Dygacz był oczywiście nie tylko folklorystą. Z wykształcenia muzyk i praw-

nik, świetnie odnajdywał się w pracy pedagogicznej organizatorskiej. Był związany z kilkoma uczelniami muzycznymi (najdłużej – z katowicką PWSM oraz cieszyńskim Instytutem Wychowania Muzycznego UŚ, gdzie m.in. szefował Katedrze Teorii i Folklorystyki Muzycznej). Wychował kolejne pokolenie śląskich folklorystów – pod jego kierunkiem obroniły doktoraty m.in. Jadwiga Bobrowska i Krystyna Turek, podejmując dalej dzieło Profesora – prowadząc badania nad śląskim folklorem muzycznym (Krystyna Turek) oraz śladami ludowych praktyk muzycznych i repertuaru w literaturze staropolskiej (Jadwiga Bobrowska). W trakcie półwiekowej pracy w uczelniach doprowadził także Dygacz do powstania dziesiątek prac magisterskich, których autorzy podejmowali cenne tematy związane z dokumentowaniem lokalnych kultur muzycznych, nie tylko ludowych. Olbrzymią popularność przyniosła Adolfowi Dygaczowi cykliczna audycja radiowa *Z teki folklorystycznej Adolfa Dygacza*, nadawana na antenie ogólnopolskiej w latach 1969–1976. Wcześniej, będąc jeszcze w trakcie studiów (1947) podjął działalność recenzencką i publicystyczną. W „Trybunie Robotniczej” ukazało się w latach 1947–1969 ponad 2000 recenzji muzycznych jego autorstwa. Spuścizna ta oczekuje na uporządkowanie i wydanie, podobnie zresztą jak korespondencja i inne dokumenty, w tym nagrania zebranych pieśni, które jeszcze, o ile mi wiadomo, nie opuściły rodzinnego archiwum.

Adolf Dygacz, jakim go zapamiętałam, jako początkujący pedagog Filii UŚ w Cieszynie, był niezwykle sprawny i ruchliwy, a przy tym pogodny. Uwielbiał żartować, lubił pomagać ludziom. Nas, młodych wykładowców zachęcał do pisania, wyszukiwał tematy, proponował badania, organizował konferencje i przeróżne spotkania, doprowadzał do wydania każdej pracy, w której ujrzał coś wartościowego. Tworzenie wiedzy o Śląsku było jego pasją. I na szczęście coś w nas z tej pasji zostało.

MAGDALENA DZIADEK





Jerzy Lucjan Woźniak: *Drzewa przy drodze*. Fundacja im. Jana Kochanowskiego. Sosnowiec 2014, s. 118.

Plecami poczujesz ziemię

Nie ma chyba na świecie poety, który po wydaniu kilku książek nie pokusiłby się o opublikowanie zbioru wierszy zebranych, traktując ich edycję jako podsumowanie własnego twórczego żywota. Pragnienie to nieobce było i Jerzemu Lucjanowi Woźniakowi, bo właśnie otrzymaliśmy wybór jego wierszy *Drzewa przy drodze*, który ukazał się w Sosnowcu w 2014 roku nakładem Fundacji im. Jana Kochanowskiego. W książce znalazło się po kilka utworów z jego ośmiu zbiorów, począwszy od debiutanckiego *Pod skórą* (1991) po tomik *Slimak na asfalcie* (2009). Uznane przez poetę za najbardziej reprezentatywne dla jego twórczości albo cieszące się największym sentymentem autora i umieszczone w wyborze wiersze siłą rzeczy stały się materiałem do poszukiwania cech charakterystycznych poezji Jerzego Lucjana Woźniaka.

Uderzająca może być dojrzałość tych tekstów, co wynika zapewne

z późnego debiutu autora. Urodzony w 1939 roku w prasie opublikował pierwszy wiersz w wieku 44 lat. Pierwszy zbiorek wydał, gdy miał 52 lata. Nie znamy zatem jego wierszy młodzieńczych, być może pełnych buntu, ale to tylko domniemanie, bo nie ma reguły łączącej te dwie cechy. Na pewno można stwierdzić, że poecie obce było i jest poszukiwanie nowatorskiej formuły. We wszystkich utworach stroni od lingwistycznych gier, rozbijania struktur języka. Raczej akceptuje tradycyjną wersyfikację wolnego wiersza słupkowego, w którym wyznacznikiem poetyckości są pulchrystyczne przenośnie czy – budujące oryginalne piękno mowy – porównania.

Towarzyszą temu gorzkie konstatacje. Już w wierszu *Hartowanie*, pochodzącym z debiutanckiego tomiku, pojawia się refleksja, coś na kształt wypływającego z rozgoryczenia podsumowania dotychczasowego życia, ale przewyciężonego optymistycznym wyborem, który nakazywał podmiotowi lirycznemu mądrzej żyć „nawet w listopadowy deszcz / znajdując radość za oknem”.

Dlatego tak dużo, zwłaszcza w pierwszych zbiorach, afirmacji nijakiej egzystencji, którą ubarwia poszukiwanie kobiecego ideału – widać niespełnione, bo poeta pisze: „pod czerwienią mojego serca / jasnowłosa dziewczyna / nigdy dotąd nie odnaleziona”. Ale mamy i opisy fizykalnego, psychicznego oraz duchowego zadowolenia podmiotu lirycznego (alter ego poety), wynikające z kontaktu z kobietą. Jednak już kilka wersów dalej można natknąć się na strofy zaprzeczające miłosnej nirwanie, mimo to pełne akceptacji: „za moje kobiety zapłaciłem samotnością / inne wysokie ceny / ale to przecież one przez świat mnie wiodły / podniosły do światła / z nich piłem radość i źródłana wodę”.

Właśnie ów ujawniony w wierszu *O moich kobietach* motyw światła, jasności to jeden z bardziej zauważalnych wątków przewijających się przez większość utworów Woźniaka zamieszczonych w recenzowanym tomie. Światłość opisywana jest nie tylko w miłosnym kontekście. To byt wszechobecny w każdym momencie życia, podczas kontaktu z przyrodą, poznawaniu własnego ciała, rozważaniach dotyczących przemijającego czasu. Jasność nie ma charakteru wyłącznie przyrodniczego, nie jest tylko słonecznym promieniowaniem, z którym podmiot liryczny spotyka się na łonie natury, na górskich zboczach czy pośród leśnych drzew. Potraktowana jest także jako byt z zaświatów, duch sprawczy życia, do którego radośnie i z czcią zmierza człowiek. Może być poezją, która „płynie we mnie każdej chwili / jakimś żywym świa-

łem”, ale i transcendentnym bytem istniejącym po śmierci człowieka: „umierał też nietypowo / z szeptem wchodził w niebyt / długo trzymając się światła”.

Jakby dla równowagi sięga poeta także po deskrypcje somatyczne. Nie brak opisów kobiecych ud i ramion, nacechowanych erotycznie obrazów nagoci. Szczególnie dużo – dość odważnych – skojarzeń cielesnych pojawia się w wierszach miłosnych, których całkiem sporo w wyborze wierszy Woźniaka, jakby autor chciał pozostawić – niczym odbicie w kamieniu – poetycki ślad po licznych trafieniach jego serca strażą Amora. Pojawiają się w jego strofach płyny fizjologiczne: pot i zwłaszcza krew – przejaw życia i objawienie emocji: „wtargnę w ciebie / przez wilgotną różę ud / rozranie miłośnie chętne wnętrze / tak cię uzależnię / drząc ogarniesz ustami / gorące i różowe / moje tętno”.

Równocześnie natrętna świadomość upływającego czasu, przemijania życia, starzenia się ciała i umysłu, obecna w wierszach, narzuca poecie częściej pisanie o płaczu i cierpieniu, o pożegnaniach ostatecznych z bliskimi mu ludźmi niż o radości obcowania z naturą. Do takich liryków radosnych, pełnych pokrzepienia należą na pewno te o górskich wyprawach. Alter ego poety w cyklu wierszy tatrzańskich raduje się z widoku szczytów, skał, dolin. Przepelniony panteistycznym uniesieniem – i wspomnianym już światłem – nawet w przemijaniu świata dostrzega trwałość turni, potoków i powietrza. Rodzi się w nim wiara w przetrwanie zachwyty górami w kolejnych pokoleniach, a tym samym ocalenie jego jednostkowych, egzystencjalnych przeżyć:

każde przeżycie
ma tutaj stukrotną wartość
i syn
i wnuk
i prawnuk –
pomyślał to samo
to jest również
trwałość pokoleń

Wartość poetycką górskich liryków Woźniaka docenili już zresztą autorzy tatrzańskich antologii, zamieszczając niektóre z nich w szandarowym wyborze *Tatry i poeci*. Ma zatem autor – podsumowując w omawianym tomie własny liryczny żywot – choćby tylko ten jeden powód do zadowolenia. Trafił pomiędzy dzieła klasyków opiewających tatrzańskie otchłanne przepaście. Jednak myliłby się ten, kto sądziłby, że twórca na tym poprzestał. Wkrótce bowiem ukaże się kolejny zbiorek jego wierszy *Cieżar cienia*, który chyba nie zmieni ustalonej już opinii o jego poezji.

RYSZARD BEDNARCZYK

Po kilku latach poetyckiego wyciszenia ks. J. Szymik proponuje czytelnikowi nowe liryczne zamyslenia nad tajemnicą człowieczego życia, jego marzeń, pragnień, przemijania i trwania w czasie, ale także pochyla się wnikliwie, z ogromną troską nad stanem jego kondycji egzystencjalnej w skomplikowanym świecie współczesnej rzeczywistości.

Opublikowany w maju tomik zawiera wiersze z lat 2009-2014. W kilku częściach poeta proponuje spotkanie w słowie, intensywny i niezwykle „mocny” dialog o rzeczach najważniejszych i ostatecznych, które obserwuje i rozumie jako „widzący”, czyli ten, kto „w każdej sprawie” pokłada ufność w Nim, co dobitnie wyraża w puencie wiersza *już to wiem; wiem to już*: „Bóg jedynie Bóg, nikt inny, ja też nie. Wiem to już”. Jedynie Bóg obdarza łaską wiary i „widzenia”. Podobnie jak w poprzednich zbiorach autor nie stroni od sensualnego doświadczania rzeczywistości, konsekwentnie jak to czynił dotąd poprzez obrazy, zapachy i dźwięki. Maluje postrzegane wzrokowo obrazy (barwy, osoby, sytuacje, świat fauny i flory) ze skrupulatnością soczewki rejestruje, zatrzymuje w czasie i ożywia przeszłość i jej mieszkańców: portrety, wydarzenia właśnie się dziejące oraz te dawno minione, które przywołuje oczami wyobraźni, aby je ponownie przywrócić pamięci, zrozumieć sens, by ostatecznie uświadomić sobie ich ciągłość, logiczne trwanie i konsekwencje dla teraźniejszości.

W wierszu *Pradziadek Teodor* jest wszystko, co najlepsze w tej, powiedzmy, kategorii wierszy, opowiadających o relacji między dziejami a współczesnością, z silnym odcieniem autentycznego patriotyzmu i łączności międzypokoleniowej, owego „bycia z nich”. Najpierw odbywamy podróż w przeszłość, znajdując się w konkretnym miejscu geograficznym („To było sto lat temu./W Eigen, dzielnicy Bottrop”), następnie filmowa soczewka rejestruje: wyłania się „tu i teraz” postać bohatera („mój pradziadek Teodor idzie”), wreszcie w kolejnym kadrze ujawnia się powód przywołania owego wydarzenia – 3 maja, biało-czerwona flaga, „pochód-procesja”, po to, by ostatecznie ogarnąć refleksją (z nutą gorzkiej ironii) ciągłość czasową i pewną wspólnotę trwania:

Tamtego 3 maja do Teodora nikt (...) nie strzela, ale wiadomo, wtedy i dziś, że iść w procesji Polaków i katolików znaczy iść drogą donikąd (...)

Jednak tym, co najbardziej łączy minione z teraźniejszym, jest tradycja wiary, to ona stanowi medium komunikacji:

(...) Przyglądamy się sobie z dwóch stron czasu, z rosnącym zrozumieniem.

Wiele mamy sobie do powiedzenia (...)

Czasem w liryce ks. Szymika próba zrozumienia własnej historii, losów tych, którzy byli przed nami, bywa dobrym i skutecznym pretekstem do tego, by mówić o dniu dzisiejszym, o naszym czasie. Mamy do czynienia z cierpliwym i wiernym poszukiwaniem prawdy, opartym na przejmującym doświadczeniu własnego życia, świata i czasu *hic et nunc*.

W wielu utworach poeta odwołuje się do metafory „patrzenia”, „widzenia”, „ogłędania” jako swego rodzaju „poszerzania du-

szy”. Myśli św. św. Benedykta i Grzegorza oraz teologiczna refleksja J. Ratzingera-Benedykta XVI zdają się tu pobrzmiwać literacko przetworzonym i poetycko wysublimowanym echem. Benedykt XVI owo „widzenie świata jako całości poszerzoną duszą” uzależniał od „odwagi i pokory patrzności”, dalej „od cierpliwości i zgody na głębię rzeczy większą niż pozwala doświadczyć poznanie zredukowane do zwykłej empirii”. A Szymik?

W tym miejscu trzeba wskazać na jeszcze jedną kluczową kwestię, jakże żywo obecną w całym dorobku ks. Szymika, która daje się sformułować w postaci prostego pytania: „czym jest i jaką rolę pełni literatura?”.

W zbiorze *Teologia i my* autor z pełnym przekonaniem powtarza: „Jestem zwolennikiem traktowania literatury jako sejsmografu, który świetnie pokazuje drgania naszej wrażliwości duchowej, stan intelektualny, moralny naszego świata”. W poetyckich poszukiwaniach podąża Szymik ścieżkami wytyczonymi przez Cz. Miłosza, wsłuchując się podobnie jak on w dźwięki płynące z powierzchni ziemi, zwłaszcza w te najcichsze i najsubtelniejsze, które wymagają skupienia, intuicji i szczególnie rodzaju duchowej i artystycznej wrażliwości. W *Ars poetica nova* czytamy:

Wiersze wolno pisać rzadko, niechętnie, z dobrymi duchami w tle i u źródła; znamy ten tekst, popieramy Miłosza, jesteśmy za.

Ale też wolno je pisać w ciepłe wieczory jedynie; najlepiej za morzem, daleko, kiedy zachwyty i ból tworzą równowagę, która staje się praktycznie niewyraźna a z którą nasz wiersz musi się zmierzyć

I czasami zdarza się cud: równowaga się łamie pod ciężarem słowa, pod nami, jak lód.

Przez materię wiersza obcujemy z tajemnicą, w pobliżu której powinna sytuować się sztuka, o ile pragnie unieść ciężar słowa zbliżającego do tajemnicy niewyraźności, do Logosu. Naturalną konsekwencją jest szczególna dbałość o gatunek, o formę. Jeżeli bowiem ułomne i kruche ludzkie słowo chce dotykać tajemnicy Logosu, to musi wyrastać z ciszy i harmonii wewnętrznej, a także z czegoś „ponadto”, co tkwi źródłowo w rzeczywistości transcendentnej:

(...) Milknę więc. Szukam jedynie rymu, rytmu, puenty. Resztę zostawiam milczeniu i słowu Boga.

Ufam Mu. Że jest i jest Bogiem.

Wiara jest szczególnym sposobem doświadczenia siebie i innych na drodze dialogu. Sięgając po Tischnerowską metaforę filozofii dramatu, można powiedzieć, że Szymik-poeta widzi i czuje scenę, na której rozgrywa się dramat codzienności człowieka, dotyka jej i słyszy dźwięki, które dochodzą również z oddali, z czasu minionego.

Na zakończenie poświęćmy uwagę tytułowi. *Hilasterion*. Pojęcie o wielkim ciężarze znaczenia i ukrytych pokładach treści. Tytuł zbioru, tytuł wiersza inicjującego ca-

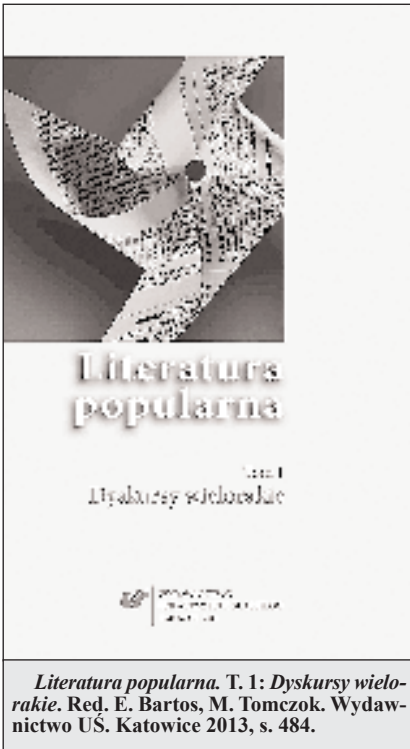


Jerzy Szymik: *Hilasterion. Wiersze z lat 2009–2014*. Księgarnia św. Jacka. Katowice 2014, s. 104

Hilasterion. Logos, prawda, piękno i opowieść o człowieku swojego czasu

łość niczym jedno wielkie i pojemne motto, tytuł mini-eseju... Czym jest *Hilasterion*? „Cudowne słowo – hilasterion – prawda?” – powiada ks. Szymik – „Przeczytajcie pógłosem, posłuchajcie harmonii tych dźwięków: hilasterion. Jakaż w tym słowie muzyka, jakie piękno, jaka siła” („GN” 2012). *Hilasterion* to pojęcie biblijne i teologiczne, to „przebłagalnia”, wieko przykrywające Arkę Przymierza, obrzędowo skrapiane krwią ofiarniczą, to Syn – „jak wdowi grosz wobec dzikich fortun. Umilowany Boga”, wreszcie to „punkt styczności Boga i człowieka”, „miejsce tajemniczej obecności Najwyższego”, „rzeczywistość najstrasliwiej okrutna i zarazem Boska”. *Hilasterion* delikatną nicią wiąże i warunkuje harmonię wszystkich poetyckich obrazów, wyrasta bowiem z żywiołu tajemnicy Wcielonego Słowa. Nie mam wątpliwości, że podarowano nam wiersze pełne życia, ekspresji, wiersze dynamiczne, mocne i silne słowem, w których tętni życie Słowa.

ALEKSANDRA PETHE



Literatura popularna. T. 1: Dyskursy wielorakie. Red. E. Bartos, M. Tomczok. Wydawnictwo UŚ. Katowice 2013, s. 484.

Wyzyny „popularnej”

Pierwszy tom serii *Literatura popularna* nosi tytuł *Dyskursy wielorakie* i jest zbiorem 23 szkiców. Stanowi bogaty przegląd utworów, portretów autorów oraz zjawisk literackich. Redaktorki wyjaśniają: „Badaczom, których teksty znalazły się w tomie, towarzyszył zamysł sortowania, układania, porządkowania, polerowania i przywracania do życia zmurszałych tekstów literatury, po które dzisiaj sięgamy mniej chętnie lub rzadziej niż czytelnicy, dzięki którym polskie powieści z międzywojnia, PRL i współczesności otrzymały miano bestsellerów”.

W książce znajdujemy m.in. szkic Doroty Wojdy o kultowych *Przygodach Pana Samochodzika* Zbigniewa Nienackiego. Krytyczka nie dokonała w nim jednak szerszego omówienia fenomenu, powodującego tak wielką popularność serii powieści, ale – spoglądając z nieco innej perspektywy – przed-

stawiła zawartą w nich PRL-owską koncepcję Ziem Odzyskanych, stawiając w ten sposób najgłośniejsze dzieła Nienackiego w nowym świetle. Badaczka dostrzegła w tej literaturze przede wszystkim wypowiedzi o charakterze performatywnym i perswazyjnym. Zwróciła uwagę na wykorzystanie przez Nienackiego w historiach o szalonym Panu Samochodziku wyrażeń mających swoje źródło, niestety, w języku propagandy, podporządkowanym interesom władzy radzieckiej, o czym ówczesni czytelnicy, wierni fani tej twórczości nawet nie pomyśleli. Postawiła tezę, że prozaik w swoich książkach, których nakład przekraczał nieraz 100 tysięcy egzemplarzy, konstruując ideologiczne wizje, manipulował odbiorcami, wpływał na tożsamość narodową i jej przemiany.

Mówiąc o bestsellerach, nie sposób nie wspomnieć, szczególnie w śląskim środowisku, o pisarstwie dla młodzieży Alfreda Szklarskiego, który za sprawą artykułu Elżbiety Dutki również znalazł swoje miejsce w monografii. Badaczka w swoim tekście pochyliła się nie tylko nad popularnością do dzisiaj wznawianej prozy podróżniczo-przygodowej, przypominając cykl o przygodach Tomka Wilmowskiego, ale także dostrzegła w tej twórczości swoistą grę egzotyizmu i swojskości, konsekwentnie stanowiącą ją charakterystyczną cechą twórczości Szklarskiego.

Inne, bardzo dobrze znane czytelnikom literatury nazwiska twórców, które pojawiły się w monografii, to Antoni Słonimski, Waldemar Łysiak i Henryk Sienkiewicz. Pisarstwem Henryka Sienkiewicza zajęła się Anna Szawerna-Dyrszka. Badaczka spojrzała na jego twórczość oczami Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza oraz Stanisława Brzozowskiego. Szkic rozpoczęła słowami Antoniego Słonimskiego: „Bardzo proszę pamiętać, że ja byłem przeciw”, ukierunkowując w ten sposób charakter swoich rozważań. Przeczytamy tutaj, że „Sienkiewicz «nie ostaje się jako autor znaczący», «nie był pisarzem wysokiej miary», miał wszystko – prócz wielkości”. Autorka postuluje, by *Zapomnieć o nauczycielu, mistrzu, „chlebie duchowym dla pokoleń”, a dostrzec w Sienkiewiczu „poufnego marzyciela” i „wstydlivego opowiadacza snów”, który odslania „mroki naszej osobowości” oraz „wymigiwanie się w życiu” [...]*. W efekcie szkic ten można zaliczyć do jednego z najbardziej interesujących w monografii.

Utworki, których omówienia zostały umieszczone w tomie, w większości napisano bądź opublikowano w okresie od 1918 do 1989 roku. Zwracającym uwagę wyjątkiem jest tutaj szkic Dominika Chwoлика, który nie tylko nie wpisuje się we wskazane ramy czasowe, ale także jako jedyny zajmuje się poezją. Mowa o wzbudzającym wiele kontrowersji wierszu Jarosława Marka Rymkiewicza *Do Jarosława Kaczyńskiego*,

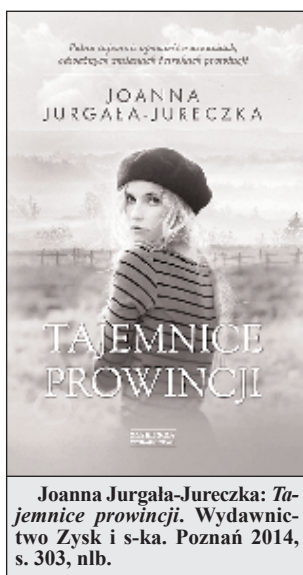
nawiązującym do tragedii w Smoleńsku z 10 kwietnia 2010 roku. Autor tekstu nie tylko zwrócił uwagę na jego popularność w mediach, ale przede wszystkim podjął się próby odczytania zawartych w utworze, a nie zajmujących czytelników, zagadnień. Zwrócił uwagę przede wszystkim na nawiązania do tradycji romantycznej – wizji dwóch Polak Adam Mickiewicza, która została przystońnięta dzięki dominującym odczytaniom wiersza przez pryzmat polityki.

Niektóre dzieła i nazwiska, pojawiające się w tomie *Literatury popularnej*, zgodnie z obietnicą redaktorek, zostały przypomniane i ponownie wyciągnięte na światło dzienne, co czyni książkę szczególnie wartościową. Wspomnieć wypada Marię Horską-Szyprkównę, którą z niepamięci wydobyl Krzysztof Jaworski. Badacz podzielił jej artystyczne istnienie na dwa okresy: czas międzywojnia, w którym doświadczyła swoistego uwielbienia przez czytelników i krytyków; oraz okres powojenny, w którym została przez wszystkich odrzucona. Przed artykułem Jaworskiego został umieszczony nie mniej ważny szkic Elżbiety Hurnikowej, traktujący o książkach biograficznych Magdaleny Samozwaniec.

Według słów redaktorek, *Literatura popularna* miała być również opowieścią „o kulturze popularnej jako czymś od literatury nieodłącznym i jednocześnie koniecznym w rozumieniu pozostałych wytworów społecznych”. Dlatego też w książce nie zostały pominięte teksty w tę właśnie opowieść się wpisujące. Jednym z nich jest szkic Anny Zdanowicz, prezentujący beletrystykę publikowaną w „Ostatnich Wiadomościach”. Szerzej zostały tutaj omówione dwie powieści odcinkowe: *Szukamy Anieli* i *Morfinistka*, wykorzystujące formy reportażowe i autobiograficzne, mające w ten sposób przyciągać tłumy odbiorców oraz pełnić funkcję rozrywkową. Zwrócić uwagę należy także na artykuł Elżbiety Wróbel, pochyłającej się nad literaturą popularną drukowaną do 1930 roku w „Wiadomościach Literackich”, jak również na szkic Patrycji Kalety, zagłębiającej się w analizę istotnych dla powieści gazetowej kategorii masowości i odcinkowości.

Literatura popularna jest obszerna. Nie sposób przywołać tutaj wszystkich nazwisk pisarzy, utworów które się na nią złożyły. Pojawiające się w publikacji portrety twórców i ich dzieła nie tylko zostały przypomniane, ale także zrewidowane, poddane nieraz nowatorskiemu spojrzeniu i wszechstronnie omówione. Autorzy poszczególnych szkiców skutecznie przekonują o wpływie omawianej przez nich literatury czasów międzywojennych czy PRL na dzisiejszy kształt literatury popularnej.

KATARZYNA NIESPOREK



O znikającym Wtkacym, tajemniczej hrabini i niewysłowionej urodzie Śląska Cieszyńskiego

Joanna Jurgala-Jureczka, znawczyni pisarstwa i biografii Zofii Kossak, zadebiutowała jako powieściopisarka. Pierwszoplanowa bohaterka *Tajemnic prowincji*, Justyna Skotnicka, młoda historyczka sztuki, czekając na etat w Krakowie, podejmuje zatrudnienie w małym Muzeum Doenhofów w Brzozowie, a jednocześnie sprawuje opiekę nad swymi siostrzeńcami Kubą i Maciejem, których rodzice wyjechali na zarobek do Niemiec. To wszystko ma być tylko chwilowe, bo dziewczyna marzy o ambitnej pracy w galerii sztuki, na prowincję wraca niechętnie i mimo że to jej rodzinne środowisko, cała wychylona jest w stronę wielkiego miasta i problemów, które wydają się jej najważniejsze. Powoli jednak zacznie odkrywać piękno swojej ziemi, gór rysujących się na horyzoncie, dostrzeże łagodność Czantorii i strzelistość Równicy, majestatyczność wysokich świerków i słodką woń powietrza. Już tyle razy opisywano urodę Śląska Cieszyńskiego, kra-

iny z uśmiechu Boga stworzonej, ale Jurgala-Jureczka opisuje to na nowo, zwięźle, sensualistycznie, ze zdumiewającą świeżością.

Wypadki potoczą się inaczej niż myślała Justyna, zaskoczą ją, odmieniają jej życie osobiste i zawodowe. Będzie trochę tak jak w baśni o Kopciuszku, przeniesionej we współczesne realia, bo w życiu Justyny pojawi się hrabia Jan, mądry, przystojny i opiekuńczy, który postanawia wrócić do swej rodowej posiadłości, odbudować ją i przywrócić jej dawną świetność. Nie ma jednak w tym niczego banalnego ani schematycznego, owszem jest pewna gra z konwencją, w którą czytelnik szybko daje się wciągnąć.

Akcja płynie w dwóch porządkach: realistycznym, pokazującym codzienność, i fantastycznym, związanym z pojawiającą się i znikającą hrabiną, właścicielką posiadłości, spoczywającą na miejscowym cmentarzu, lecz czasem „schodzącą” z portretu, by ingerować w rozwój wypadków. To wszystko spleta się z rytmem pór roku, nakłada się na czas przyrody i rok liturgiczny. Odmiany czasu przenikają się wzajemnie, uzależniają człowieka od siebie, a niekiedy wzajemnie się przenikają i wikłają. W główny tok narracji autorka wplata mikroopowieści, z własną dramaturgią i przesłaniem: o zdradzie i milczeniu (s. 153-5, 299), o tajemnicy biżuterii Marii Lazarowej (s. 180-181), o pochodzeniu zarzuconej Sandry (s. 210), oczywiście pojawia się też wątek Kossakowski. Poznajemy piękną i autentyczną postać nauczycielki-harcerki, Józefy Jabczyńskiej. Autorka zna doskonale środowisko cieszyńskie, jego małe i wielkie sprawy, znakomicie maluje postaci pierwszoplanowe i drugoplanowe. Są tu nauczyciele i uczniowie, urzędnicy i sklepikarze, „niebieskie ptaki” i drobni pijaczkowie, oczywiście jest ksiądz proboszcz i kościelny. Jest kochająca żona Matyskowa, co „... kupiła podobno swojemu mężowi miejsce na cmentarzu z okazji sześćdziesiątych urodzin. Z miłości to zrobiła...” (s. 51).

Sporo jest humoru i rodzajowych scenek z życia prowincji, ale mających w sobie coś uniwersalnego, bo typy kombinatorów, awanturników i „wysokich urzędników” nie rozumiejących znaczenia używanych słów – napotkać można wszędzie. Pozornie jednostajny tryb życia zostanie zelektryzowany zniknięciem szkicu Wtkacego, wcześniej odnalezionego na strychu w zaskakujących okolicznościach, a potem pojawi się równie bulwersująca kradzież biżuterii z grobowców Doenhofów i ekscentryczny detektyw. Wszystko opowiedziane jest piękną polszczyzną: dawną i współczesną, wzbogaconą przez gwargę, język młodzieżowy, nastrojowe wiersze, a także lapidarne e-maile i smsy.

To mądra, pięknie napisana powieść, o wartkiej akcji, pogłębionych psychologicznie postaciach i głębokim przesłaniu.

KRYSTYNA
HESKA-KWAŚNIEWICZ



Zacytani – zaczarowani

Wdorobku naukowym Bernadety Niesporek-Szamburskiej znajduje się szereg ważnych publikacji dotyczących języka dzieci, twórczości dzieci i dla dzieci, utrwalonego w świadomości młodego pokolenia językowo-kulturowego obrazu świata. Badaczka, podejmując kolejne tematy, konsekwentnie realizuje zamierzenie, by wychodząc od języka, docierać do dziecka, do jego sposobu pojmowania i wartościowania świata, do jego przeżyć. Dziecko to dla niej zawsze *homo agens et interpretans* (człowiek działający i interpretujący).

Najnowsza monografia B. Niesporek-Szamburskiej: *Stereotyp „czarownicy” i jego modyfikowanie. Na przykładzie tekstów dla dzieci i wypowiedzi dziecięcych* nawiązuje do wcześniejszych studiów Autorki. Ta składająca się z pięciu rozdziałów publikacja jest bez wątpienia opracowaniem ważnym, które wnosi istotny wkład w ciągłe jeszcze nieliczne na gruncie polskim badania nad językiem najmłodszych: dziecięcym sposobem poznawania rzeczywistości i przyswajania treści kulturowych (w tym

krystalizowaniem się wyobrażeń mitologicznych u dzieci), sposobach konceptualizacji przez dzieci rzeczywistości, wreszcie (jak wyraźnie zostało to zaznaczone w tytule omawianej publikacji) nad utrwalonymi w ich języku (umyśle) obrazami, które wchodzi w rozmaite interakcje z innymi obrazami (stereotypem kulturowym wyobrażenia – czarownicy), znanymi najmłodszym z literatury (baśni ludowej, regionalnej i klasycznej, baśni nowoczesnej, bajeczki, opowiadania, powieści *fantasy*) oraz z filmów, gier.

Autorka, stosując przede wszystkim narzędzia kognitywizmu, wnikliwie przeanalizowała zebrane wśród uczniów z dwóch grup wiekowych wypowiedzi na temat *czarownicy*. Dopelnieniem tego interesującego materiału językowego stały się prace plastyczne dzieci (włączone w tok wywodu pełnią nie tylko funkcję estetyczną, ale i poznawczą). W nich to uczniowie mieli możliwość odzwierciedlić to, czego nie potrafili wyrazić słowami, dać wyraz swoim doświadczeniom, a także emocjom i indywidualnym spostrzeżeniom.

Analiza zgromadzonego materiału dowiodła, że obecny w świadomości dzieci i przekazany za pomocą różnych kodów stereotyp *czarownicy* ma wiele cech jawnych kulturowego stereotypu, a tylko w niewielkim stopniu podlega modyfikacjom pod wpływem kultury masowej. Jak czytamy, „według dzieci, *prawdziwa czarownica* musi być zła i brzydka, a *każda czarownica* czaruje i lata na miotle” (s. 182).

Imponująca rozległość wiedzy Autorki, swoboda w łączeniu treści z różnych obszarów nauki, rzetelne analizy, poparte bogatą i przekonującą egzemplifikacją, czynią z omawianej publikacji lekturę zajmującą. Oprócz walorów poznawczych należy także zwrócić uwagę na kulturę języka Autorki. Potrafi ona o spawach trudnych pisać w sposób przejrzysty i atrakcyjny, nie tracąc nic z naukowości wywodu. To ciekawe opracowanie z pewnością zainteresuje zarówno językoznawców, jak i dydaktyków, ale także psycholingwistów, socjologów, pedagogów, etnologów, badaczy literatury dla dzieci i młodzieży.

DANUTA KRZYŻYK

Robert Ciupa, Bogusław Tracz: *Marzenia z betonu. Codziennosc na Górnym Śląsku w latach siedemdziesiątych XX wieku.* Wyd. Instytut Pamięci Narodowej, Katowice 2014, s. 220.

Ten duży album warto pokazać malkontentom, którzy powtarzają, że w Polsce się nic nie zmieniło, bo zapomnieli już o upokarzających kolejkach „za wszystkim”, o tym jak brzydkie było nasze otoczenie, jak siermiężna rzeczywistość. A przecież zamieszczone w publikacji fotografie pochodzą z „epoki Gierka” zwanej dekadą sukcesu. Autorzy, poza zdjęciami z prasowych archiwów (głównie „Dziennika Zachodniego”), wybrali fragmenty z prasy oraz dokumentów nie przeznaczonych do szerszego rozpowszechniania. Piękny przykład – informacja dla władzy przed 1 maja 1975: *Dostawy płótna flagowego na dekoracje związane ze świętem 1 Maja będą niższe o ok. 50% od dostaw ubiegłego roku, z powodu ogólnych trudności i braku na rynku bawełny.* Dlatego sprzedaż tych materiałów odbywała się według rozdzielnika uzgodnionego z Wydziałem Propagandy KW PZPR. Były cytryny, a pomarańcze miano „rzucić” w przeddzień święta. Zabawne i pouczające.

Alicja Badetko: *Tam królował blues... Próba monografii Klubu „PULS” w Katowicach.* Wydawnictwo Naukowe SCRIPTORIUM, Opole 2014, s. 132.

Pozostaniemy w czasach PRL. Klub studencki, któremu autorka poświęciła swoją pracę, istniał w latach 1974-1986. Nie mój czas, myśmy się zbierali w „Ciapku” znacznie wcześniej, ale i tu królowała muzyka. PULS to już inna epoka, ale jakże od „tu i teraz” odległa. Badetko, jako naukowiec, precyzyjnie zaznaczyła w tytule, że to „próba monografii”, ponieważ wie, że nie da się odtworzyć pełnych dziejów. Dokumenty przepadły, ludzie pomarli albo niewiele pamiętają. Dobrze, że udało się ocalić przynajmniej te okruchy, które dają wyobrażenie o miejscu, gdzie spotykali się nie tylko studenci z Katowic. Książka składa się z dwóch części. W pierwszej autorka na podstawie źródeł próbuje zrekonstruować działalność klubu. Drugą stanowią świadectwa bywalców-twórców. A są wśród nich m. in. Joanna Bartel, Stanisław Soyka, Józef Skrzek, Mirosław Neinert. W tych relacjach pojawia się też „wielki nieobecny” – Ryszard Riedel. Dobrze, że ta książka powstała.

Agnieszka Ociepa: *Krzyżowscy z Tychów. Portret niezwyklej rodziny.* [Red. Maria Lipok-Bierwiaczonek]. Wyd. Muzeum Miejskie w Tychach, Tychy 2014, s. 40.

Krzyżowscy to rzeczywiście rodzina niezwykła. Do Tychów przybyli (jako Krzyżanowscy) z Warszawy po upadku powstania kościuszkowskiego. Od początku angażowali się w działalność patriotyczną, kulturalną, społeczną. Były oczywiście powstania śląskie, plebiscyt, budowa Odrodzonej, II wojna światowa itd. Współtworzyli historię Tychów, mają w tym mieście swoją ulicę. Myślę, że na Śląsku znalazłoby się więcej rodzin zaangażowanych w dzieje swojej małej ojczyzny. Krzyżowscy jednak wyróżniali się jeszcze czymś – pisali wspomnienia, gromadzili dokumenty i zdjęcia. Ostatnio archiwum rodzinne prowadziła Stefania Urbanek, córka Franciszka Krzyżowskiego. Przekazała je Muzeum Miejskiemu w Tychach. To dar cenny, bo to praktycznie zbiór źródeł dla historyków. Z żalem myślę o swojej (i ludziach z mojej generacji) beztrosce, która powodowała, że nie przywiązywało się wagi do dokumentów, które zamiast do archiwów trafiały na śmietnik.

Barbara Gruszka-Zych: *Dowody na istnienie ciemni. Wiersze wybrane.* Wyd. ASTRUM, Wrocław 2013, s. 184.

W latach dziewięćdziesiątych dostałem od autorki jej debiutancki tomik *Napić się pierwszej wody*. Po lekturze poczułem, że mam do czynienia z talentem nieprzeciętnym. Potwierdzeniem tej mojej „męskiej” intuicji było kilkanaście kolejnych książeczek poetyckich (wszystkie przeczytałem kilka razy), przekłady wierszy Gruszki-Zych na języki obce, przyjęcie tych utworów przez krytykę, no i, oczywiście, *Dowody na istnienie ciemni*. To już drugi wybór jej poezji pisanej w latach 1989-2013. Myślę, że dobrze ilustruje jej drogę twórczą, pokazuje obszar jej zainteresowań, wreszcie – rozwój. O czym pisze? Oczywiście o miłości i śmierci, bo to najważniejsze tematy sztuki w ogóle. Ale nawet w utworach z wątkami autobiograficznymi (może przez ich szczerość) odnajdujemy pole do osobistych skojarzeń. Wybór jest przeglądem wszystkich tomików poетки, niewątpliwie reprezentatywnym. Jednak mi osobiście zawsze któregoś z utworów brakuje, no cóż – książka „nie jest z gumy”. I tak gorąco polecam.

Marietta Nikel: *Bery o Antku i Francku, utopku, djoblach i cwegach.* Wyd. – brak danych, Wodzisław 2013, s. 236.

Autorka na czwartej stronie okładki oznajmia: *Ni ma to wielko poezyo jak pizsom rychtykowe poety/ Yno klechty pisane od Nikel Marietty.* To prawda. Nikel po prostu opowieściom wysłuchanym podobno w dzieciństwie od starki nadała formę rymowaną, czyli po prostu takim zabiegiem wzbogaciła popularną niegdyś gawędę. Książkę swoją dedykuje dorosłym z przesłaniem, aby czytali ją głośno swojej progeniturze, choćby po to, aby przełamać w ich edukacji monopol telewizyjno-komputerowy (sama, sądząc z jednej z „godek”, nie bardzo wierzy, że to się uda). Historie, które autorka opowiada, sięgają do znanych motywów ludowych, kończą się też zawsze morałem (np. gorzołka jest z zła, nie należy krzywdzić bliźniego itd.). Dla mnie ponadto ta książeczka jest jeszcze jednym argumentem przeciwko językowi śląskiemu. Dość dobrze znam gwara górnosląską i cieszyńską, więc widzę, że ta z okolic Wodzisławia też ma swoją specyfikę i są w niej słowa, których nie znam i nie rozumiem.

Natalia Kruszyna: *To tylko kolor. Halina Lerman (1928-2013).* Wyd. Muzeum Historii Katowic, Katowice 2014, s. 68.

Artyści (przynajmniej ich większość) odznaczają się swego rodzaju dezynwolturą, przez co trudno później krytykom, historykom sztuki, czy biografom opracowywać w pełni ich życie i dzieło. Tak też jest w przypadku Haliny Lerman. Dlatego jestem pełen uznania dla Natalii Kruszyny, która w katalogu wystawy pokusiła się o odtworzenie dziejów rodzinnych artystki, jej drogi życiowej i działalności twórczej. Są w tym opracowaniu a także w dokumentacji twórczości Lerman luki, ale wynikają one właśnie ze wspomnianej już dezynwoltury. Dlatego np. zachowały się tylko nieliczne przykłady grafik – nazwijmy to – użytkowych, ponieważ malarka nie przywiązywała do tych druków żadnej wagi. Podobnie do rodzinnych papierów. Dobrze, że przynajmniej na wystawie jej prac w Muzeum Historii Katowic udało się pokazać rzeczy najbardziej charakterystyczne dla jej twórczości. Lerman jest kolorystką. Nic dziwnego, skoro pierwszym rektorem uczelni, do której trafiła, był Eugeniusz Geppert.

Anekdoty

HENRYK BZDOK

Miała mała urocza Pszczyna taki czas, kiedy żyło tam około 10 plastyków.

Byli Staszek i Alina Rabaszowscy projektujący wnętrza, był Grzegorz Kozik rzeźbiarz, była Janka i Andrzej Czczot (jeszcze jej mąż), był przede wszystkim Aleksander Leszek Spyra, motor movens wielu wydarzeń w mieście...



O nim wkrótce napiszę znacznie więcej.

Pokazywano nam „Klub plastyków” w piwnicach pewnej starej kamienicy, była galeria u Eliasza i Pistułki, a w niej wystawa pasteli Zygmunta Stuchlika z Orzesza.

Był i metaloplastyk Schulz, który pół miasta w miedzianych szyldach wyklepał i były plenery kowalskie i malarskie.

Na kowalskie przyjeżdżali zagraniczni „hefaistosi”, najlepsi byli z Bułgarii, na malarskie plastycy ze Śląska i okolic.

Byłem i ja, nie raz...

Jeszcze w stanie wojennym spotkałem tam Romana Herckę, który prawie co wrócił z Kolonii, żałował: malowałem portrety, miałem tam klientów, źle, że wróciłem...

Później udało mu się ponownie wyjechać...

Na kolejnym plenerze był i Stanisław Mazuś, wyjątkowo uzdolniony artysta, malarz pełną gębą z Tych, zamieszkaliśmy razem.

Staszek wybierał się na poranne malowanie mgieł, czy raczej oparów nad stawami, było w tym trochę malowania wody ale i powietrza i tu przypomina mi się film – pełnometrażowy debiut Jiriego Menzela i scena, w której maszynista instruuje jak malować morze: pokazywał takie szlaczki vvvvvvvvvv wykonujące je w kolejnych poziomach zamierzam ruchem ręki.

Wieczorem umówieni, o świcie wyszliśmy nad wodę.

Nasza woda była cicha z lekką zmarszczką wyzwoloną przez zbudzoną rybę.

Zanim ja się rozpakowałem, kasetą sztaluga – blejtram – pędzle, Mazuś swymi dużymi jak dłoń dziecka pędzłami ustawił już wodę na płótnie... niedługo potem był gotów a opary wraz ze wschodzącym słońcem uleciały do góry.

To zjawisko szybkiego wznoszenia się mgieł było dla mnie fascynującym spektaklem, najważniejszą obserwacją tego poranka i jak widać do dziś zapamiętaną.

Wczesnym wieczorem a może późnym popołudniem, na ulicy Warszawskiej 37 w Piwnicy „Marchoń” prawie wszystkie stoliki były jeszcze wolne, przy barze też było pustawo, ani klientów ani barmana.

Zagęszczało się wieczorem, późnym wieczorem, kiedy jedni przyszedli, by posiedzieć, a inni, ci późniejsi, by się dopić.

Teraz był tu wszakże Tomasz Jura, jeszcze młody a już zdolny grafik i nie zachowani w pamięci koledzy.

Siedzieli, czekali i nic się nie działo.

Jak powiedziano w polskim filmie „Rejs”...

Podszedł więc Tomek do baru, pochylił się i wyciągniętą ręką (wszak długi był) sięgnął butelkę z półki i zamarł z koślawym uśmiechem na twarzy... wszedł barman. *Tomasz Jura – plastik, samowolnie zagarnął butelkę wódki „Czysta wyborowa” 1/2 l, 45% w celu przywłaszczenia jej, tak podobno zostało zapisane w protokole.*

Nieważne co się potem działo, bo dziać się musiało, w takie pechowe popołudnie w tym małym cnotliwym lokalu.

Faktem jest, że sprawa bezprawnego zawłaszczenia czyjegoś mienia, została potraktowana bez pardonu i przekazana do Kolegium Orzekającego.

W tymże kolegium zasiadał mój i wielu artystów przyjaciel – mecenas Stanisław Lizer.

Żał mu było młodego zdolnego grafika, o którym już słyszał, to też do sprawy chciał podejść rzeczowo i ze zrozumieniem, bez nadmiaru emocji.

Zasięgał wiedzy o Tomku by jak najwięcej wiedzieć o nim i wyprowadzić z tej wiedzy możliwie dobre podstawy do uzyskania łagodnego wyroku.

Ten młody wybitny grafik, jest wielokrotnie nagradzonym laureatem wielu konkursów na plakat, zdobywcą licznych nagród za rysunki publikowane w prasie, piętnujące nasze wady i wykroczenia.

Pracując jako asystent w Akademii Sztuk Pięknych jest wychowującym ale i wzorem dla pokolenia młodych artystów, nie może zatem być potraktowany jako przysłowiowy złodziej, wszak stać go na to, by niejedną taką marną butelczynę nabył w legalny sposób ze środków jakie ma, bo uczciwie je zarabia.

Pomińmy zatem mniemanie, że stojący tu przed nami artysta Tomasz Jura ukradł wódkę, oskarżony chciał ją pewnie tylko obejrzeć przy stoliku i później za nią zapłacić...

Takie czy podobne przemówienie obrończe przygotował mecenas Lizer, więcej w nim było podziwu i sympatii dla oskarżonego niż potępienia.

Tych słów było wiele, więcej niż tu przytoczyłem, były i bardziej kwieciste, bogatsze, ale dawno mi opowiedziane zdarzenie sprzed wielu lat uległo zatarciu.



Ważne, że cały ten wywód miał poprzedzić sugestywnie pytanie, które miało być koronne w drodze do uniewinnienia, a brzmiało ono być może tak:

Czy oskarżony przyznaje, że nie chciał wziąć butelki „Czystej Wyborowej” o pojemności pół litra w celu przywłaszczenia, a jedynie po to, by za nią zapłacić kelnerowi przy stoliku?

Prawie natychmiast, jakby nie słuchając pytania oskarżony Tomasz Jura odpowiedział:

Nie. Wziąłem, bo chcieliśmy się napić.

Misternie ułożona konstrukcja mecenasu Lizera legła w gruzach.

To była piękna katastrofa jak ta z filmu „Grek Zorba”...

*Łączymy pokolenia,
pielęgnowujemy lokalne
dziedzictwo kulturowe
i współtworzymy przyszłość.*

B
Biblioteka Śląska

**Z ŻYCIA
BIBLIOTEK**

Gmina Janów, położona w malowniczym zakątku Jury Krakowsko-Częstochowskiej, nazywana jest przez wielu „perłą w koronie”. Na jej terenie znajdują się aż 4 rezerwy przyrody oraz Ostoja Złotopotocka – Natura 2000. W 22 sołectwach mieszka niespełna 6000 mieszkańców. I to właśnie w tej malowniczej krainie swoją siedzibę ma Gminna Biblioteka Publiczna w Janowie.

Sieć biblioteczną w gminie tworzą: centrala w Janowie oraz filie w Łgoczanca i w Żurawiu. Głównym celem biblioteki jest zaspokajanie potrzeb czytelniczych i edukacyjnych naszych mieszkańców.

Biblioteka w Janowie jest nowoczesna, posiada atrakcyjny księgozbiór, czytelniczy we wszystkich placówkach bibliotecznym mogą bezpłatnie korzystać ze sprzętu komputerowego z dostępem do Internetu. Przy naszej bibliotece działa Wioska Internetowa, a w ramach Śląskiego Systemu Informacji Turystycznej – Punkt Informacji Turystycznej obsługiwany przez bibliotekarzy. Biblioteka realizuje projekty edukacyjne współfinansowane przez Unię Europejską (Europejski Fundusz Społeczny, Leader+). Sięga również po środki krajowe z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Funduszy Solecich, Gminnego Funduszu P/A. Innym sposobem zdobywania dofinansowań jest udział w programach Fundacji Orange oraz Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informatycznego.

Szczególną troską w naszej bibliotece obejmujemy dzieci. Stworzony przez nas program czytelniczy Mama, Tata, Ja i Książka został wsparty finansowo przez sołectwa z Janowa, Poniuku i Złotego Potoku. Dzięki temu wsparciu udało się utworzyć nowoczesny Kącik Malucha, a biblioteka wzbogaciła się o nowy rodzaj zbiorów specjalnych – gry planszowe i puzzle. Każda z filii bibliotecznym prowadzi raz w tygodniu spotkania dla najmłodszych czytelników. Oferta edukacyjna kierowana do dzieci jest różnorodna: od Spotkań z Bajką – poprzez zajęcia przyrodnicze, artystyczne, historyczne – do warsztatów teatralnych. Każdego roku w bibliotece odbywają się wakacyjne imprezy dla najmłodszych czytelników. Współpraca ze szkołami podstawowymi z Janowa, Luśla-



Wiele imprez GBP organizuje wspólnie z miejscowymi szkołami, np. „Pasowanie na czytelnika”...

Fot. z archiwum GBP w Janowie

Gminna Biblioteka Publiczna w Janowie

Z sercem do biblioteki!

wic i Sokolego Pola ma na celu promocję czytelnictwa wśród uczniów – m.in. organizujemy wspólnie coroczne Pasowanie na Czytelnika Uczniów Klas I.

Do doskonała atmosfera panująca w bibliotece oraz troska o najmłodsze pokolenia zaowocowała utworzeniem Teatryku Żabie Oczko. Angaże aktorskie na sezon artystyczny 2014 otrzymali Przyjaciele Biblioteki: Celina Ciepiela, Wiktoria Frukacz, Agata Kożuch, Joanna Krzyżańska, Danuta Kuczyńska, Iwona Liberda oraz Sylwia Dziurkowska – bibliotekarka. Utwór sceniczny pt. *Dziwo Bajka* napisał Marek Monikowski. Premiera sztuki odbyła się na zakończenie XI Tygodnia Bibliotek i była nagrodą dla wszystkich – małych oraz dużych – przyjaciół książek.

Biblioteka stara się zainteresować swoją ofertą także młodzież. Filia biblioteczna w Żurawiu skupia młodych ludzi, którzy spotykają się co tydzień i tworzą biblioteczny wolontariat. Służą pomocą w przygotowywaniu oraz prowadzeniu zajęć dla dzieci oraz pomagają w dostarczaniu książek osobom starszym. Wolontariusze bardzo chętnie uczestniczą w akcjach promujących literaturę.

Działaniami wyróżniającymi naszą bibliotekę w powiecie częstochowskim są przedsię-

wzięcia edukacyjne służące podtrzymaniu lokalnych tradycji i popularyzacji kultury. Ścisła współpraca z Muzeum Regionalnym im. Zygmunta Krasińskiego w Złotym Potoku zaowocowała rozwojem Interinstytucjonalnego Księgozbioru Regionalnego i Naukowego. Dzięki osobistemu wsparciu dyrekcji muzeum nasza placówka nabyła bardzo rzadkie dokumenty oraz wydawnictwa dotyczące regionu. Każdego roku jesteśmy zapraszani do współpracy przy takich wydarzeniach, jak Noc Muzealna czy Europejskie Dni Dziedzictwa. W 2013 roku złotopotockie muzeum zaprosiło bibliotekę do współtworzenia wystawy oraz spotkań dotyczących obchodów 150. rocznicy wybuchu powstania styczniowego oraz bitwy w lasach janowskich. Od 2008 roku mieliśmy przyjemność być wielokrotnie zapraszani jako partnerzy spotkań i warsztatów historycznych, dotyczących przeszłości Ziemi Janowskiej. Spotkania te, kierowane zarówno do mieszkańców, jak też do wszystkich pasjonatów historii, są organizowane na bardzo wysokim poziomie merytorycznym – prowadzą je dyrektor muzeum, a także pracownicy naukowej Akademii Nauk w Krakowie oraz Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W działaniach mających na celu zachowanie oraz promocję lokalnego folkloru biblioteka współpracuje z Jurajskim Stowarzyszeniem Artystów i Twórców Ludowych.

W swojej pracy nie zapominamy również o seniorach, współpracujemy z Jurajskim Klubem Seniora oraz pomagamy osobom starszym w poruszaniu się po wirtualnym świecie. Każdorazowo są to spotkania indywidualne, a tempo przekazywanej wiedzy i poziom zaawansowania są ustalane dla każdej osoby zgodnie z jej oczekiwaniami.

Nie byłoby biblioteki, gdyby nie tworzący ją ludzie. Rozwój naszej placówki jest możliwy dzięki samorządowi gminy, mieszkańcom oraz pracującym tu bibliotekarzom, którzy cieszą się w lokalnej społeczności dużym zaufaniem. Są oni sercem biblioteki, bijącym dla czytelników. Dobrze wyszkoleni bibliotekarze, mający szerokie zainteresowania, znający swoich czytelników i odpowiadający na niemal wszystkie ich potrzeby – to klucz do sukcesu naszej biblioteki.

JUSTYNA SIEMION



... czy „Spotkania podróżnicze”



Dla najmłodszych przygotowano w bibliotece Kącik Malucha



Katowice – wizualizacje i realizacje

Pierwszy obiekt oddany do użytku, na ciągłym placu budowy jakim jest katowicki rynek, to gmach Urzędu Miasta znajdujący się w dawnym Domu Prasy. Z pewnością funkcjonalny, nowoczesny, ale czy ta lita bryła podoba się mieszkańcom? Z czasem pewnie wtopi się w pejzaż miasta. A jak będzie wyglądać sam rynek – czy tak jak w wizualizacjach? Bo te, wiadomo, zwykle są kolorowe, przyciągające oko. Czy „zieleń” w donicach (tzw. mobilna zieleń) będzie zielona przez cały rok, czy od jesieni do wiosny będą str-

żyć szare kikuty drzewek i innych krzaków, a czy pnące się powoli do góry mury, które mają być obrośnięte kwiatami zawsze będą tak kolorowe? Wiele dziś rynków miast i miasteczek to składowiska betonowej i granitowej kostki, gdzie „mobilna zieleń” dawno poszła w zapomnienie, a pozostały pustynie. My trzymamy się tej barwnej wizji (o ile znów się nie zmieni, bo tak to z wizjami bywa) – poczekamy na ławki wśród zieleni i kwiatów.

(wk)



Zdjęcia: Biuro Prasowe UM Katowice

Znaki i twarze
miasta



KATOWICE
dla odmiany



IX FESTIWAL FOLKLORYSTYCZNY W OPOLU-BIERKOWICACH



Gość specjalny z Czech – zespół Vrtek z Opawy.



Krakowska Grupa Folklorystyczna z Mydlnik.



Barbara Kamińska członkini ZWO z krakowskim Lajkonikiem.



Stragany z wyrobami regionalnymi w Muzeum Wsi Opolskiej.

Muzeum Wsi Opolskiej zorganizowało w bierkowskim skansenie IX Festiwal Folklorystyczny. Bogaty program imprezy obejmował występy zespołów ludowych z kraju i zagranicy, wystawy rękodzieła, konkurs kulinarny wraz z degustacją produktów regionalnych, a także prezentacje historii przodków, zamieszkujących niegdyś Ziemię Opolską. Na scenie „Pod wiatrakami” w pięknych strojach ludowych prezentowały się grupy artystów z Polski i Czech: Reprezentacyjny Dolnośląski Zespół Pieśni i Tańca „Wrocław”, Krakowska Grupa Folklorystyczna z Mydlnik, Bożenki, Moczkowie oraz gość specjalny – zespół Vrtek z Opawy. Część chat stanowiąca na co dzień pomieszczenia muzealne została „ożywiona” – rozpalono ogień w piecach, na których gotowano śląski obiad, można było zobaczyć m.in. pokazy wytwarzania produktów tradycyjnych i spróbować świeżych opolskich chrustów a także ciepłego chleba prosto z pieca. Podczas festiwalu po raz pierwszy zaprezentowano oryginalną kompozycję rzeźbiarską Stanisława Majewskiego pt. „Historia świata”. W alejkach skansenu rozstawiono stragany, gdzie można było kupić m.in. miody, wędliny, ozdoby, drewniane zabawki, regionalne ciasta. W skansenie Muzeum Wsi Opolskiej Barbara Kamińska i Antoni Konopka – członkowie Zarządu Województwa Opolskiego wręczyli nagrody XIV edycji konkursu „Nasze Kulinarne Dziedzictwo – Smaki Regionów”, który cieszył się ogromnym zainteresowaniem ze strony wystawców i był doskonałą okazją do wyłonienia najlepszego regionalnego produktu żywnościowego oraz najlepszego dania i potrawy regionalnej. Jurorzy nagrodzili m.in. producentów krupnioka śląskiego, sera owczego, miódów leśnych i akacjowych, dżemów i kompotów ze śliwek i pigwy, rolad, szynkę, chleba razowego oraz napojów z dzikiej róży.

dks



Kompozycja rzeźbiarska Stanisława Majewskiego pt. „Historia świata”.

Projekt Muzeum Kresów

Przewodniczący Sejmiku Województwa Opolskiego Bogusław Wierdak konsultował z przedstawicielami polskich środowisk kresowych inicjatywę utworzenia regionalnego muzeum prezentującego tematykę kresową. Pomysł jego utworzenia zgłoszono podczas zjazdu byłych Tarnopolan w Nysie. Aby poznać opinię wszystkich środowisk kresowych w sprawie utworzenia muzeum na spotkanie do urzędu marszałkowskiego zostali zaproszeni i licznie przybyli przedstawiciele oddziałów terenowych Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz innych stowarzyszeń środowiskowych kresowian i społeczno-kulturalnych (m.in. stowarzyszenie „Polonia – Kresy”, Wspólnota Polska) zajmujących się tematyką kresową. Po prezentacji opinii i stanowisk uczestnicy spotkania odnieśli się z pełną aprobatą do inicjatywy, stanowiącej pokłosie długoletniej współpracy polskich środowisk kresowych z samorządem województwa. Wspólnie opracowano ważne rezolucje Sejmiku Województwa Opolskiego dotyczące tragicznych kart historii Kresów Wschodnich II RP m.in. w sprawie zbrodni ludobójstwa na Wołyniu w siedemdziesiątą rocznicę tragicznych wydarzeń. Ustalano regionalny kalendarz obchodów rocznic i przedsięwzięć o tematyce kresowej. Od kilku lat w czerwcu pod patronatem Marszałka Województwa Opolskiego odbywają się regionalne spotkania integrujące środowiska opolskich kresowian, imprezom tym towarzyszą liczne koncerty i wystawy, ukazujące historyczne pamiątki i bogate dziedzictwo kultury kresowej. Ze stowarzyszenia „Polonia-Kresy” wydano cenną publikację „Kresowianie na Śląsku Opolskim” – ukazującą znaczenie kresowian w najnowszej historii regionu. Tematykę kresową szerzej zaczęły prezentować wojewódzkie instytucje kultury w ramach wielokulturowości regionu m. in. Wojewódzka Biblioteka Publiczna, Muzeum Wsi Opolskiej i Muzeum Śląska Opolskiego, które opublikowało opracowanie ukazujące (w ujęciu geograficzno-ilościowym) rodowody i miejsca zamieszkania po II wojnie światowej mieszkańców regionu o kresowych korzeniach.

Nową falę zainteresowania tematyką kresową nie tylko na Opolszczyźnie, wzbudziły portrety miast i miasteczek kresowych prof. Stanisława Sławomira Nicieji, opublikowane w serii „Kresowa Atlantyda”, niezwykle starannie wydane przez opolską oficynę wydawniczą „MS” Bogusława Szybkowskiego, po które chętnie sięgają czytelnicy średniego i młodego pokolenia. Uwzględniając powyższe działania spośród wielu innych na rzecz zachowania pamięci kresowej warto przypomnieć, że niemal do końca lat 80. oficjalnie niewiele mówiono o Kresach. Przez lata tematyka ta była objęta cenzurą polityczną i pomijana milczeniem. Wiele świadectw i pamiątek materialnych przepadło bezpowrotnie z upływem czasu. Kresowianie osoby w większości w podeszłym wieku, działające społecznie bez znaczącego wsparcia finansowego od fundacji, centralnych instytucji państwowych, nie dysponowali do tej pory możliwościami stworzenia stałych wystaw ani instytucji dokumentujących swoje dziedzictwo kulturowe i prezentujących dorobek mieszkańców regionu o kresowych korzeniach, którzy tworzyli po 1945 r. inteligencję odbudowującą Śląsk Opolski po spustoszeniach i zniszczeniach wojennych. Dialog samorządu województwa opolskiego ze środowiskami polskich kresowian daje nadzieję, że przestrzeń pamięci kresowej będzie pielegnowana w nowych formach działalności, uwzględniających cyfrowe archiwum kresowe, klub kresowy, wystawy kresowe, publikacje i projekty badawcze składające się na szeroką formułę regionalnego Muzeum Kresów i Kresowian województwa opolskiego, może również przyczynić się do ogólnopolskiej debaty jak upamiętnić i popularyzować historię Kresów II Rzeczypospolitej.

JANUSZ WÓJCİK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

70. rocznica Powstania Warszawskiego

Opolskie obchody rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, które o godz. 17.00 oficjalnie rozpoczął głos syren, zgromadziły liczne grono mieszkańców miasta i regionu. Wśród uczestników obecni byli przedstawiciele organizacji kombatanckich, społecznych, wojska polskiego oraz innych służb mundurowych na czelę z władzami państwowymi i samorządowymi Opola i województwa opolskiego. W intencji poległych żołnierzy i ludności cywilnej powstańczej stolicy odprawiono uroczystą mszę świętą w kościele pw. Przemienienia Pańskiego na osiedlu Armii Krajowej w Opolu. Następnie uczestnicy uroczystości przeszli pod pomnik Armii Krajowej, gdzie mjr Wanda Nowak ze Świątowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej odczytała treść rozkazu generała Tadeusza Komorowskiego „Bora” o rozpoczęciu powstania. Podczas oficjalnych wystąpień marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła podziękował opolskim kombatanom za szczególne zaangażowanie na rzecz zachowania pamięci o Powstaniu Warszawskim i przekazywanie młodemu pokoleniu tradycji patriotycznych. Po apelu pamięci i salwie honorowej, uczestnicy uroczystości złożyli kwiaty i znicze pod pomnikiem Armii Krajowej. Rocznicę wybuchu Powstania uczczono także w Centralnym Muzeum Jęńców Wojennych w Łambinowicach pod pomnikiem Powstańców Warszawskich na dawnym terenie Stalagu 344 Lamsdorf, gdzie do niemieckiej niewoli trafili transporty powstańców, w tym kobiety i dzieci. Wieczorem na scenie klubowej Filharmonii Opolskiej w okolicznościowym koncercie „Elegia o chłopcu polskim” Sławomir Zygmunta zaśpiewał utwory do słów wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Festiwal Piosenki Turystycznej „Kropka”

Podczas VIII Międzynarodowego Festiwalu Piosenki Turystycznej „Kropka” do malowniczo położonych Głuchołaz na pograniczu polsko-czeskim przybyli miłośnicy piosenki turystycznej i poezji śpiewanej z kraju i zagranicy. Na off scenie na tarasie hotelu „Sudety” wystąpiły zespo-

ły wybrane spośród uczestników PUCH-u, czyli Przeglądu Utworów z Charakterem, byli wśród nich m.in. „Shantażyści”, Marek Sołtysiak, „Ta Jedna Chwila” i „Zamałopiwa”. Oficjalnego otwarcia imprezy dokonał burmistrz Głuchołaz Edward Szupryczyński z dyrektorem „Kropki” Pawłem Szymkowiczem. Po tradycyjnym odegraniu festiwalowego hymnu, publiczność zgromadzona w Muszli Leśnej wysłuchała zespołów znanych z innych festiwali turystycznych: „Albo i nie”, „Rozdwojenie Jaźni”, „Bieguni” oraz „Malżeństwo z Rozsądku”. Gwiazdą pierwszego dnia festiwalu był Grzegorz Turnau, który zaprezentował swoje największe przeboje w kameralnym składzie wraz z Jackiem Królikiem (gitara) i Leszkiem Szczerbą (saksofon). Na zakończenie wieczoru zagrała Grupa Bohema, która tworzy i wykonuje utwory z kręgu piosenki autorskiej, folku, jazzu oraz rocka. Podczas trzeciego dnia wystąpiło 15 wykonawców biorących udział w przeglądzie. Jury w składzie: Jerzy Kruciel – Polskie Radio Rzeszów, Jindřich Střebel – Festival „PORTA” w Usti n/Labą, Rafał Nosal – Grupa Bohema, Elżbieta Rojek – Grupa Bieguni, Maciej Trojanowski z OSPPT „YAPA” w Łodzi postanowiło przyznać: I miejsce „Shantażyście” z Lewina Brzeskiego (laureaci nagrody publiczności), II miejsce „Łatającemu Dywanowi” z Grodziska Mazowieckiego, a III grupie „Ta Jedna Chwila” z Warszawy.

XIV Dni Twierdzy Nysa

Z rozmachem zainaugurowano kolejne Dni Twierdzy Nysa. Na początku zagrał dixielandowy Funny Fellows ze Słowacji, po czym ulicami Nysy przemaszerował pochód wojsk w mundurach z czasów wojen napoleońskich, który zatrzymał się na rynku, gdzie złożono meldunek władzom miasta, następnie salwą honorową rozpoczęła się tegoroczna edycja imprezy. Nysa na weekend zamieniła się ponownie w pruską fortecę, którą „zdobywało” tysiące turystów i mieszkańców miasta, zwiedzających fortyfikacje i uczestniczących w historycznych inscenizacjach. Rekonstrukcja bitwy z 1807 r. odbyła się na przedpolu Fortu II, wzięły w niej udział regimenty z Polski, Czech, Niemiec, Ukrainy i Litwy (ponad 300 żołnierzy, 20 kawalerzystów). W bogatym programie Dni Twierdzy Nysa odbył się również Festyn Forteczny z koncertami (m.in. zespół „Chudoba”) i występami dla dzieci oraz biesiadą żołnierską z zespołem „Małgoška”. Wraz z przewodnikami zwiedzający odwiedzili: Fort II, Forteczną Wieżę Ciśnień, Bastion św. Jadwigi, Skarbiec św. Jakuba, Wieżę Wrocławską i Ratuszową, a na placu katedralnym przy Bazylice św. Jakuba i św. Agnieszki zorganizowano podczas Jarmarku Jakubowego kiermasz produktów regionalnych i rzemiosła.

Jednym zdaniem

■ W Muzeum Śląska Opolskiego prezentowana wystawa „Utracone nadzieje. Ludność żydowska w województwie śląskim/katowickim w latach 1945–1970” przygotowaną przez katowicki oddział IPN, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, Fundację Brama Cukernia oraz Getto Fighter’s House Museum z Izraela.

■ Pieśni i ballad S. Moniuszki w wykonaniu: Katarzyny Staroń, Magdaleny Motkiewicz, Justyny Skoczek, Łukasza Motkowicza, Tadeusza Pzonki, Wojciecha Dynogasa. Przemysław Borysa i Marka Pasko można było posłuchać podczas koncertu „Wakacje z Moniuszką”, który zorganizowała Filharmonia Opolska.

■ Podczas IX Święta Gór Opawskich w Muszli Leśnej w Głuchołazach wystąpiły m.in. góralskie kapela – Ondraszki ze Szczyrku i Tekla Klebetnica z Ustronia oraz Zespół Śląskiej Pieśni Ludowej z Lubnian, uczestnicy imprezy brali również udział w warsztatach garmcarskich, wikliniarskich, degustacji potraw regionalnych, szczególną atrakcją było plukanie złota zorganizowane przez Towarzystwo Przyjaciół Głuchołaz.

■ W opolskiej Galerii Sztuki Współczesnej można było zobaczyć wystawę „Dyplom 2014”, na której zaprezentowano intermedialne prace studentów i absolwentów Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego.

■ W ramach letnich projekcji w Amfiteatrze Opolskim można było obejrzeć film z koncertu „Życia mała garść” poświęcony pamięci Anny Jantar i Jarosława Kukulskiego, w którym wystąpili m.in. Halina Frąckowiak, Halina Mlynkova, Anna Rusowicz oraz orkiestra pod batutą Adama Sztaby, koncert ten Narodowe Centrum Polskiej Piosenki i miasto Opole zrealizowały podczas trzeciego dnia Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w 2012 r.

■ W Miejskim Centrum Organizacji Pozarządowych w Opolu odbyły się kolejne imprezy z cyklu „Spotkanie z twórcą...”, podczas których swoją twórczość literacką i animatorską na niwie kultury zaprezentował Witold Hreczaniuk z Gostomi, a Edmund Borzemski z Korfantowa czytał wiersze z nowego tomiku.

■ Projekt badawczo-artystyczny „Opolskie Odyseje. Więzy społeczne osób migrujących zarobkowo z Opolszczyzny. Świąty tkanych i pruthych więzy społecznych współczesnych Odyseuszów, Penelop i Telemachów”, którego celem było dokładne poznanie i zwrócenie uwagi na społeczne konsekwencje migracji zarobkowych podsumowano podczas międzynarodowej konferencji w Urzędzie Marszałkowskim województwa opolskiego z udziałem jego regionalnego inicjatora – Krystiana Kobyłki dyrektora Opolskiego Teatru Lalki i Aktora.

Pszczynskie orędownie za kulturą

Orędownik to ten, kto wstawia się za kimś lub za czymś – głosi Słownik Języka Polskiego. Z rzadka używane słowo, albo właściwie w ogóle już nie używane. Musi je używać ktoś, kto faktycznie ma słuch wyczulony na brzmienie słowa, ale też na jego piękno, na znaczenie.

Wpadł mi niedawno w ręce znany skądinąd od lat, pszczyński „Orędownik kulturalny”, wydawany od 25 lat przez kogoś, kto pojawia się w tym wydaniu „Słaska” – Leszka Spyrę, człowieka niezwykle, niebanalnego. Ba, muzyka i świetnego grafika, miłośnika i znawcę słowa (tego literackiego i gwarowego z charakterystycznym tamtejszym zaśpiewem), wszak to on wymyślił Muzeum Prasy Śląskiej i od lat prowadzi, podobnie jak zawsze świetny zespół „Pszczyna”.

Ale ów „Orędownik...” przysporzył jeszcze jednej refleksji: kóż dzisiaj jest jeszcze orędownikiem kultury – poza, z pewną zarozumiałością to powiem – „Słaskiem”? Ponoć kultura, o której i my i „Orędownik” donosi jest potrzebna nielicznym. Dziś potrzebna jest kultura masowa lub „umasowiona” czyli wysoka o nieco niższych lotach, wystarczająco nobilejująca, ta bardziej szlagierowa – bo i Mozart i Verdi może taki być. A „Orędownik...” działa lokalnie – upomina się o pamięć, o historię, o książkę. Orędownik też jest w zasadzie jednoosobowy – ale wytrwały, konsekwentny, od lat. Bo to i Izba w Telemana, i Muzeum, zespół regionalny i Zagroda Wsi Pszczyńskiej ale też niezwykle bibliofilskie wydawnictwa powstające w Oficynie Drukarskiej przy współudziale i z rekomendacji znawców słów najdawniejszych, a wśród nich prof. Jana Malickiego i prof. Dariusza Rotta. To zbieractwo cymeliów – zbiorów słów napisanych przed wiekami nie tylko o Pszczyźnie ale i okolicy, najdawniejszej prasy, książek, modlitewników, przewodników, a wszystko to z pamięcią o czasach najdawniejszych, które od wieków kształtowały ducha Pszczyzny, w tym o pierwszej drukarni tu założonej w 1805 roku przez Carla Beniamina Feistela z Nysy, tytularnego drukarza książęcego i z myślą o pierwszym polskim czasopiśmie na Śląsku – „Tygodniku Polskim poświęconym włościanom” do dziś obecnego w zbiorach muzealnych. To także pamięć o czasach znów nie aż tak dawnych – o czasach Wojciecha Korfańskiego, którego imię nosi Muzeum, a orędownikiem jego działalności jest oczywiście Leszek Spyra.

„Orędownik kulturalny” to także świadectwo szacunku dla tych wszystkich, którzy budowali kulturę w Pszczyźnie, dokładali cegiełki do jej polskości. Im poświęca się liczne wydawnictwa. Są w tym gronie Christian Schemmel, Erdmann II Promonitz, Jan Kupiec, Władysław Wężyk, ks. Mateusz Bielok, są staropolskie „Hymny moje domowe” Wacheniusa, pieśni do św. Jana Nepomucena i kazania na poświęcenie kościoła w Studzience, są reprinty, jest poezja i muzyka – ta dawna, Telemanna i jemu współczesnych i ludowa, z której tyle piękna na tej pszczyńskiej ziemi.

25 lat „Orędownika kulturalnego” zbiega się z za niedługo obchodzonym przez „Słask” 20-leciem (już 20-leciem!). Dobrze będzie świętować razem!

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Wystawa „Polska Walcząca” w Katowicach

W Katowicach przy ul. Mariackiej (plac przed kościołem Mariackim) otwarta została wystawa plenerowa „Polska Walcząca”.

Ogólnopolska ekspozycja pt. „Polska Walcząca” wraz z regionalną częścią została przygotowana przez Biuro Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej oraz Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Katowicach. Autorami scenariusza wystawy są dr Paweł Rokicki i Tomasz Gonet (część regionalna). Wystawa składa się z dwudziestu dwustronnych plansz.

Wystawa przypomina o fenomenie Polskiego Państwa Podziemnego – zjawisku wyjątkowym w okupowanej w latach II wojny światowej Europie. Opowiada o początkach polskiej konspiracji we wrześniu 1939 r., jej rozwoju i różnorodnych formach walki podziemnej przeciwko obu okupantom, zarówno Niemcom, jak i Sowietom. Poprzez archiwalne zdjęcia i dokumenty z epoki pokazuje najważniejsze wydarzenia, w tym akcję „Burza” i Powstanie Warszawskie, których 70. rocznicę obecnie obchodzimy. Na wystawie znajdują się sylwetki wybranych bohaterów, w tym także Żołnierzy Wyklętych, którzy kontynuowali walkę o niepodległość Polski, stawiając opór komunistycznej dyktaturze po 1944 r. Dopiełnieniem tej opowieści są



zdjęcia z prac ekshumacyjnych prowadzonych przez Instytut Pamięci Narodowej w kwaterze Łcmentarza na Powązkach, gdzie w ostatnich latach odnajdywane są i identyfikowane szczątki bo-

haterów Polski Walczącej, rozstrzelanych w komunistycznych więzieniach.

Katowicki oddział IPN opracował pięć plansz regionalnych traktujących między innymi o wrześniu 1939 r. w Katowicach, podziemiu niepodległościowym na Śląsku, akcji „Burza” realizowanej przez Śląski Okręg AK (w głównej mierze przywołałmy oddziały Gerarda Woźnicy ps. „Hardy” oraz Stanisława Wencla ps. „Twardy”, które prowadziły w regionie najaktywniejsze akcje w ramach „Burzy”), kształtowaniu się władzy komunistycznej w regionie, a także podziemiu antykomunistycznym na Śląsku i represjach wobec niego.

Wystawa będzie prezentowana do 29 sierpnia 2014 r.

„Silentium” – Islandia w obiektywie Jolanty Rycerskiej

W galerii „Katowice” Związku Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski można było oglądać wystawę „Silentium” Jolanty Rycerskiej.

Autorka urodzona w 1971 roku w Lublinie, jest absolwentką Filozofii Teoretycznej na KUL (specjalizacja: filozofia sztuki) oraz Studium Fotografii ZPAF. Na swoim artystycznym koncie ma liczne wystawy i projekty fotograficzne. Od 2005 roku jest członkiem ZPAF. Obok twórczości artystycznej zajmuje się także promocją twórczości w zakresie fotografii. Jest kuratorką kilkudziesięciu wystaw fotograficznych, organizatorką warsztatów, kursów i spotkań autor-skich, jurorką licznych konkursów i przeglądów portfolio. Od trzech lat pełni funkcję prezesa Związku Polskich Artystów Fotografików, a od pięciu lat – Okręgu Warszawskiego ZPAF. Jest wykładowcą Studium Fotografii ZPAF. Mieszka i pracuje w Warszawie.

O swojej wystawie mówi tak: „Silentium oznacza ciszę, ale także milczenie. Czym wtedy była? – skoro tak mocno pamiętam wszechobecny szum ogłuszającego wiatru. Oszałamiał i huczał, ale pod nim królowała ona – nieprzebrana, zawłaszczająca wszelkie sensory obrazu, negująca pokusę komplikowania narracji. Przemawiała w tych miejscach zagłuszając ich piękno. Kusila do patrzenia, wciskania migawki aparatu.

Cisza – słowo wieloznaczne – w muzyce pauza, w architekturze pustka, a w tańcu bezruch. Ale jest też rozumiana jako harmonia i konwencja stylu – jako brak tzw. „zgrzytów” czy hałasu

Jednym zdaniem

■ W Muzeum Śląskim można oglądać wystawę Śląska Rzecz 2013, przygotowaną we współpracy z Zamkiem Cieszyń.

■ Zarząd Województwa Śląskiego powołał Alicję Knast na stanowisko dyrektora Muzeum Śląskiego w Katowicach oraz Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu.

■ Centrum Scenografii Polskiej Muzeum Śląskiego zaprasza na Piknik ze Scenografem – warsztatowe zabawy w wakacyjnej atmosferze, podczas których uczestnicy mogli zapoznać się z twórczością czterech scenografów, których kolekcje znajdują się w zbiorach CSP – Małgorzaty Słoniewskiej, Władysława Daszewskiego, Adama Kiliana, Jerzego Zitzmana.

■ Na Scenie w Malarni Teatru Śląskiego można było zobaczyć „Balladę o Bezpańskiej Suce i Golebiu” – spektakl z nurtu teatru dokumentalnego, który na co dzień grany jest

na dworcu w Ligocie, stworzony został na podstawie autentycznych historii osób bezdomnych.

■ Muzeum w Gliwicach zaprasza na Wakacyjny Kiermasz Książki Historycznej Instytutu Pamięci Narodowej i wydawnictw Muzeum w Gliwicach.

■ Galeria ARTNOVA ZPAP w Katowicach zaprasza na wystawę prac Roberta Dudka – absolwenta krakowskiej ASP i Tadeusza Ciemiennikiewicza – absolwenta ASP we Wrocławiu.

■ Galeria „Ciasna” w Jastrzębiu-Zdroju zaprasza do odwiedzenia wystawy fotografii „Krymskie wakacje” autorstwa Janusza Skórskiego – reportażysty Telewizji Kraków, współpracującego z wieloma czasopismami, wieloletniego wiceprezesa Krakowskiego Klubu Fotograficznego, członka Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie.

form. Analogat główny słowa cisza to brak bodźców słuchowych. W duchowości – jest wyciszeniem – aktywną formą umysłu prowadzącą do skupienia, unikania myślenia przy pomocy słów, uspokojeniem emocji, wyobraźni i woli. Otwarciem na to, co niedostępne wprost. Wejściem w bardziej pierwotny sposób przeżywania świata. Szukanie tego, co ponad lub pod. Zagładaniem pod powierzchnię krzykliwej rzeczywistości.



Fotografia nie służy wyłącznie zapisywaniu świata, ale też odczytaniu. W widokach świata podświadomie szukamy tego, co może ubogacać, stać się częścią nas. Wędrujemy i – naznaczeni melancholią – poprzez fotografie patrzymy w dal. Widzimy jak one, wyrwane z pierwotnego kontekstu, milczą wymownie. Bo – jak można powiedzieć za Marianną Michalowską – fotografie nie muszą być końcem podróży. Mogą być jej początkiem. Należy rozłożyć je jak karty pasjansa, patrzeć, chłonąć i wyruszać w otwierającą się drogę. Wciąż ciekawi i głodni.

Czy zatem można zobaczyć ciszę? za pomocą fotografii? Mam taką nadzieję...”. Kuratorem wystawy była Katarzyna Łata-Wrona – prezes Okręgu Śląskiego ZPAF.

„Cinema!” na lato

12 i 13 czerwca w Teatrze Śląskim w Katowicach można było zobaczyć spektakl bez słów Beppe Navello „Cinema!”



„Cinema!” nominowany w 2013 roku do Złotej Maski za najlepszy spektakl roku 2013, za najlepszą scenografię dla Francesco Cassone i za naj-

lepszą aktorską rolę dla Wiesława Kupczaka.

Spektakl „Cinema!” to ukłon w stronę tych artystów, którzy bez słów potrafili wywołać u widzów różnorodne emocje. W estetyce niemego kina, z przerysowanym gestem, scenicznymi gagami i filmowymi efektami, piątka aktorów proponuje zabawną historię o tym, że magia kina może być niebezpieczna i złudna dla każdego.

„Cinema!” to wzruszająca i zabawna mieszanka polskich i włoskich emocji (spektakl powstał jako koprodukcja z twórcami z Turynu), także pomysłów, scenografia Francesco Fassone i kostiumy Brigidy Sacerdoti. Swoje włoskie alter ego odnajdują w spektaklu: Natalia Jesionowska, Bogumiła Murzyńska, Agnieszka Radzikowska, Wiesław Kupczak i Mateusz Znaniński. Za sceną równie intensywnie pracują cały czas inspicjent i czwórka montażystów – w ciągu godzinnego pokazu na widzów czeka 29 scen i ponad 50 zmian zastawek scenografii, by uzyskać złudzenie filmowej narracji w teatrze.

Jacques Rouquette w Nakle Śląskim



Centrum Kultury Śląskiej w Nakle Śląskim oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski byli organizatorami wystawy „Byk – walczący bóg”, autorstwa Jacquesa Rouquette’a, która odbywała się w dniach od 5 do 31 lipca b.r. Kuratorem wystawy była Katarzyna Łata-Wrona.

Jacques Rouquette jest fotografem eklektycznym, twórcą i dyrektorem Międzynarodowego Festiwalu Fotograficznego w Dol de Bretagne oraz Festiwalu w Nimes (Francja), animatorem kultury i autorem warsztatów fotograficznych. „Jarou” fotografuje od 12 roku życia i wciąż doskonali swój warsztat, wzbogacając swoją fotograficzną wizję świata poprzez otwarcie na spotkania

i pracę z innymi fotografami, m.in. Gilles Kervella (nagroda Niepce), Pierre le Gall (nagroda Niepce), Franck Levey (uznany francuski portrecista), Giorgio Skory (Szwajcaria), Lucien Clergue (Arles), Alain Desvergnès (Arles) i licznym gronem fotografów francuskich i zagranicznych m.in. z Polski, Litwy, Portugalii.

Swoje „spojrzenie fotograficzne” wzbogaca także lekturą. Jedną z nich to „Filozofia corridy” Francis’a Wolff’a, szefa katedry filozofii Szkoły Wyższej w Paryżu, pod wpływem której powstały prace z serii prezentowanej w nakleńskiej galerii.

W dniu wernisażu odbyły się także dwie, otwarte dla publiczności, sesje pokazów multimedialnych nieformalnego Międzynarodowego Klubu Fotografii INTER NOS, którego współzałożycielem i pomysłodawcą jest Jacques Rouquette.

Swoje prace zaprezentuje niemal dwudziestu autorów, m.in. z Francji, Portugalii, Czarnogóry i Polski.

Teatr w zagrodzie czyli „Obrazki ze wsi Chorzów”

Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie” zapraszało na niecodienne wydarzenie. Spektakl „Obrazki ze wsi Chorzów” oparty jest na spisie spraw sądowych wsi Chorzów i Dąb od 1534 roku, znalezionym w berlińskim archiwum. Wzięli w nim udział aktorzy śląskich scen teatralnych: Maria Meyer, Bogusława Murzyńska, Ewelina Stepaczko, Wiesław Kupczak, Antoni Gryzik, Andrzej Kowalczyk, Wojciech Stolorz, Dariusz Niebudek i Marian Florek. Reżyserem spektaklu była Beata Chren.

Spektakl przedstawia sprawy spadkowe, spory sąsiedzkie czy konflikty, które miały miejsce 500 lat temu – jedne zabawne, inne dramatyczne. Emocje i same wydarzenia są jednak uniwersalne i doskonale wpisują się w czasy dzisiejsze. Zresztą nie tylko wydarzenia i emocje. W „Obrazkach ze wsi Chorzów” pojawiają się nazwiska osób, które do dziś zamieszkują Chorzów czy katowicką dzielnicę Dąb: Biełkiewicz, Kotala, Dudek, Grochał, Gola, Głuch, Chybidziura, Sędziatka, Krawców, Rączy, Kosmalik, Bieniek i Sałega – osoby noszące te nazwiska nie tylko mogły poznać sprawy, które zajmowały ich przodków, ale i obejrzeć spektakl.

■ Nowym, dyrektorem Muzeum Miejskiego w Tychach została Aleksandra Matuszczyk – kulturoznawca i menadżer kultury, która zastąpiła na tym stanowisku dr Marię Lipok-Bierwiazczonkę.

■ Muzeum Górnośląskie zaprasza do odwiedzenia interaktywnej wystawy „Świat zmysłów” przygotowanej razem z Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

■ W galerii BWA jak i w Rondzie Sztuki można było oglądać Dyplomy 2014 – wystawę prac tegorocznych absolwentów ASP w Katowicach.

■ W galerii Katowice ZPAF prezentowana jest wystawa fotografii Dariusza Kindlera – od blisko 40 lat zajmującego się fotografią architektury, reportażem i portretem oraz Karoliny Kindler-Skowronek – rocznik 80, artysty plastyka, absolwentki ASP we Wrocławiu, malarki, graficzki, projektantki.

■ 22 czerwca Opera Śląska po raz piąty rozdała Statuetki przyjaciół Opery, zasłużonym ludziom

dla rozwoju sztuki operowej, a ich laureatami zostali: Andrzej Gościński – Przyjaciół Teatru, Katarzyna Bykowska – Meloman Roku, Adam Nowak – Pracownik Roku i Damian Bartyla, który otrzymał Nagrodę Specjalną.

■ Na spacer pt. „Sztuka w przestrzeni miasta. Osiedla A i B” zapraszało w lipcu Muzeum Miejskie w Tychach.

■ Katowicki Klub Niezależnych Stowarzyszeń Twórczych „Marcholt” oraz Stowarzyszenie im. Maxa Kopfsteina zapraszali na wernisaż fotografii Arkadiusza Lawrywianca „Blisko nas”.

■ Nowa siedziba Muzeum Śląskiego została nominowana do tytułu jednego z „7 nowych cudów Polski”. W czwartej edycji plebiscytu Magazynu National Geographic Traveler, trwającej do 26 września br., głosy można oddawać raz dziennie na stronie <http://7cudow.national-geographic.pl/glosowanie/>

■ Na koncert muzyki wokalne w wykonaniu Christie Friedel-Dwornik (sopran), Piotra Dwornika (tenor), Lucyny Bielskiej (sopran), Tomasza Bielskiego (fortepian) i Bohdana Wantuły (fortepian) zapraszało Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich.

■ Na koncerty w cyklu „Fortepianada” zapraszała Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”, a wystąpił: w Bibliotece Śląskiej – Magdalena Lisak, w Studio Koncertowym Polskiego Radia w Katowicach – Paweł Wakarecy a w Muzeum Archidiecezjalnym – Aleksandra Świąt.

■ Paweł Konik (bas-baryton) – absolwent Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie śpiewu solowego ad. Ewy Biegas był wykonawcą recitalu, na który złożyły się utwory Mozarta, Verdigo, Moniuszki, Czyża i Czajkowskiego, a który odbył się w Śląskim Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum”.

Ratunek dla Maczek

Przed kilkoma miesiącami pisałam o unikatowym i jednym z najpiękniejszych zabytków europejskiego kolejnictwa, niegdysiejszej dumie grodu nad Przemszą – dworcem w Maczkach (od 1975 r. dzierżawca Sosnowca), ostatniej stacji Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej Królestwa Polskiego. Budynek wzniesiono w latach 1839–1948 wg projektu Enrico Marconiego. Ponieważ z drogi tej korzystał car, jego rodzina i wysocy dygnitarze, pokoje na piętrze dworca kapaly przepychem zaspokajającym potrzeby korzystających z nich na postojach gości (okazałe meble, marmurowe kominki, kasetony, ściany zdobione malowidłami). W dolnej kondygnacji mieściły się poczekalnia, restauracja, kasy i... sala widowiskowa z komfortową sceną i zapleczem.

Kolejną perłą była znajdująca się w pobliżu komora celna, z którą bliżej nieznana firma rozbiórkowa (na wniosek PKP) rozprawiła się niczym z zaważającym slumsem. Przez wiele miesięcy nikt nie interesował się kupą gruzu, która straszyla swoim widokiem. Nikt z przechodzących obok, zapewne by nie uwierzył, że w komorze celnej w 1926 r. mieściła się Szkoła Rzemieślniczo-Przemysłowa, w której przez 7 lat chemii uczył absolwent Wyższej Szkoły Przemysłowej Leon Kruczkowski, dramaturg i publicysta. W 2013 r. komora celna zniknęła nie tylko z rejestru zabytków ale i z powierzchni ziemi.

Kiedy zdawać by się mogło, że carskie salonki (a raczej to, co po nich pozostało) spotka podobny los, to pod koniec lipca pojawiła się wręcz niewiarygodna informacja. Nowe władze PKP postanowiły zadbać o zabytek. W wyniku porozumienia, jakie zostało zawarte pomiędzy prezesem zarządu PKP Jakubem Karnowskim i rektorem Politechniki Śląskiej prof. Andrzejem Karbownikiem w maczkowskim dworcu wkrótce pojawi się Centrum Naukowo-Dydaktyczne Transportu Kolejowego Politechniki Śląskiej. Budynek zostanie odrestaurowany i dostosowany do pełnienia funkcji dydaktycznych i badawczych, powróci do niego życie, choć mało kto w to już wierzył.

Optymistyczne plany zakładają, że w roku akademickim 2016/2017 Centrum rozpocznie swoją działalność. Okazuje się, że w Polsce brakuje kierunków studiów, przygotowujących do pracy w kolejnictwie a popularny niegdyś zawód zaczyna zanikać. Tak więc kształcący się w Maczkach studenci nie powinni martwić się przyszłą pracą.

Sosnowiecka legenda o mieście stworzonym przez węgiel i stal zapewne nigdy by nie powstała, gdyby nie rozwój transportu kolejowego w tym regionie i niepodważalnym pozostaje fakt, że miasto zapoczątkowały: Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska Królestwa Polskiego łącząca Warszawę z Galicją i Kolej Iwangozdsko-Dąbrowska biegnąca z Dębina do Dąbrowy Górniczej.

Radość z uratowania dworca jest wielka, pozostaje jednak wątpliwość, czy przystosowanie do celów dydaktycznych, nie zniweczy marzeń o rekonstrukcji dworca, czy aby nie zostanie z niego tylko nazwa?

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Koncerty na dziedzińcu

Jedną z ogromnych atrakcji, proponowanych przez Sosnowieckie Centrum Sztuki-Zamek Sielecki jest letnie muzykowanie na dziedzińcu. 13 lipca wystąpił K.C. Nwokoye, wokalista z Nigerii z zespołem. Piosenkarz, jest zarówno autorem tekstów jak i muzyki. Od kilku lat mieszka i pracuje w Polsce. Inspiracją są dla niego m.in.: Bing Crosby, Frank Sinatra, Sade Adu, John Legend, Michael Buble, Sara Bareilles, India Arie, Andy Williams, etc. Jego muzyka nie mieści się w ramach jednego gatunku, są to różne style muzyczne, pośród nich easy listening, soft rock, pop soul, neo soul oraz neo RnB, jego muzyka jest bogatą mieszanką jazzu, soulu i popu. Według artysty receptą na dobrą rozrywkę jest połączenie oryginalności z indywidualizmem scenicznym oraz soulowego głosu z dużą dawką energii.

70. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego

31 lipca w Muzeum Saturn w Czeladzi odbył się wernisaż „Powstanie Warszawskie”. Kilkanaście plasz obrazuje genezę Powstania, jego dramatyczny przebieg a także późniejsze losy powstańców. Wstrząsające fotografie pokazują zniszczoną Warszawę a także namiastki normalnego życia, które mimo terroru próbowali wieść jej mieszkańcy. Ekspozycję przygotowano we współpracy z poznańskim oddziałem Instytutu Pamięci Narodowej. Goście wernisażu zostali zaproszeni do wspólnego śpiewania, było to możliwe dzięki wręczonym im śpiewnikom zawierającym teksty znanych pieśni powstańczych.

Ogniem i mieczem na zamku ogrodzieńskim w Podzamczu

5 i 6 lipca przebywający na zamku w Ogrodzieńcu mieli okazję przeżyć nie lada przygodę, mogli się bowiem przenieść do XVII w., w czasy potopu szwedzkiego i powstań kozackich. Były więc turnieje rycerskie, pokazy konne, pojedynki szermierzy, konkursy a nawet wielka bitwa o zamek. Piękne kostiumy, niezwykle pokazy a przede wszystkim wspaniała pogoda sprzyjały znakomitej zabawie, lekcji historii też nie zabrakło, panie mogły nawet podziwiać pokazy mody staropolskiej. Impreza „Ogniem i mieczem” zakończyła piechota, artyleria i konnica, tocząc wielką bitwę o zamek.

Przypomnienie „Czarodzieja z Będzina”

Kiedy pojawia się nowa publikacja o wielkim człowieku, to zawsze jest to powód do radości, świadczy bowiem o tym, że wciąż szukamy dobrych wzorców, tęsknimy za autorytetami i chcemy ocalić od zapomnienia cenne i ponadczasowe wartości. Fenomen Jana Dormana nie przestaje zadziwiać. Dziś w sposób szczególnie brakuje nam mądrości „Czarodzieja z Będzina”, przydałaby nam się jego łatwość nawiązywania kontaktów z młodymi ludźmi, umiejętność znajdowania z nimi wspólnego języka, finezja z jaką potrafił ukierunkowywać ich zainteresowania i wykorzystywać ich dobrą energię. Dzięki niezwykłemu talentowi twórcy teatru ekspresji dzieci, niejeden z jego wychowanków znalazł swój własny i niepowtarzalny klucz do przyszłości. Legendarny założyciel i dyrektor „Teatru Dzieci Zagłębia” przygotował pokolenie myślących odbiorców sztuki, uczynił więc to, nad czym głowią się dyrektorzy wszystkich teatrów, muzeów, galerii, sal koncertowych czy bibliotek.

Jan Kuczyński autor książki zatytułowanej „Pod parasolem Jana Dormana, czyli krótka historia Klubu Studenckiego Ethioopus”, wydanej przez Towarzystwo Przyjaciół Będzina przypomina trzyletnie dzieje klubu (1971–1974), który choć działał krótko, wpisał się w historię miasta w niezwykle sposób. Już sama nazwa wzbudzała wiele kontrowersji, choć ze wszech miar poprawna politycznie, była swoistym wyzwaniem rzuconym ówczesnym „pokrewnym” realizmowi. Książkę czyta się znakomicie, ponieważ Kuczyński dzieli się wspomnieniami (był członkiem klubu), które nie zdążyły się zestarzeć. Barwne anegdoty, lapidarne, ale jakże trafne diagnozy peerelowskiej szarzyzny przemawiają nie tylko do wyobraźni, ale są kolejnym potwierdzeniem jak bardzo brakuje nam „parasola” Pana Jana Dormana.

Jesteśmy z pokolenia lat 60. Z punktu widzenia władzy w tamtym czasie podlegaliśmy jak najbardziej pod epitet – element negatywnie nastawiony do systemu – anarchizyczny. Jesteśmy ogromnie wdzięczni Janowi Dormanowi, że tak potrafił nas skupić wokół siebie i ten gniew, który w sobie mieliśmy przekuć potem w coś fajnego – powiedział podczas jednego ze spotkań Jan Kuczyński.



Jednym
zdanie

■ W Sosnowieckim Muzeum została otwarta wystawa retrospektywna Krysiana Adameczyka, malarza i grafika, członka Grupy „Zagłębie”, przewodniczącego sosnowieckiego oddziału ZPAP, wieloletniego plastyka miejskiego Sosnowca.

■ W Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamku Sieleckim od 25 lipca można oglądać wystawę pt.

„Sosnowieckie Sacrum – Kościół Ewangelicko-Augsburski”.

■ W Miejskim Klubie im. Jana Kiepury trwa Akcja Lato. Wszystkie zajęcia, m.in. z rytmiki, tańca nowoczesnego z elementami baletu, Młodzieżowa Akademia Teatralna, są bezpłatne.

90 lat na karuzeli życia

13 lipca 2014 r. Maria Koterbska skończyła 90 lat. W swym życiu wyspiewała około 1500 utworów, choć jedynie 400 zarejestrowano na taśmach czy płytach. Śpiewa jeszcze do dziś ad hoc a capella, jeśli jest okazja spotkać się z entuzjastyczną bielską publicznością.

Gwiazda polskiej piosenki II połowy XX w. urodziła się w Bielsku w bardzo muzycznej rodzinie. Ojciec Władysław Koterbski był skrzypkiem i dyrygentem lwowskiego chóru Echo, a mama, bielszczanka, Janina Mirowska – pianistką. Kariera Marii Koterbskiej rozpoczęła się od współpracy z Orkiestrą Taneczną Rozgłośni Śląskiej Polskiego Radia Jerzego Haralda, który zaprosił ją do popularnej audycji muzycznej „Melodie świata”. Audycja po raz pierwszy prezentowała swing z polskim tekstem, choć w USA jaszujący swing wypierały już wtedy inne style muzyczne. Po początkowych sukcesach i narastającej popularności pojawiły się kłopoty. Na propozycję występów w stolicy zareagowali funkcjonariusze państwowi... W ministerstwie kultury wyjaśniono jej, że „amerykańskie szwingowanie” jest sprzeczne z piosenkami radzieckimi. Bielszczance zakazano występów w stolicy, a także... na falach radia. Mogła śpiewać za to z orkiestrami Jerzego Haralda, Jana Cajmera oraz Konrada Bzyka i w krakowskim Teatrze Satyryków, w którym pracowała od 1951 do 1956 r. Wtedy to wraz z przyjaciółmi – Karolem Szpalskim, Marianem Załuckim, Kazimierzem Pawłowskim i Lidią Wysocką – powołała kabaret literacki „Wagabunda”. Kabaret zjeździł w latach 60. prawie cały glob. W tym czasie powstały takie nagrania jak „Bajka amurska”, „Jesteś tu” czy „Piosenka o walcu domino”. Maria Koterbska zasłynęła jednak przede wszystkim z niezwykle popularnych przebojów jak „Brzydula i rudzielec”, „Chcę mieć mały domek”, „A mój chłopak piłkę kopie”, „Karuzela”, „Parasolki”, „Serduzko puka w rytmie cha-cha” czy „Wrocławską piosenką”.

Mimo iż w czasie postalinowskiej odwilży miała wiele propozycji, aby zamieszkać i śpiewać w stolicy, mimo wielu podróży artystycznych – nigdy nie opuściła rodzinnego Bielska. Tu związała się z mężem Janem Franklem i wychowała z nim syna Romana, znanego obecnie wiedeńskiego kompozytora, piosenkarza i aktora. Tu jest postacią rozpoznawalną i cenioną do dziś. Jak twierdził jeszcze przed laty Lucjan Kydryński, Maria Koterbska jest prekursorką większości polskich pieśniarek próbujących śpiewać trochę bardziej nowoczesnie, z wdziękiem. – Piosenki podaje swobodnie, nie za słodko, z muzykalnością nadającą jej interpretacjom wagę artystycznego przeżycia. Jest to bodaj pierwsza powojenna polska pieśniarka, która umiała zwykłą piosenkę podnieść do godności sztuki – twierdził znany krytyk muzyczny.

Wyrazem sympatii bielszczan do artystki jest powołanie półtora roku temu Bielskiej Piwnicy Artystycznej pod patronatem Marii Koterbskiej, która działa obecnie w kawiarni „Pod Sceną” Teatru Polskiego w Bielsku-Białej. Znamienne jest to, że na deskach tego teatru Maria Koterbska stawiała właśnie pierwsze estradowe kroki w amatorskich teatrykach i na konkursach piosenek.

JAN PICHETA

BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

Jubileusz Erwina Brożka

Sto lat ukończył wieloletni prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Bielsko-Białskiej Erwin Brożek (funkcję tę pełnił od 1965 do 2010 r. z krótką przerwą w latach 1984–1988). Z tej okazji obecny prezes towarzy-



Erwin Brożek

stwa Stanisław Biłka obdarował jubilata Złotą Odznaką Honorową TMZBB za wybitne osiągnięcia w pracy stowarzyszenia. Prezydent miasta Jacek Krywul wwręczył Erwinowi Brożkowi list gratulacyjny i kwiaty. Erwin Brożek urodził się 13 maja 1914 r. w Ilonicy, a dzieciństwo i młodość spędził w Starym Bielsku. Pierwszym jego przeżyciem, które zapamiętał, była agresja armii czechosłowackiej na Śląsk Cieszyński w styczniu 1919 r. i dzielny opór nielicznych wojsk polskich. W okresie międzywojennym Erwin Brożek działał w harcerstwie. Podczas wycieczek na Huculszczyznę poznał Lwów, który go zafascynował tak dalece, że osiadł tam i ukończył Wyższą Szkołę Handlu Zagranicznego oraz dwa lata studiów na Wydziale Prawa UJK. Trzeci rok ukończył już na tajnych kompletach. We wrześniu 1939 r. brał udział w obronie Lwowa, a później przeżył tam okupację stalinowską i hitlerowską. W kwietniu 1945 r. wrócił do Bielska. W 1946 r. ukończył prawo na UJ. Od 1950 do 1965 r. był wykładowcą w WSE we Wrocławiu i Katowicach. Coraz bardziej angażował się w działalność społeczną. Brał udział w redagowaniu zeszytów naukowych katowickiej WSE, Kalendarza Beskidzkiego, informatorów kulturalnych miasta, powiatu i województwa bielskiego oraz monografii Bielska-Białej. We wrześniu 1981 r. został przewodniczącym

Miejskiego Zespołu ds. Nazewnictwa Ulic i Placów Bielska-Białej. To głównie dzięki jego staraniom – jeszcze w czasach *ancien regime'u* – opracowano krytyczną charakterystykę stanu nazewnictwa grodu pod Szyndzielnią, a już w 1989 r. zmieniono wiele nazw ulic i placów. W latach realnego socjalizmu Bielsko-Biała mogło się bowiem „poszczycić” największą w Polsce ilością ulic upamiętniających komunistów, komunistycznych internacjonalistów i marszałków Związku Radzieckiego. Przez Bielsko-Białą wędrowało się głównymi arteriami – ul. Armii Czerwonej, Lenina, Marksa, Dzierżyńskiego, Dymitrowa, Koniewa, Bohaterów Stalingradu, Woroszyłowa, Greczki, czy bardziej prowincjonalnymi ulicami Czapaiewa lub Łysenki.

Letnia wystawa Włodzimierza Janoty

Podczas „Letniej wystawy malarstwa” w Galerii Sztuki „Puls” w Cieszynie do 28 sierpnia można oglądać dzieła Włodzimierza Janoty. Artysta urodził się w 1952 r. w Lipowej na Żywiecczyźnie, ale od ukończenia PLSP w Bielsku-Białej mieszka i tworzy w Cieszynie. Powiada, że jest genetycznie naznaczony sztuką. Jego babcia była bowiem bibułkarką, ojciec lubił rysować, a wujek obdarowywał go albumami malarstwa. Włodzimierz Janota tworzy nie tylko w oleju. Posługuje się zarówno temperą i akrylem, jak i akwarelą. Rysuje ołówkiem, węglem, pastelami. Gustuje w pejzażach i portretach. Artysta traci powoli wzrok. Można go wspomóc w walce z chorobą, kupując jego dzieła.

Nagrody dla żywczan i Zaolziaków

Od 26 lipca do 3 sierpnia w Beskidach trwała jedna z największych imprez folklorystycznych świata LI Tydzień Kultury Beskidzkiej. W jej ramach odbył się w Żywcu XLV Festiwal Folkloru Górali Polskich. W konkursie zespołów Złote Żywieckie Serce i 10 tys. zł otrzymał Regionalny Zespół Oldrzychowice. Srebrne Żywieckie Serce przypadło Lipniczanom z Lipnicy Wielkiej, a Brązowe – ZPiT im. Józefa Szczotki Wierchy z Miłówki. Grand Prix XXV Międzynarodowych Spotkań Folklorystycznych w Żywcu zdobyli Grojcowianie z Wieprza. Odbył się tam również konkurs kapel, grup śpiewaczych i instrumentalistów. W kategorii kapel Złote Żywieckie Serce otrzymała Kapela Byrtków z Pawli Wielkiej, w kategorii solistów multiinstrumentalistów – Marcin Blachura z Żywca, śpiewaków Zofia Sordyl z Korbielowa, w kategorii mistrz i uczeń instrumentalista – Krzysztof Trebumia-Tutka z Zakopanego, a mistrz i uczeń śpiewak – Anna Lassak z Krakowa. Jurorów cieszy liczny udział w konkursach nie tylko starych mistrzów, ale i młodych adeptów folkloru.

Jednym zdaniem

■ 13 lipca w Bielskiej Piwnicy Artystycznej im. M. Koterbskiej zaprezentowano koncert pt. „Truskawki w Miłanówku” z okazji 90. urodzin artystki.

■ 27 lipca w Bielsku-Białej rozpoczęły się XV Dni Muzyki Kameralnej i Organowej „Wakacje z Muzyką”.

■ W lipcu Lucyna Wylon prowadziła w Galerii Bielskiej BWA warsztaty artystyczne pn. „Od szkicu do obiektu, czyli przygody młodego dizajnera”.

■ Do 4 lipca w Galerii ROK w Bielsku-Białej wystawiano malarstwo Agaty Tomiczek-Wo-

loniej, a od 11 lipca do 5 września potrwa tam wystawa malarstwa na szkłe Marty Walczak-Stasiowskiej i Zdzisława Walczaka.

■ W DK Włóknarzy w Bielsku-Białej w lipcu wystawiano fotografie prof. łódzkiej „filmówki” – Zbigniewa Wichlaczka.

■ Przez cały lipiec w Książnicy Beskidzkiej prezentowano linoryty cieszyńjanki Pauliny Bodek.

■ Towarzystwo Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia wydało pilotażowy numer pisma bielskiej młodzieży „Redakcja BB”.

■ W lipcu Grupa Mobilni wystawiała swe prace w bielskiej galerii fotografii B&B.

Szukanie Dionizosa

W Miejskiej Galerii Sztuki do 13 lipca we wszystkich salach na parterze można było oglądać interdyscyplinarną wystawę „Dionizos. Współczesna odsłona mitu”. Oprócz obrazów w różnych technikach autorstwa polskich twórców XX i XXI w., porównawszy od S.I. Witkiewicza (Witkacego) aż do propozycji uczniów częstochowskiego Zespołu Szkół Plastycznych im. J. Malczewskiego eksponowanych w Antresoli, pokazano również prace tatuatora (Adama Swodczyka), zapisy dokumentalne misterium czy spektaklu Ośrodka Praktyk Teatralnych Gardzienice, a to wszystko uzupełnione fragmentami utworów literackich (m.in. Homera, Hölderlina, Charlesa Baudelaire'a, Bolesława Leśmiana, Józefa Czechowicza, Seamus Heaney) i prac teoretycznych, m.in. Fryderyka Schellinga, Johanna Jakoba Bachofena, Friedricha Nietzschego, Mircea Eliadego, Przemysława Czaj czy Károly Kerényiego. Bez względu na reprezentowaną dziedzinę wszystkie ekspozycje ujawniały intencję odnalezienia Dionizosa i dionizyjności.

Kuratorzy wystawy (Jacek Waltoś, Barbara Major oraz Joanna Matyja) podzielili ponad 130 prac tematycznie; były więc: praktyki magiczne, maska i tatuaże, środki wspomagające świadomość, transgresja i ekstaza, otchłań, erotyka, poczwały, histeria kobieca, taniec i rytm, które przemieniają grupę we wspólnotę, a koncerty okazują się realizacją „kontrolowanego szalu”. Wiele z porządkujących kategorii wyznacza fundament współczesnej nauki o kulturze (zarówno antropologii, jak i szeroko definiowanej widowiskowości). Artyści szukali odpowiedzi na pytanie, wyrażone wprost w spektaklu „Metamorfozy” OPT Gardzienice – „Kto jest moim bogiem?”. Namysłu doordził wybór tematu, techniki, a także rodzaju procesu twórczego (znalazły się więc realizacje bliskie action-art).

Tak rozgrywał się współczesny artystyczny pojedynek Dionizosa z Apollem, boga ekstazy i upojenia z bogiem harmonii i umiaru. Mitologia była obecna na wiele sposobów. Jan Waltoś przypomniał postać Empedoklesa, przyrodnika, lekarza, filozofa i poety, który postanowił rzucić się do krateru Etny, aby upozorować swoje wstąpienie na Olimp. Duży zbiór stanowił także bestiariusz (m.in. prace Andrzeja Łukaszewskiego czy Adama Hoffmana). Nie zabrakło także postaci współczesnego świata wyobraźni, np. Tygrysek, przyjaciel Kubusia Puchatka na obrazie Pawła Dunala.

Oczywiście, wystawę można było oglądać również trochę jakby wbrew kuratorom, podziwiając przede wszystkim obrazy znanych artystów – poza wspomnianym Witkacem, znalazły się tu m.in. prace Zofii Stryjeńskiej, Tadeusza Kantora, Marii Jaremy, Jana Lebensteina... Szeroko rozumiana dionizyjność pomogła zorganizować przyspieszony kurs współczesnego malarstwa – z jego różnorodnością technik i konwencji, a jego muzealne opracowanie ujawniało jednak żywotność Apolla.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Zafrytkowani po raz czwarty

W tym roku Częstochowski Festiwal Kultury Alternatywnej powrócił na ulicę Piłsudskiego (zwaną nieoficjalnie aleją Frytkową). 20–21 czerwca w pobliżu dworca PKP ustawiono dwie sceny, które zapełniły się gwiazdami.

Muzycznie było na najwyższym poziomie – Mela Koteluk, Waglewski Fisz Emade, Novika, Fismoll, Sorry Boys, z zagranicy Heroes & Zeros (Norwegia) i Ginga (Austria), a z Częstochowy Kapelanka oraz Vermones. Organizatorzy i w tym roku udowodnili, że na Frytce pojawiają się postaci o ustalonej pozycji albo odkrycia ostatniego sezonu sceny alternatywnej. Dj'ów reprezentowali: Agim Dzelilji, Tomek Dogiel i Kacper Kapsa.

Mocną stroną spotkania był także teatr – w tym roku dominowały spektakle bez słów, nastawione na rozwiązania plastyczne, a także sięgające po rozwiązania cyfrowe. Zaczął Teatr Nikoli, znany częstochowianom z Festiwalu Teatrów Ogródkowych, Maruczellą, a potem Zmysły A3Teatru, Komedianci Teatru Pantomimy Mimo i na finał Teatr Akt.

Zabawę już od startu nakreślali hip hopowcy. Przywrócono również Paradę Frytkową. W tym roku pochodził przez ulicami: Katedralną, Krakowską, Berka-Joselewicza, Garibaldię, Wilsona, w rytm wybijany przez perkusistów grupy L'ombelico del Mondo z Sochaczewa, na czele z przedstawicielami Czart-a igrzącymi pochodniami; w ten sposób postanowiono uczcić ogień świętojański.

Z nowości warto odnotować warsztaty filmowe oraz filmowy blok Multimedia OFF w Konkultorowni (m.in. obrazy Bodo Koxa).

Kultura nocą

Gdy wszystkie koty stają się czarne, kultura uwodzi rumieńcem, gestem, zapachem, dźwiękiem i smakiem. Taki cel stawiała sobie kolejna odsłona Nocy Kulturalnej, w tym roku organizowana pod hasłem zmysłów. Częstochowa w ostatnim czasie staje się specjalistą od takich tematów – od lat organizujemy Aleję Smaku, w maju bieżącego roku w Paradoksie Pracownia Komparatystyki Kulturowej AJD zaprosiła na sesję *Od-głosy jedzenia*. Miejską akcję koordynowali OPK Gaude Mater oraz Muzeum Częstochowskie.

Atrakcji było tak wiele, że Noc Kulturalna zaczęła się już o 17.49 na placu Biegańskiego, a jeszcze wcześniej odbył się kiermasz płyt winylowych, CD oraz happening Adama Maruszczyka *Bicie piany*. Podobnie jak w poprzednich latach była to okazja do zaprezentowania twórczości nie tylko artystów miejscowych. Zmysły częstochowian rozpalali także m.in.: Olo Walicki (Trójmiasto) w projekcie z Gabą Kulka, Fonoel (Łódź), Pearks Mahone (USA) czy performer Arti Grabowski (Kraków). Karnet wart

niespełna 10 złotych (9.99) pozwalał każdemu odnaleźć to, czego szukał. Była muzyka, przedstawienia teatralne, pokazy filmów, a także wiele intermedialnych atrakcji dla dzieci, młodzieży i dorosłych – zwiedzanie wystawy MGS-u z opaską na oczach, Zmy (słownik) w parku Staszica, a w Zagrodzie Włościańskiej Muzeum Częstochowskie wraz z Zespołem Pieśni i Tańca „Częstochowa” zaprosiło na wielkie pranie.

Trudno wymienić wszystkie propozycje; spośród tych bardziej niezwykłych, to np.: akcja *Gotuj z piwem* w Pubie Piwiarnia, smaczna instalacja *Ale kwas Ani Wójcik* w klubie Rura, malowanie na folii graffiti przy muzyce hip hop, performans taneczny *Cieniasy* na placu Biegańskiego czy happening *Wyprawa po Świętego Grala*. W tym roku po raz pierwszy do programu włączyło się Cinema City, prezentując studenckie etiudy *Kino karmi zmysły*. Kolejną propozycją filmową (OKF Iluzja) był pokaz Europejskiego Festiwalu „Euroshorts” na plenerowym ekranie.

Nawet deszcz nie był w stanie ostudzić gorączy tej pierwszej wakacyjnej sobotniej nocy.

Między reggae a stylem retro

Lipiec rozpoczął się od falowania do muzyki reggae, a potem do szlagierów międzywojnia. Imprezy odbywały się w różnym czasie i miejscu, więc była to dobra okazja, by wziąć udział w obu wydarzeniach organizowanych przez Urząd Miasta oraz OPK Gaude Mater.

Najpierw 4–5 lipca na Promenadzie Czesława Niemena odbywał się po raz trzeci Reggae ON, a nieco bliżej centrum, w Klubie Muzycznym Stacherczak, miał miejsce festiwal sound-systemów (Dub System), na którym stały się grupy z Polski, z Czech, Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec. Częstochowskim akcentem był kolektyw Rise up! Soundsystem. Imprezie towarzyszyły warsztaty bębniarskie oraz sprzedaż płyt, czasopism i rozmaitych gadżetów.

Na Promenadzie miejscowe składy reprezentował m.in. Koloroton, grupa wywodząca się z Bedu, a także Cała Góra Barwinków (finaliści ostatniej edycji X Factor). Zespół znany już na polskiej scenie poza swoimi utworami grał również covery, m.in. *Byłaś serca biciem* Andrzeja Zaucha.

Tydzień później na placu Biegańskiego zorganizowano pchli targ, przygotowano pokaz starych samochodów, a klimat międzywojnia tworzyła Grupa Teatralna „Warszawiaki”. Głównym punktem programu był jednak koncert szlagierów Dwudziestolecia – *Lata dwudzieste, lata trzydzieste*. Częstochowskiej Makabundzie towarzyszyły: Katarzyna Pakosińska, Sonia Bohosiewicz, Iwona Choluj (z Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie), Marian Opania, Mariusz Kiljan, Cezary Studniak. Sonia Bohosiewicz śpiewała również z Voice Bandem, założonym przez Arkadiusza Lipnickiego, brata Anity Lipnickiej. Występem towarzyszyły zdjęcia przedwojennej Częstochowy ze zbiorów Ośrodka Dokumentacji Dziejów Częstochowy Muzeum Częstochowskiego pokazywane na ekranie.

Zabawa rozpoczęła na placu Biegańskiego przeniosła się później do klubu Tori, gdzie o międzywojenny nastrój zadbał m.in. Michał Fogg (prawuk Mieczysława) w repertuarze fonograficznej wytwórni Syrena Records oraz Warszawskie Combo Muzyczne pod kierownictwem Janka Młynarskiego.

Jednym zdaniem

■ Zagrali – Resto & Cafe 29: Michał Gasz; Di-sco Ray; Doda; plac Biegańskiego: Iwona Choluj.

■ W Carpe Diem zainaugurowany został cykl *Fotograficzne spotkania autorskie*, pierwszym gościem był Maciej Jeziorek.

■ W OPG Gaude Mater kolejna odsłona cyklu *Obrazy z podróży* – prace dra Krzysztofa Janika; w CPM-ie wystawa Weroniki Rafy *Ladacz-nica*.

■ W Politechniku zaprezentowano czternaście prac dyplomowych wychowanków Alexandra

Azarkevitcha z Wydziału Artystycznego Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi;

■ Do 13 sierpnia w budynku AJD przy ul. Waszyngtona 4/8 można oglądać haftowaną replikę obrazu Jana Matejki *Jan III Sobieski pod Wiedniem* o wymiarach 9 m x 4,5 m, nad którym pracowało kilkadziesiąt osób od czerwca 2012 r.; koordynatorem była Fundacja Wspierania Kultury, Sztuki i Rękodzieła Artystycznego im. Świętej Królowej Jadwigi, założona przez Adama Pankę z Działoszy-na, której siedziba mieści się w Częstochowie.

Zaolzie pielgrzymuje na Jasną Górę już od 24 lat

Zdaniem Jadwigi Franek, każda pielgrzymka jest inna. – Wszystko zależy od wspólnoty, która wyrusza do Częstochowy. Każdy pątnik wnosi swoją osobowość, swoją tożsamość, intencje, swoją modlitwę – mówi pani Jadwiga, która z mężem Franciszkiem organizuje Pieszą Pielgrzymkę Zaolzie – Jasna Góra.

Pierwsza zaolziańska pielgrzymka wyruszyła na Jasną Górę w 1991 r., z okazji Światowego Spotkania Młodzieży z papieżem Janem Pawłem II właśnie w Częstochowie. – To było naszą wielką motywacją – mówi Jadwiga Franek. – Natomiast sam pomysł zorganizowania zaolziańskich pielgrzymek powstał na szlaku pielgrzymek... krakowskich, w których braliśmy udział przez pięć lat. To na nich zrodziło się wielkie marzenie, żebyśmy my, Polacy z Zaolzia, wyruszyli na Jasną Górę wprost z naszych domów – wspomina.

Marzenie się spełniło i Zaolzieanie pielgrzymują do Częstochowy już od 24 lat. W tym roku 19 lipca wyruszyło ich aż 181. Pod murami jasnogórskiego klasztoru dołączyło do nich 24 lipca 49 uczestników 22. pielgrzymki autokarowej, 47. rowerowej (12. edycja). Duszpasterzami byli: ks. Grzegorz Strządala i o. Symplicjusz Sobczyk, a pątnikom towarzyszyli: ks. Jan Svoboda z Haği, ks. Vavřinec Martin Šiplák z Haje na Śląsku oraz s. Teresa Joanna Kufa, elżbietanka z Jabłonkowa.

Hasłem pielgrzymki były słowa: „Arko Przymierza, módl się za nami!”. Do nich nawiązywali kapłani podczas codziennych konferencji. – Księża wygłaszają kazania w drodze, korzystając z mobilnego nagłośnienia, które przygotowuje grupa techniczna – wyjaśnia Franciszek Franek. – Pielgrzymi podzieleni są na sześć grup, według kolorów, a każda ma do spełnienia określone zadania. Na przykład ładuje bagaże, prowadzi modlitwę, kieruje ruchem na drodze, nagłasza msze. Jest też ekipa medyczna. O dziwo, w tym roku ta ostatnia rzadko musiała interweniować. Pomimo upału nie było żadnych udarów, odcisków, chociaż musieliśmy pokonać ponad 160 km – informuje pan Franciszek.

Na Jasnej Górze wspólnie z grupami autokarową i rowerową pątnicy uczestniczyli we mszy świętej sprawowanej w Kaplicy Matki Bożej i Apelu Jasnogórskim, później czuwali w kaplicy, pod cudownym obrazem Maryi, aż do godz. 4.00 rano.

Tegoroczna pielgrzymka już za nami. Ta w przyszłym roku będzie jubileuszowa – 25. Pieszą pielgrzymka wyruszy w sobotę 18 lipca 2015. – Już można się na nią w nas zgłaszać. A zgłaszać się trzeba już głównie na pielgrzymkę autokarową. Im wcześniej, tym lepiej, bo jeden autokar jest już teraz pełny. Możemy wystawić dwa autobusy, ale liczba miejsc i tak będzie ograniczona – dodaje Jadwiga Franek.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Europejskie Gorolski Święto

Przez trzy dni odbywał się w Jabłonkowie największy festiwal folklorystyczny Zaolzia, 67. Gorolski Święto (1-3. VIII). Gros wydarzeń imprezy, której organizatorem jest Miejscowe Koło PZKO w Jabłonkowie, rozgrywało się w wyjątkowej scenerii Lasku Miejskiego.

Najbardziej uroczystym dniem imprezy była jak zwykle niedziela z tradycyjnym korowodem ulicami miasta pod scenę w Lasku Miejskim. Ozdobą pochodu były zespoły folklorystyczne z bliska i z daleka, z Zaolzia, Polski, Słowacji, Meksyku, a także wozy alegoryczne podgórskich Kół PZKO – z mosteckich Szańców, Boconowic, Bukowca, Nawsia, Piosku, Łomnej, Milikowa, Gródka oraz jabłonkowskich „gołembiorzy”.

– Spotykamy się po raz 67. na tradycyjnym Gorolskim Święcie w Jabłonkowie. Jako prezes Zarządu Głównego PZKO oraz Miejscowego Koła PZKO w Jabłonkowie was bardzo serdecznie na tym święcie witam – zainaugurował niedzielny program Jan Ryłko.

67. edycja Gorolskiego Święta niosła się w atmosferze „Starzиковych Urodzin”. W marcu br. minęło bowiem 100 lat od narodzin Władysława Niedoby. Jemu więc dedykowały muzykę, pieśni i tańce zaolziańskie zespoły pezetkaowskie: chóry „Gorol” i „Melodia”, oraz zespoły folklorystyczne: „Olza”, „Błędowice”, „Suszanie”, „Oldrzychowice”, „Bystrzyca”, „Łączka”, „Nowina”, „Zaolzi”, „Zaolzioczek”, „Lipka” i szkolna „Torka”. Z urodzinami nieżyjącego już „Starzika” zbiegły się jeszcze inne – sześćdziesiątka Jana Ryłki. Przypomniwał o nich reprezentujący na „Gorolu” Jabłonek jego wiceburmistrz oraz senator RC, Petr Gawlas, wręczając mu doroczną nagrodę miasta „Jabłonkowskie Jabłko”.

„Bliscy sercom” w Avonie

„Bliscy sercom. Rekonstrukcje” to nazwa wystawy zdjęć autorów reprezentujących dwa pokolenia zaolziańskich fotografików: ks. Kazimierza Suchanka i Mariana Siedlaczka. Ekspozycja, prezentowana m.in. podczas tegorocznej edycji imprezy

„Zaolzie potrafi”, trafiła obecnie do czesko-cieszyńskiej Czytelnicy i Kawiarni Avion/Noviva. Jej wernisaż odbył się 8 sierpnia.

Nestor zaolziańskich fotografików, ewangelicki duchowny ks. Kazimierz Suchanek, swoje zdjęcia tworzył na przełomie lat 60. i 70. w Gutach, gdzie pełnił w tym czasie posługę duszpasterską. Po pięćdziesięciu latach ludzi, których wówczas utrwał na zdjęciach ks. Suchanek, zaprosił do współpracy prezes Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego, Marian Siedlaczek. Powstały zdjęcia nowe, które na wystawie będzie można porównać z tymi z drugiej połowy ubiegłego wieku.

– Zdjęciami Kazimierza Suchanka zachwyłem się od razu. Było to wkrótce po tym, kiedy moi przyjaciele z ZTF, Roman Chmiel i Radek Krygiel, wydali album „Bliscy memu sercu” (2005), zawierający przegląd twórczości księdza – mówi Siedlaczek. – Urzekły mnie te portrety wręcz marnetycznie, musiałem bezustannie do nich wracać. Cechują je dwie właściwości: prostota i ciepło. I tylko tyle, a czasem aż tyle trzeba, by za pomocą fotografii móc dotknąć prawdy o człowieku. Pewnego dnia pomyślałem, że chciałbym poznać żyjących jeszcze bohaterów z fotografii. W ten sposób zrodził się pomysł na powtórzenie tych ujęć teraz, po kilkudziesięciu latach. W logistyce przedsięwzięcia nieocenioną rolę spełnił „chłopak kucający za motocyklem”, Janek Myrdacz, któremu udało się skontaktować ze wszystkimi osobami, jakie występowały na zdjęciach. Fakt, że niniejsza „rekonstrukcja” mogła dojść do skutku, to głównie jego zasługa – dodaje prezes ZTF.

Dziennikarka szuka śladów Nohavicy

Na początku sierpnia gościła w redakcji zaolziańskiego „Głosu Ludu” Teresa Drozda, dziennikarka Polskiego Radia i zarazem redaktor naczelna serwisu internetowego strefapiosenki.pl. Warszawska dziennikarka szuka archiwalnych materiałów prasowych poświęconych Jaromírowi Nohavicy.

– Przyjechałam do Czeskiej Cieszyny – mówiąc językiem Jaromíra Nohavicy – poczytać stare gazety – stwierdza w rozmowie z „Głosem Ludu” Teresa Drozda, która od 13 lat śledzi karierę czeskiego barda i właśnie pracuje nad książką poświęconą jego postaci. Publikacja, w której powstaniu Nohavica czynnie pomaga, ma się ukazać nad Wisłą w przyszłym roku.

– Obecnie szukam wzmianek na temat Jaromíra w polskiej prasie z lat 90. Jest kilka tropów, na które natknęłam się w „Głosie Ludu” oraz „Zwrocie”. Wszystko dlatego, że w mojej książce próbuję odtworzyć drogę Nohavicy do Polski – tłumaczy.

Jednym zdaniem

■ Ponad 180 turystów wyruszyło 2 sierpnia na trasę „Rajdu o kyrpce Macieja”, imprezy organizowanej przez PTTS „Beskid Śląski” z okazji Gorolskiego Święta w Jabłonkowie. Główną nagrodą Rajdu były jak co roku dwie pary kyrpców – mniejsze dla najmłodszego uczestnika oraz większe dla najstarszego.

■ Zespół „Oldrzychowice”, działający przy Miejscowym Kole Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Oldrzychowicach, zwyciężył w 45. Festiwalu Folkloru Górali Polskich. Odbywał się on tradycyjnie w ramach Tygodnia Kultury Beskidzkiej.

■ W ostatni weekend lipca w wielu miejscowościach Zaolzia odbywały się odpusty św. An-

ny. Jabłonkowska parafia zorganizowała odpust przy kaplicy na Kozubowej, w Karwinie-Raju zaś przygotowali go z parafią frysztańską tamtejsi PZKO-woy.

■ W Ogrodach Wallensteina w siedzibie Senatu Republiki Czeskiej w Pradze rozbrzmiewała w czwartek 24 sierpnia gwara cieszyńska, pieśni i muzyka ludowa znad Olzy. Senator Petr Gawlas zaprosił do stolicy trzy zespoły: Chór Męski „Gorol”, działający przy Miejscowym Kole Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Jabłonkowie, czeski Zespół Regionalny „Mionši” z Łomnej Dolnej oraz jabłonkowską kapelę ludową „Jakové”.



Ale się tu wyrabiało!

W czasach realnego socjalizmu elementami antypaństwowymi, zwane też warchołami szczydziły, że kopalnie wydobywały węgiel wysyłany następnie do hut, gdzie wytapiano stal, z której wyrabiano metalowe obudowy dla kopalń, gdzie już zostawały, bo nie było czasu, aby je odzyskiwać, ponieważ trzeba było pozyskiwać więcej węgla dla hut, które itd. itp. Ten prześmiewczy, ale wcale nie tak odległy od rzeczywistości wywód miał objaśnić dlaczego nie udawało się niczego wyprodukować dla „zwykłych ludzi”, przez co brakowało „wszystkiego”. Tymczasem w przeszłości, „za Niemca” i w koszmarnym okresie sanacji, a nawet tuż po II wojnie światowej jakoś się udawało ludzkie potrzeby zaspokajać. Można się o tym przekonać odwiedzając wystawę *Made in Katowice* w Muzeum Historii Katowic. Wprawdzie i tu wita zwiedzających drewniana rytna wypełniona węglem, ale umieszczone nad nią zdjęcia ze słynnej kolekcji Dańdy i archiwalne pocztówki bardziej przywodzą na myśl żelazniaki, kuchenne piecze z bratnią, czy wyszukane kafłoki z paradnej izby niż wielkoprzemysłowe osiągnięcia minionej epoki.

Wystawa zajmuje największą przestrzeń ekspozycyjną Muzeum Historii Katowic, ale jej autorki Jolanta Popanda i Urszula Rzewiczok przyznają, że udało im się pokazać zaledwie cząstkę tego, co w naszym mieście wytwarzano od XIX wieku. Zaprezentowane zostały wyroby przemysłowe, ale także rzemiosło oraz usługi i w jakimś zakresie handel. To naprawdę tylko część tego, co w Katowicach powstawało. Od lat studiuję *Skorowidz branż województwa śląskiego 1929-1930*, więc wiem np. ile było w naszym mieście „fabryk” czekolady, przedsiębiorstw budowlanych i zakładów budujących drogi (np. termakowe, to znaczy „trwałe, ekonomiczne, ciche, wolne od kurzu i błota i szybkie w budowie”. Te firmy nie zostały pokazane na wystawie, ale i tak to, co się na niej znalazło musi zadziwiać. Np. szeroko została zaprezentowana fabryka „Ebeco”, której asortyment był rzeczywiście imponujący. Poza znakomitymi rowerami produkowanymi tu bowiem maszyny do szycia, gramo-

fony i instrumenty muzyczne. Firma „Capello” chwaliła się swoimi radioodbiornikami ogłaszając, że to wyłącznie superheterodyny. Miał swój katowicki epizod kojarzony z Gliwicami krem „Nivea”. Produkowano u nas motocykl „Moj” takiej jakości, że podobno testowało go polskie wojsko. Trudno też pominąć w tej wyliczance Fabrykę Porcelany „Giesche”, nie mówiąc już o hutach i kopalniach, czy przemyśle chemicznym, który zajmował się m.in. produkcją środków czystości a nawet kosmetyków.

Na specjalną uwagę podczas zwiedzania zasługują usługi. Zwłaszcza te dotyczące mody, która nam się kojarzy bardziej ze współczesnością niż z dawnymi czasami. A to nieprawda, zawsze były panie starające się o to, aby się ubierać zgodnie z najnowszymi trendami. Drugą, niesłychanie ważną dziedziną była gastronomia (to być może bardziej interesujące dla panów). Poza reklamami restauracji (zawsze najlepszych) można na wystawie zobaczyć rzeczy związane z paleniem kawy, czy wyrobem wykwintnych trunków. Osobne miejsce na ekspozycji zajmuje Jan Wyk – „optykus”, którego działalność wykraczała daleko poza dobór oprawek do korekcyjnych okularów. Chodząc po wystawowych salach trudno się oprzeć wrażeniu, że nasze przeświadczenie o ja-

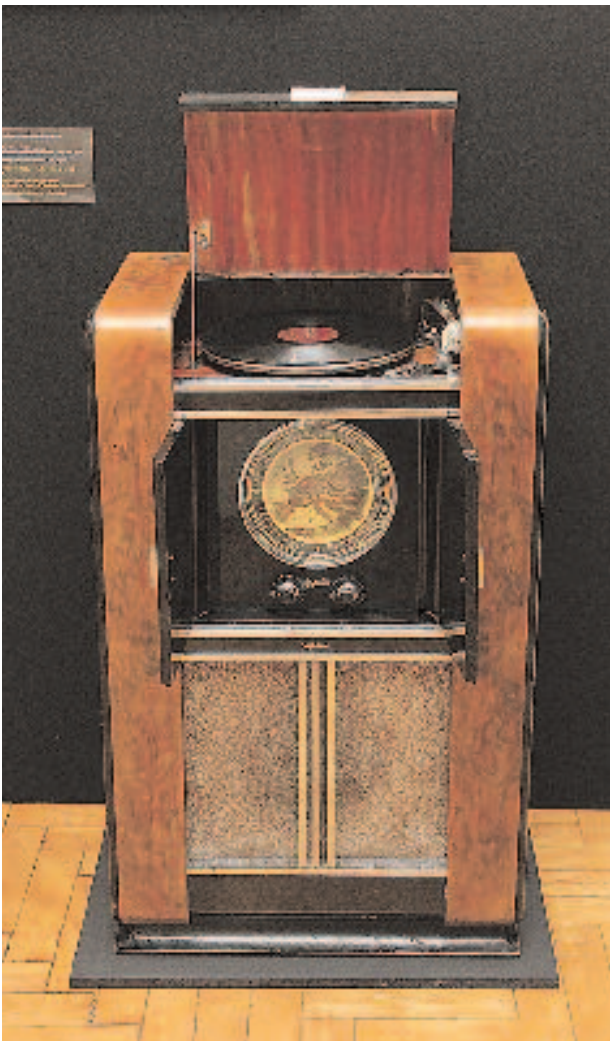
kimś skoku cywilizacyjnym w ostatnim czasie jest trochę złudne. Modne jest dziś słowo „dizajn”, wiemy, że projektowaniem właściwie wszystkiego zajmują się dziś utytułowani plastycy z różnych ASP. Tymczasem uroda tych dawnych produktów przekonuje nas, że nadawali im formę i kształt ludzie bardzo kompetentni i wrażliwi, którzy w ogóle nie wiedzieli, iż są „dizajnerami”.

Dla mnie osobiście najważniejszym (i wzruszającym jednocześnie) przeżyciem podczas zwiedzania był widok drewnianego pudełka, którego przeznaczenia nie odgadnie żaden młody człowiek. To była kaszta drukarska. Uzmyslowiłem sobie, że minęło już ponad trzydzieści lat od czasów kiedy zupełnie odeszła w zapomnienie. A wraz z nią zecer, człowiek składający tekst z ołowianych czcionek, znający w dodatku ortografię lepiej niż niejeden dziennikarz czy autor.

Nie chcę się więcej rozpisywać o samej wystawie, wolę zostawić miejsce na ilustracje, które – mam nadzieję – zachęcą P.T. Czytelników do odwiedzenia Muzeum Historii Katowic. Warto, bo autorki ekspozycji i świetnego katalogu Jolanta Popanda i Urszula Rzewiczok stworzyły coś dobrego, w dodatku „made in Katowice”.

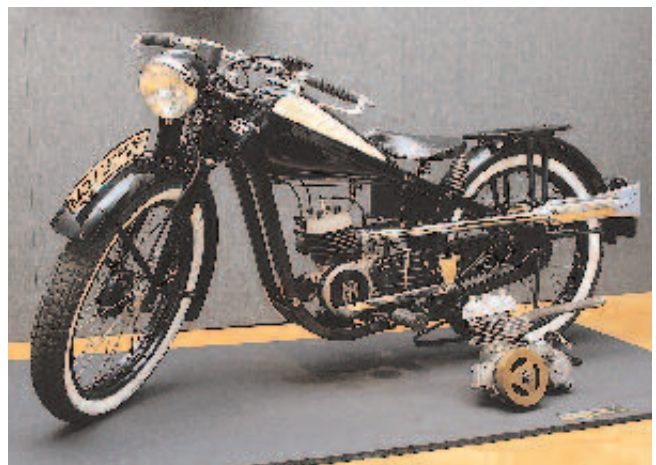
BOGDAN WIDERA





Made in Katowice

Wystawa w Muzeum
Historii Katowic



X OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL PROMOCYJNY SIERPIEŃ TALENTÓW

20 – 31 sierpnia 2014 r.

20 sierpnia (środa)

godz. 19.00 **KATOWICE**
Czł. Kult. i Promocji Polskiego Radia
ul. Sienkiewicza 17

Inauguracja festiwalu

Młody Muzyk Roku 2014

BARTOSZ KOŁSUT – pianino
WOJCIECH KASZUBA – saksofon
JOANNA KUDAS – fortepiano
MATEUSZ DONIĆ – gitara
ANNA DZIERŻAK – fortepiano
ERA KAFEL – śpiew

Program:
J. K. Paderewski – „Walczyk”
M. Zwickowski – „Kwiaty w ogrodzie”
F. Liszt – „Dobry wieczór, Tatyś”
A. Piazzolla – „Walczyk”
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”

21 sierpnia (czwartek)

godz. 19.00 **KATOWICE**
B. Słoboda-Dziękła
56-01 Piekoszów
ul. Młodych Energii 7

Sztuka pięknego śpiewu

ZOFIA GARGANISZ – śpiew
EWELINA SOBIECHOWSKA – śpiew
ADAM KUTNY – śpiew
MICHAŁ BIEL – śpiew
REGINA GOWARZEWSKA – śpiew

Program:
J. K. Paderewski – „Walczyk”
M. Zwickowski – „Kwiaty w ogrodzie”
F. Liszt – „Dobry wieczór, Tatyś”
A. Piazzolla – „Walczyk”
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”

Pracownice artystyczne:

WJEWODA SŁASKI

PITRZYMI

TEREZJENTA MARIJA SŁAWICKA

PITRZYMI

23 sierpnia (sobota)

godz. 19.00 **KATOWICE**
Kościół św. Anny, ul. Teofilowa 1
ul. M. Sienkiewicza 17

Goście Festiwalu

MĘSKI ZESPÓŁ WOKALNY „KAJROS”
DORYS SOMERSCHAF – gitara elektryczna
ALICJA KOTYL – śpiew

Program:
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”

24 sierpnia (niedziela)

godz. 19.00 **KATOWICE**
Wielki Teatr Katowicki
ul. Dąbrowskiego 11

Muzyka – moja miłość

ROMA TIC – śpiew
MALGORZATA GARSZKA – fortepiano
WIESŁAWA SZCZENDZIŃSKA – śpiew

Program:
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”

godz. 19.00 **KATOWICE-GIEBOWKA**
Kościół św. Anny, ul. Teofilowa 1
ul. Dąbrowskiego 11

Fantazja na skrzypce, altówkę i akordeon

MALGORZATA WOJCIECHOWSKA – skrzypce
ADAM POTERA – altówka
MALWINA WYBORSKA – akordeon
ALICJA PRZYTYŁA – śpiew

Program:
D. Górecki – „Walczyk”
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”

26 sierpnia (wtorek)

godz. 19.00 **KATOWICE**
Museum Architektury
ul. W. Sienkiewicza 18

Technika i ekspresja

LUCYNA JARZĄBEK – śpiew
JAKUB CZEKIERDA – fortepiano
ALEKSANDRA RUDZKA – pianino

Program:
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”

29 sierpnia (piątek)

godz. 19.00 **KATOWICE**
Museum Architektury
ul. W. Sienkiewicza 18

Młodzi wirtuozi fortepianu

PITRZYMI – fortepiano
EWELINA DANILEWSKA – fortepiano
BOŻENA GIEBUROWSKA – fortepiano

Program:
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”

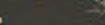
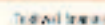
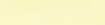
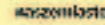
31 sierpnia (niedziela)

godz. 19.00 **KATOWICE**
Museum Architektury
ul. W. Sienkiewicza 18

Anioly i demony

EWELINA MAJCHERCZYK – śpiew
ALEKSANDRA BARDASZ – fortepiano
BARTOSZ ARASZKIEWICZ – fortepiano
KATARZYNA RZESZUTEK – fortepiano

Program:
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”
M. Jaskółka – „Walczyk”
C. Szepieniec – „Kwiaty w ogrodzie”
F. A. Händel – „Kantata”
J. K. Paderewski – „Walczyk”



INSTYTUCJA PROMOCJI
I UPOWSZECHNIANIA
MUZYKI

Silesia

dotychczasowe instytucje: Ewa Kafel, Ewa Pawlik-Żmudzka

40-007 KATOWICE
ul. 3 Maja 31 A
Tel. 32 258 90 49
Tel. 32 259 84 83
Tel./Fax 32 258 89 87
Email: ipm@silesia.art.pl
www.silesia.art.pl



Wstęp wolny